

Bohdan Petecki

Sola z Nieba Północnego

1977

Sen czy nie sen...

— Jarek!

Zaszumiało. Południowy wiatr przeczesał brzegi Płocicznej zmiotł z powierzchni jeziora odbicie suchych pni, sterczących ze skarpy niby olbrzymie, rosochate wędziska, po czym pomknął w stronę obozu i zatargał koronami wysokich sosen.

— Jaaarek!!! — głos drużynowego wzniósł się w ślad za wiatrem. Był to dobry, męski głos, z tych jakie nie milkną w ryku pędzonych sztormem oceanów.

Cóż tam dla nich przedwieczorny wietrzyk, buszujący w sosnowych kitkach.

Tym razem jednak i ten głos nie spowodował upragnionego odzewu. Sosny poburczały jeszcze jakiś czas, następnie ucichły. Las zamarł w milczącym bezruchu.

Druh Aleksander, czyli po prostu Olik, drużynowy i komendant obozu „Węży wodnych” czekał jeszcze chwilę nasłuchując, wreszcie potrząsnął ze złością głową i spojrzął na zegarek.

— Siódma... — mruknął. — Jeżeli ten... — tu nastąpiło słówko, które akurat utonęło w ponownym przypiływie wiatru — ...dzisiaj także wytnie jakiś numer, to sam osobiście odstawię go na stację i wsadzę do pociągu. Niech mama i tata biegają za nim po mieście kiedy przyjdzie mu ochota zniknąć im z oczu. Obóz to obóz. Chłopcy mają coś lepszego do roboty niż uganiać po lesie za...

Bieg myśli druha drużynowego przerwany w tym, tak obiecującym, miejscu nigdy już nie został wznowiony. Gniewne mamrotanie Olika zagłuszyły nagle odgłosy nieporównanie potężniejsze, niż szum wiatru w koronach drzew. Przez gęsty, świerkowy młodniak, rozpościerający się zaraz za piaszczystą ścieżką, szło coś ogromnego. Komendantowi zaświtał w myśli obraz bawołu naszpikowanego indiańskimi strzałami, następnie wielkiego goryla, po gorylu przyszła kolej na starą, wąskotorową lokomotywę, a po niej dopiero na druha Chrabala. Tę ostatnią myśl poprzedził bowiem dźwięk, którego sprawcą nie mógł być nikt inny, jak tylko wspomniany młody człowiek z obozu „Węży”.

Z zagajnika wysunęła się pokraczna, szara bryła, przypominająca monstrialne mrowisko. Dotarła do środka ścieżki i zatrzymała się, chybocząc do tyłu i do przodu. Z bliska już nieco mniej wyglądała na starą lokomotywę, a więcej na to, czym była w istocie: kupę chrustu z Kazikiem Chrabalem pod spodem.

— O rany... — jęknął grobowy głos. Dochodził jakby z głębi ziemi i brzmiała w nim najczarniejsza skarga, zdolna obudzić litość w granitowym posągu.

Ale drużynowy to nie posąg. Skarga nie przystoi „Wężom”, nawet jeśli chwilowo przebywają wewnątrz kupy chrustu. Nic dziwnego, że twarz Olika ściągnęła się w surowym grymasie. Jego prawa brew powędrowała do góry, co czyniła zawsze, ilekroć druh komendant miał przemówić w całej powadze swego autorytetu i swych dwudziestu z górą lat.

— Co tam znowu?!

Na dźwięk tego głosu w kupę chrustu wstąpiło nowe życie. Zafalowała gwałtownie, po czym uniosła się o kilka centymetrów, odsłaniając utkwioną w piachu parę niebieskich tramppek.

— Nic, druhu... — zabrzmiał zduszony szept. Równocześnie Kazik rażno ruszył do przodu.

— Uważaj! — wrzasnął Olik. O ułamek sekundy za późno. Głos drużynowego nie opadł jeszcze z wierzchołków sosen, kiedy niebieskie trampki osiągnęły przeciwległy kraniec ścieżki, gdzie czekał już na nie okazały pień zwalonego przez burzę drzewa. W niebo uderzył rozpaczliwy krzyk, przy którym poprzednie „o rany” brzmiało

niemal jak pogodna piosenka. Chruściana wieża strzeliła raptownie w górę i opisawszy w powietrzu szeroki łuk, runęła na ziemię, napełniając las przeraźliwym, złowieszczym trzaskiem. To co przedtem ukazywało się nieśmiało przy samej powierzchni ścieżki, teraz sterczało dumnie w całej okazałości niby dwa powiewające na wietrze proporce. Nie da się ukryć, że to coś bardzo przypominało niebieskie trampki, tyle że oglądane z dość niezwyklej, powiedziałbym: odwrotnej, perspektywy.

— No właśnie... — burknął drużynowy, przytakując sobie ruchem głowy. Odczekał chwilę, by policzyć tańczące wśród pękających gałązek kończyny druha Chrabala, po czym, stwierdziwszy, że żadna z nich nie utraciła przyrodzonej sprężystości, dorzucił z przekąsem:

— Łamaga...

Ta obelga zdopingowała Węża do zdwojenia wysiłków w celu odzyskania pozycji pionowej. Na skutek tego jego odpowiedź została zagłuszona gwałtowną strzelaniną, jakby stary słoń gramolił się w ogromnym blaszanym pudle, wypełnionym kapiszonami.

Olik obrzucił ostatnim, niezycliwym spojrzeniem miejsce krótkiej potyczki niebieskich trampek z sosnowym pniem, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie. Przeszedłszy kilka kroków, zatrzymał się jednak ponownie, jakby tknięty jakąś nową myślą.

— Widziałeś Jarka? — rzucił przez ramię, nie oglądając się.

Trwało chwilę zanim za jego plecami umilkły odgłosy kotłowaniny. Wreszcie nastała cisza.

— Nie, druhu... — zabrzmiał zdyszany, niemniej już pełen urażonej godności głos Kazika. — A co, znowu wyparował? Pewnie śpi w jakiejś dziurze, jak zwykle...

Pięć minut później drużynowy stanął na skraju wysokiej, stromej skarpy, porosłej kępami kłującej trawy. U jego stóp leżał obóz. Rozłożył się na płaskim, piaszczystym cypelku, osłoniętym od zachodu ruinami dwóch potężnych bunkrów. W tej okolicy widok tych ostatnich był czymś zwyczajnym. W ostatnim roku drugiej wojny światowej biegła tędy pancerna linia Wału Pomorskiego. Przez wiele dni z tysięcy strzelnic takich właśnie bunkrów hitlerowcy pluli ogniem dział i karabinów maszynowych do nacierających polskich i radzieckich żołnierzy. Od Wałcza przez Człopę po Dobiegniew oraz dalej na północ, do Mirosławca i Drawska, lasy dziś jeszcze pocięte były jak pajęczyną gęstą siecią rowów przeciwczołgowych i okopów, łączących owe mroczne, ślepe, posępne budowle. Ich żelbetowe stropy, przeważnie zwalone i pokruszone, porastały teraz zielskiem. Niektóre z nich, lepiej zachowane, wabiły przechodniów tajemniczymi czeluściami wyzierającymi zza uchylonych pancernych drzwi. Takie drzwi zawsze obiecują przygodę, nie zawsze jednak spełnienie tej obietnicy przynosi pożądane skutki. Pół biedy, jeśli wdepnie się tylko w pułapkę pozostawioną przez poprzedników, których jednak zapędziła do bunkra nie żądza wiedzy, a nieubłagana konieczność. Gorzej, kiedy z mroku wyłoni się nagle stalowa belka, i to akurat na wysokości wietrzącego przygodę nosa. Całkiem źle, jeżeli po omacku trafi się stopą w betonową rozpadlinę. Wtedy pozostaje tylko liczyć na własne struny głosowe oraz na to, że ktoś, kto przypadkiem błąka się w pobliżu, pojmie, o co chodzi i pośpieszy z pomocą.

Nie bez powodu przypomniał sobie teraz właśnie niebezpieczeństwa grożące badaczom starych bunkrów. One to bowiem, to znaczy niebezpieczeństwa, nie bunkry, przewijały się przez wyobraźnię druha Aleksandra, kiedy tak stał nad urwiskiem na skraju puszczy i wodził wzrokiem po rozłożonym w dole obozie.

Olik nie bał się jeziora, chociaż jego brzeg świecił srebrnymi blaszkami w odległości zaledwie piętnastu metrów od namiotów. Warunkiem przyjęcia na obóz

było posiadanie karty pływackiej i drużynowy sam osobiście sprawdził, że jego Wężę w wodzie przeobrażają się w węgorze. Nie, myśląc o powierzonych jego opiece chłopcach, Olik nie bał się jeziora. Bał się natomiast bunkrów. Nie tych u stóp wysokiej skarpy, w najbliższym sąsiedztwie obozu. Te były rozwalone ciężkimi pociskami, a pokruszone płyty betonu skutecznie zagradyły wejście do podziemi, jeśli w ogóle zostały tam jeszcze jakieś podziemia. Niepokoiły go inne, rozsiane po okolicznych lasach. Dlatego każda przeciągająca się nieobecność któregoś z wodniaków napawała go troską, która tak długo wierciła mu dziurę w brzuchu, aż opuszczał swoją „generalską” ławeczkę przed namiotem i sam szedł posłuchać, co w trawie piszczy. A raczej czy coś nie piszczy spod trawy. I dlatego właśnie stał teraz tu, na górze, po bezskutecznym, jak dotąd, choć wcale nielichym marszobiegu przez najbliższe rejony Puszczy Drawskiej, zamiast pozostawać w obozie i gospodarskim okiem oraz stosownymi komendami „pomagać” chłopcom przygotowującym wieczorne ognisko.

A wieczór zapowiadał się przyjemnie. Za niespełna godzinę na skraju piaszczystego cypla buchnie złoty płomień, kładąc się na wodzie drugą księżycową ścieżką aż do przeciwległego brzegu jeziora. Jak za dawnych, pięknych, pogańskich czasów, ogień otoczą ciemne sylwetki druhów o spoważniałych nagle twarzach. Zabrzmi piosenka, stara i zawsze miła harcercskim sercom. A przedtem jeszcze dyżurni rozdadzą Wężom i ich gościom, dziewczętom z sąsiedniego obozu, mocne, świeżo zaostrome wiklinowe witki. Pod palenisko podjedzie kocioł pełen pociętej na tęgie porcje i dobrze pachnącej czosnkiem wiejskiej kiełbasy. Taką właśnie kiełbasę, specjał nad specjały, udało się dzisiaj zdobyć w nadleśnictwie druhowi intendentowi, dzięki jego osobistemu urokowi i stałej gotowości prawienia pochlebstw każdej spotkanej istocie, u której zauważył coś, co byłoby mile widziane w obozowej spiżarni. No cóż, intendent może, a nawet powinien, piastować cnoty błędnego rycerza, ale nie w godzinach służbowych. A na obozie, jak wiadomo, jego godziny służbowe trwają od pierwszej do ostatniej trąbki i od ostatniej do pierwszej.

Olik pociągnął nosem, jakby chciał sprawdzić, czy w powietrzu już nie unosi się zapach przypieczonej na złoto kiełbasy. Następnie jego myśli wypełnił obraz Marylki, drużynowej dzisiejszych gości Węży, dziewczyny o włosach tak czarnych, że aż granatowych i o szczególnie długich, opalonych na brąz nogach. Tak, wieczór zapowiadał się naprawdę przyjemnie. Chyba, że ta łajza, Jarek...

— Cholera — warknął komendant, w nagłym przyływie złości. Wyprostował się odruchowo, podciągnął pas i ponownie spojrzął na zegarek. Siódma dziesięć. Minęło już dwadzieścia pięć minut, od kiedy spostrzegł że wśród krzątających się w obozie chłopców nie ma Jarka. Znowu „tego” Jarka. Dwadzieścia pięć minut to niby nic takiego. Nie tylko spotkany przed chwilą w tak dramatycznych okolicznościach Kazik Chrabal wybrał się do lasu po chrust. Inni chłopcy również. Ale Jarkowi drużynowy sam osobiście zabronił oddalać się od obozu, i to pod jakimkolwiek pozorem. Ten surowy wyrok został ogłoszony na apelu, w obecności wszystkich Węży i jak nigdy spotkał się z powszechną aprobatą.

Bo też trzeba przyznać, że druhowi Jarkowi Kolińskiemu przytrafiła się historia zupełnie niesłychana. Pewnego ranka, a konkretnie trzy dni temu, przed porannym apelem, nagle wyparował. Krzyczeli, nawoływali... nic. Przepadł, jak kamień w wodę. Kiedy zabrakło go na obiedzie, co samo przez się świadczyło już o powadze sytuacji, Olik zarządził alarm.

Szukali go do wieczora. Szukali i przez całą noc, już z pomocą nadleśniczego wraz z grupą pracowników leśnych. Przedtem jeszcze, rzecz jasna, pomyśleli o jeziorze. Ale wszystkie łodzie i kajaki stały przy brzegu, więc pokłuli tylko bosakami dno wokół przystani i nurkowali, wydzierając sobie gumowe maski, w promieniu

kilkudziesięciu metrów od pomostu. Nie natrafiwszy na żaden ślad, ruszyli w las. Przetrasnęli całe hektary puszczy, zaglądali do wszystkich dołów dołków, wdzierali się w najciaśniejsze chaszczki, zdobiąc kolczaste maliniaki strzępami spłowiałych bluz i własnej, opalonej skóry. Wszystko na nic.

Kolację jedli wówczas w milczeniu, na chybcika, rozcierając ukradkiem przegowane czerwono, opuchnięte kolana i łokcie. Potem podzielili się na tyle grup, ilu było wśród nich miejscowych pracowników nadleśnictwa. Pod ich komendą, zaopatrzeni w latarki, szukali dalej. Ze szczegółowymi mapami w rękach, systematycznie, przepatrzyli jeden po drugim wszystkie pobliskie bunkry i na pół zasypane rowy strzeleckie. Tej nocy nikt nie spał w obozie.

Wreszcie, o czwartej nad ranem, Olik zwołał naradę kadry. Nie było ich wielu. Zastępca komendanta, kwatermistrz, intendent, jeszcze jeden instruktor i dwóch zastępowych. Obóz liczył zaledwie dwudziestu ośmiu uczestników. Po wielu burzliwych dyskusjach w Komendzie Chorągwi, Olikowi udało się uzyskać zgodę na samodzielny wyjazd drużyny. Ani on sam ani jego Węże nie lubili jeździć z całym hufcem. Lepiej czuli się w swoich kilku namiotach, ukrytych między drzewami w jakimś pięknym a zapomnianym przez ludzi zakątku, aniżeli pośrodku obozowego miasteczka, czy zgoła miasta, po którym uganiają dowożące prowiant furgonetki, gdzie jada się w ogromnych oszklonych stołówkach, słucha muzyki płynącej z ochrypłych głośników i gdzie aż srebrzy się od sznurów Bardzo Ważnych Osobistości.

Tym staranniej teraz unikał Olik wzroku kolegów. Zresztą, w gruncie rzeczy, niewiele mieli sobie do powiedzenia. Na dobrą sprawę chodziło tylko o to, kto pojedzie do miasta porozmawiać z milicją i wysłać telegram do Szczecina, by zawiadomiono rodziców Jarka. Wybór padł na zastępcę komendanta. Był nim Marek Fura, chłopisko prawie dwumetrowe, żylaste, ale tak chude, że stary Kowalik, który uczył geografii, a poza tym lekko niedowidział, wziął go kiedyś za wieszak i koniecznie chciał na nim umieścić fizyczną mapę Europy.

Kiedy krótka narada dobiegła końca, Marek wstał i zaczął przygotowywać się do drogi. Nie powiedział jednego słowa, niemniej widać było, że tym razem on sam chętnie zamieniłby się w wieszak, albo coś równie bezosobowego. No cóż, misja, jaką mu zlecono, z pewnością nie była do pozazdroszczenia.

I w tym właśnie momencie, dokładnie siedem minut po piątej ze szczytu skarpy dobiegł rozdzierający okrzyk Węża:

— Jeeest!

Las po przeciwnej stronie jeziora odpowiedział echem.

— Jeeest! — zabrzmiało ponownie. Jakby czyjaś najmilsza na świecie drużyna strzeliła najpiękniejszą na świecie bramkę.

Obóz ożył. Chłopcy, z których każdy jeszcze kilka sekund temu gotów był przysiąc, że jego nogi ważą po kilka ton, darli się w górę stromego, piaszczystego zbocza jak stado młodych kozic. Chwilę później na placu pomiędzy namiotami pozostał samotny Olik.

On też zerwał się w pierwszej chwili, kiedy powietrze przeszył tryumfalny okrzyk wartownika. Ale nie pobiegł ze wszystkimi. Stał jakiś czas, pocierając palcami czoło, jak człowiek budzący się ze snu, następnie odetchnął głęboko i najspokojniej w świecie zasiadł na ławeczce. Nogi wyrzucił przed siebie, na całą ich długość i splótł ramiona na piersi. Czekał.

Jarka odnalazł nadleśniczy, który wraz ze swoimi ludźmi ani na moment nie przerwał poszukiwań. Chociaż „odnalazł” nie jest w tym wypadku najwłaściwszym określeniem. W pewnym momencie chłopiec po prostu wyszedł z leśnej przecinki i

widząc znajome, zielone mundury, powiedział grzecznie: „dzień dobry”. Następnie zachowywał się tak, że gdyby nie jego kwitnący wygląd, zdrowego, dobrze wyspanego młodego człowieka, nadleśniczy ani chybi doszedłby do wniosku, że chłopak doznał szoku i bredzi teraz w śmiertelnej gorączce. Na pytanie, gdzie, u licha, tkwił przez okrągłą dobę, Jarek zrobił urażoną minę i wyjaśnił, że wstał tylko nieco wcześniej niż zwykle i przed apelem wybrał się do lasu na grzyby. A teraz właśnie wraca, bez grzybów wprawdzie, ale za to z nadzieją, że zdąży na śniadanie.

Dobry humor chłopca nie trwał jednak długo. Spostrzegłszy, że obecni przyjmują jego opowieść nie lepiej, niż na to zasługiwała, urwał nagle w połowie słowa, po czym dłuższą chwilę stał nieruchomo w miejscu, jakby porażony jakimś niezwykłym odkryciem. Wreszcie, gdy ostatecznie wyprowadzony z równowagi nadleśniczy chwycił go za ramiona i potrząsnął z całą siłą, na jaką stać człowieka po dwudziestogodzinnym deptaniu puszczy, Jarek wydał z siebie złowrogi jęk, tak przejmujący, że otaczającym go ludziom przemaszerowały przez plecy roje zimnych mrówek. Potem wymamrotał szybko coś bez ładu i składu, zwiesił nisko głowę i nie oglądając się na nikogo, ruszył prosto do obozu. W połowie drogi opadli go chłopcy. Z braku czasu, a także z innych powodów nie będziemy tu powtarzać tego, co od nich usłyszał. Jeżeli usłyszał coś rzeczywiście. W jego twarzy nie drgnął bowiem najmniejszy mięsień. Szedł wolnym, jednostajnym krokiem, nie przestając celować wzrokiem w koniuszki własnych butów i sprawiał wrażenie, że do jego świadomości nie dociera nic, ale to nic z tego, co dzieje się wokół niego.

Dotarłszy w końcu przed oblicze drużynowego, nie mówił już o grzybach. Początkowo nie mówił w ogóle nic. A Olik też o nic nie pytał. Siedział w nie zmienionej pozycji, z twarzą kamiennego Sfinksa i czekał. Wciąż czekał.

Chłopcy umilkli również. Otoczyli ławeczkę ciasnym pierścieniem i zamarli w bezruchu. Nigdy jeszcze, nawet najgłębszą nocą, w obozie nad jeziorem nie było tak cicho.

Wreszcie, po ładnych kilku minutach, Jarek oprzytomniał. Wyprostował się, głęboko zaczerpnął do płuc powietrza i wypuścił go z westchnieniem ulgi, jakby W tym właśnie momencie zrzucił z siebie ciężki, wypchany plecak. Następnie powiedział coś, od czego z kolei wszystkim Wężom, nie wyłączając drużynowego, zamurowało dech w piersiach. Oświadczył mianowicie, że poprzedniego dnia istotnie wstał bardzo wcześnie rano i wyszedł do lasu, gdzie nagle ponownie ogarnęła go nieprzeparta senność. Na pierwszej napotkanej polanie zaszył się więc w stogu siana, z którego wylał... niespełna pół godziny temu. Dodał jeszcze, że siano bardzo mocno pachniało i że wobec tego stanu, w jakim on, Jarek, pozostawał przez minione dwadzieścia cztery godziny, nie godzi się nazywać zwyczajnym snem, a tylko odurzeniem.

To oczywiście łgarstwo dopełniło miary. Oczywiście, bo obraz Węża wysypiającego się beczelnie, podczas kiedy cały obóz dzień i noc ugania za nim po najsroźszych ostępach, był czymś tak koszmarnym, że żadnemu z chłopców przez myśl nawet nie przeszło, aby w tłumaczeniu Jarka mogła tkwić choćby szczypta prawdy. Co do samego Olika, to dla niego przynajmniej wszystko stało się jasne. Chłopak ugrzązł w jakimś bunkrze, do którego wlał wbrew najsurowszym przepisom obozowego regulaminu, a teraz zmyśla jak najęty, w przekonaniu, zresztą nie pozbawionym słuszności, że cokolwiek powie, nie zabrzmi to w uszach drużynowego tak źle, jak ta najgorsza ze wszystkich prawd.

W pierwszej chwili Olik miał zamiar odesłać Jarka do domu. Potem, nieoczekiwanie dla samego siebie, zmienił decyzję. Po pierwsze, było mu trochę wstyd, że jeden z jego Węży, do których zwykł przemawiać w tonie niezupełnie

ojcowskim, ale których szczerze lubił, wyciął tak niesłychany numer. Po drugie, fakt, że chłopiec się w końcu znalazł, cały i zdrowy, przyprawił drużynowego o taki stan ducha, w którym gotów był czule uściskać starą, omszałą czarownicę. Po trzecie wreszcie, niezawodny instynkt Węża mówił Olikowi, że w całej tej sprawie kryje się mimo wszystko coś niejasnego. Nie znaczy to, rzecz prosta, że gotów był przyjąć za dobrą monetę bajdurzenie o śnie czy jakimś tam odurzeniu, trwającym całą dobę. I nie znaczy też, że domyślał się prawdy. Zresztą co do tego akurat, to nie mógłby mieć do siebie pretensji, nawet gdyby kiedyś, jakimś szczególnym trafem, poznał tę prawdę. Nie domyśliłby się jej żaden z nas. I żaden z nas by nie uwierzył, gdyby mu ją opowiedziano.

Tak czy owak, skończyło się wtedy na krótkim, męskim monologu, zakończonym najsurowszym zakazem opuszczania obozu o jakiegokolwiek porze dnia czy nocy bez osobistej zgody komendanta. Wyrzuciwszy z siebie ostatnie twarde słowo, Olik stał jeszcze chwilę, uważnie patrząc Jarkowi w oczy. Wyczytał w nich widać coś godnego uwagi, bo w pewnym momencie przez jego twarz przebiegł jakby ślad uśmiechu. Opanował się natychmiast i surowo uniósł prawą brew, co miało zaświadczyć o jego nieprzejednaniu. W gruncie rzeczy jednak był zadowolony, że nie spławił chłopca z obozu. Mógł przyjąć zakład, że Jarek Koliński nie przysporzy mu więcej kłopotów.

Tymczasem minęły zaledwie trzy dni i drużynowy znowu ma za sobą tęgą rundkę po lesie, w pogoni za tymże samym Jarkiem. Pół godziny to wprawdzie jeszcze nie doba, niemniej chłopiec wbrew wszystkiemu co wtedy zostało powiedziane, a także, lub może nawet w pierwszym rzędzie, temu, co pozostało niedopowiedziane, dał nogę. Jeżeli i tym razem...

Olik ponownie musiał pomyśleć o długonogiej druhnie Marylce. Jego wzrok przesunął się po piaszczystym cypelku. Słońce zaszło już za wysoki brzeg jeziora, tylko czerwonozłote tło pod sosnami wskazywało jego drogę. Powierzchnia wody błyszczała jeszcze jak szkło, ale kontury namiotów na brzegu rozmiękły, rozmazały się w głębokim cieniu. Na pociemniałym piasku wyraźnie rysował się krąg paleniska, wyłożonego białymi kamieniami. Opodal czerniał wysoki jak góra stos chrustu. Tam gdzie znajdowała się kuchnia, nad koronami drzew leżała niska smuga jaśniutkiego dymu. Wieczór był wyjątkowo ciepły. Obóz przedstawiał obraz pogody i ciszy.

Olik zacisnął pięści. Pomyślał o nadchodzącej nocy, o dziewczętach zaproszonych na ognisko, o Wężach, wyłazających ze skóry, żeby przyjęcie wypadło na medal. Księżycowa noc, strzelające w płomieniu suche, sosnowe gałęzie, dziewczęta, zapach rumieniającej się kiełbasy... to jeden z dwóch możliwych obrazów najbliższej przyszłości... Drugi — to bunkry, chaszczce, strach i beznadziejna mordęga nocnych poszukiwań.

Drużynowy poczuł nagle, że ogarnia go najczystsza wściekłość. Głowę wtulił w ramiona, zaczerpnął powietrza, aż mu żebra zatrzeszczały, ugiął nogi w kolanach, jakby gotując się do skoku i wrzasnął tak, że w odległym o trzy kilometry rezerwacie obudziły się wszystkie ptaki:

— Jaaarek!!!

Przez głęboki błękit nieba przebiło światło pierwszej gwiazdy. Planety — poprawił się w myśli Jarek. Przymknął oczy i przez następne trzydzieści sekund szybował w przestrzeni, kierując się ku Wenus. Otoczyła go nieskończona noc czerni, usiana nieskończoną ilością złotych rozprysków. Z tej czerni wyłoniła się raptem kulista, lekko przypłaszczona bryła. Przypominała piękny, niebieskozielony klejnot i rosła w oczach. Nie zbliżała się, a właśnie rosła. W bezkresach wszechświata nie ma atmosfery, nie ma także perspektywy. Coś, ku czemu zmierzamy, powiększa tylko

swoje rozmiary. Coś, od czego się oddalamy, maleje.

Ale ta piękna, opalizująca kula, to nie była Wenus. Jarek nie raz i nie dwa oglądał kolorowe zdjęcia, przesyłane z pokładów sztucznych satelitów. Piękny jest Saturn, ze swymi barwnymi pierścieniami. Jowisz, w oprawie dzikich, pędzonych burzami chmur. Ale takiej niebieskozielonej tęczy, przetykanej pierzastym haftem świecących w słońcu obłoków, nie ma żadna z planet, prócz Ziemi. I to nie dlatego, że jej dumni mieszkańcy tak by sobie życzyli. A w każdym razie nie wyłącznie dlatego. Kto jak kto, ale Jarek miał prawo powiedzieć, że tak jest naprawdę.

Pod płaskim dziobem łodzi zachlupotała fala. Jakiś ostatni, zabłąkany powiew wiatru. Trzciny w zatoczce poszeptały chwilę, coraz ciszej, po czym znieruchomiały znowu. Z pobliskiej kępy dobiegło zrzędlawe wymyślanie kaczkę, zbudzonej z pierwszego snu.

Jarek otworzył oczy i uniósł się na łokciach. Syknął. Podłoga „Omegi”, wzmocniona kanciastymi żebrami, nie była najwygodniejszym leżem. Mniejsza z tym. I tak najwyższy czas wracać.

Wstał, potarł dłońmi odcisnięte, zbolące miejsca, następnie podciągnął wyżej cholewki gumiaków i wyskoczył do wody. Do brzegu nie było więcej, niż dziesięć metrów piaszczystej płycizny. Przebył je bez pośpiechu, starając się robić jak najmniej hałasu. Wyszedł na wąską plażę i skierował się w stronę przystani. Wszedł na drewniany pomost, odziedziczony po nieznanym dobroczyńcach którzy biwakowali tutaj w ubiegłych latach, po czym zatrzymał się, ogarniając ostatnim, gospodarskim spojrzeniem całe wodniackie obejście Węży.

Wszystko w porządku. „Omegi” i „Piraty” tkwiły nieruchomo, w regularnych odstępach, solidnie przycumowane do zakotwiczonych boi. Za plażyczką ułożone jeden za drugim kajaki ukazywały światu pękate brzuchy, pociągnięte smolistą farbą. Pod niewidocznym już w mroku drewnianym daszkiem szarzały bezkształtne plamy kapoków. Nad nimi spoczęły równo poukładane wiosła. Robotą została wykonana fachowo i bez pudła.

Z piersi Jarka wyrwało się głębokie westchnienie. Człowiek może wiedzieć, że zrobił, co do niego należało. Wtedy ma prawo przyjść do swoich i czuć, że jest wśród swoich. Nie tak, żeby być blisko nich, tylko razem z nimi. Razem, to wielka rzecz. Pleść trzy po trzy, rzucać w siebie słówkami, a rozumieć się bez słów. Tak to jest.

Ale nie każdy człowiek. Na przykład nie taki, któremu zdarzyło się coś podobnego jak Jarkowi. Że ci swoi zawdzięczają mu zbyt wiele gorzkich chwil, aby mogli patrzeć na niego jak dawniej. Wiedział, że chłopcom nie chodzi o tę bezsenność, zmęczenie i poobdzierane łokcie. To wszystko jest dla Węży czymś zwyczajnym i nie pozbawionym smaku dobrej przygody. Ale pierwszym, nie pisanym prawem obozu nad jeziorem była solidarna troska o jego ciężko wywalczoną samodzielność. Żeby żaden z szacownych przełożonych Olika nie mógł powiedzieć z błyskiem tryumfu w oczach: „widzicie? A nie mówiłem?...” Tymczasem to, co zrobił Jarek, prowadziło prostą drogą do sytuacji, w której takie słowa nie tylko mogły, ale musiały paść. I w której ani drużynowy, ani żaden z Węży, nie znalazłby na nie odpowiedzi...

Kolejne ciężkie westchnienie uleciało z pomostu w gęstniejący z minuty na minutę mrok. Tak, wiele wody upłynie w Płocicznej, zanim chłopcy odzyskają do niego zaufanie. A co gorsze, nie ma żadnego ludzkiego sposobu, żeby zmienić ten stan rzeczy. Owszem, teoretycznie istniała jedna możliwość. Opowiedzieć prawdę. Ale właśnie tylko teoretycznie. Bo trzeba by to zrobić tak, żeby ktoś w tę prawdę uwierzył. Co, zdaniem Jarka, przekraczało możliwości zarówno jego, jak i ewentualnych słuchaczy.

A z dwojga złego wołał już dzień po dniu odrabiać tutaj straconą pozycję, aniżeli w czystym, białym kaftanie i pod czułą opieką wygimnastykowanych sanitariuszy

znaleźć się za pozbawionymi klamek drzwiami szpitala dla wariatów.

Raz jeszcze przymknął oczy, żeby uciec myślami od ponurej rzeczywistości. Przez chwilę usiłował ponownie wyobrazić sobie zawieszoną w przestrzeni Ziemię, jako piękną, opalizującą kulę, przypominającą niebiesko–zielony klejnot.

Ale zamiast Ziemi przed oczami jego wyobraźni ukazały się nagle zarysy dziewczęcej twarzy, okolonej długimi, falującymi włosami. Twarz ta była Jarkowi znana. Jak dobrze znana. I miła, więcej, niż tylko miła, chociaż tak ściśle kojarzyła się z tym wszystkim, co spowodowało jego obecne położenie.

— Sola... — szepnął.

Przypomniawszy sobie jak to było, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Inaczej niż teraz, nie w mroku pod zaciśniętymi powiekami, a w pełnym słońcu, bijącym od wody blasku i zapachu rozgrzanych sosen. Stało się to niecałe pół kilometra stąd, na małym, półkolistym półwyspie, gdzie poprzedniego dnia rozłożyły się obozem harcerki ze Stargardu. Chłopcy, którzy przybyli kilka dni wcześniej i większość prac obozowych mieli już za sobą, pośpieszyli z sąsiedzką pomocą. Rzecz jasna, że dziewczęta doskonale obeszłyby się bez tej pomocy, ale jak tu pominąć taką wspaniałą okazję zawarcia, kto wie, może właśnie nader interesujących znajomości? Tak więc względy towarzyskie zdecydowały o tym, że oferta została przyjęta.

Jarkowi wypadło wbijanie pali pod przyszyły pomost. Uporał się właśnie z pierwszym rzędem i brodząc w ciepłej wodzie wrócił do brzegu, żeby zacząć całą mozolną wędrówkę od początku, kiedy na stromej ścieżce, prowadzącej od obozu, ukazała się dziewczyna. Była w białej bluzeczce, ściągniętej pod stanikiem na prosty węzeł i białych, obcisłych szortach. Przy tej bieli jej szczupłe, co nie znaczy że chude, ramiona i smukłe nogi wyglądały jak odlane z brązu. To jeszcze nic takiego. W końcu, opalić może się każdy, tak samo jak włożyć białe ubranie, choćby nie wiem jak zgrabnie uszyte. Ale już nie każdy może poruszać się z takim wdziękiem, zbiegając ze stromego zbocza. Jakby jej stopy trafiały nie na brudny, osypujący się piasek, ale szybowały nad lśniącem parkietem sali balowej.

Chłopca zamurowało. Nie drgnął nawet wtedy, kiedy dziewczyna nie zatrzymując się zbiegła do wody, zachwiała i aby odzyskać równowagę, chwyciła go lekko za ramię. Zaśmiała się. Był to najmiłszy śmiech, jaki kiedykolwiek zdarzyło się Jarkowi usłyszeć.

— Przepraszam — parsknęła. Nie była nawet zdyszana.

Nie odpowiedział. Nie zrobił nic. Potrzebował niemało czasu, żeby zauważyć, że dziewczyna przyniosła ze sobą brudną menażkę z szerokim wieczkiem. Przykucnęła w wodzie tuż obok Jarka i zabrała się do roboty. Wieczko umieściła na jednym z wbitych już pali, menażką natomiast zaczerpnęła z dna piasku i zaczęła ją szorować.

Jarek wciąż patrzył. Patrzył i patrzył.

Zwolna tylko ogarniało go wrażenie, że jego nogi i ręce stają się coraz dłuższe, chudsze, że jakoś dziwnie sztywnieją i zyskują na ciężarze. Ale to nie było jedyne wrażenie, jakiemu ulegał. Powiedziałbym nawet, że przy innych to akurat w ogóle się nie liczyło.

Co tu dużo gadać. Kasztanowe włosy z kilkoma ruchliwymi, jakby obdarzonymi własnym życiem kosmykami. Długie, czarne rzęsy nad niebieskimi oczami, drobny, kapkę zadarty wścibski nosek, brzoskwiniowy meszek na policzkach... A dookoła woda, pachnące sosny na wysokim brzegu, słońce i wiatr. Ech, ludzie...

Sam nie wiedząc kiedy, Jarek pochylił się nagle, zdjął z kołka aluminiowe wieczko, ze śladami starannie wyjedzonej jajecznicy i przykucnąwszy obok dziewczyny zaczął je pocierać piaskiem. Zerknęła na niego, po czym zaśmiała się znowu. Tym razem jednak ten śmiech zabrzmiał inaczej. Jakby odrobinę ciszej. Ugodzony w samo serce Wąż czym prędzej spuścił oczy.

Dłuższą chwilę na plażyczce słychać było jedynie zgrzyt ziarenek piasku o blaszane naczynia. Jarek wkładał w tę czynność tyle siły, jakby chciał przewiercić wieczko na wylot. Przerwał dopiero, kiedy z brzegu dobiegł go głośny śmiech. Jakże inny od tego, którego dźwięk tylko co sprawił, że wszystkie myśli pierzchły spod jego czaszki, jakby ją ktoś nagle otworzył, a potem mocno dmuchnął.

Powoli uniośł głowę. Tam gdzie zaczynał się przyszły pomost, przystały trzy dziewczyny. Pierwsza, mała i gruba, miała na sobie kompletny, regulaminowy mundur. Druga, wyższa, ale za to o niewiarygodnie długiej twarzy, spoczywającej na brodzie w kształcie rozdeptanego rogała, włożyła na siebie coś, co przypominało wielki impregnowany wór, a było nie wiedzieć w jaki sposób zdobytą rybacką kurtką. Z tym, że podobne kurtki załogi kutrów dalekomorskich zwykły wkładać raz w roku, w czasie najsroźszego zimowego sztormu. Trzecia była ładna. Co z tego. Trzy dziewczyny. Trzy więdźmy, jak niezwłocznie się okazało.

— Popatrzcie — zawołała gruba — Sola już dorwała nowego jelenia...

— Tyle, że takiego od kuchni — zachichotała ta z końską szczęką.

— To nic — wyszczała trzecia. — Ona takich lubi. A na obozie lepszy kuchcik niż tancerz. Zresztą w razie czego i tancerz się znajdzie. W Głusku widziałam bardzo przystojnego leśniczego. Co ty na to, Sola?... Nie przeszkadzaj sobie — w głosie więdźmy, kiedy spojrzała na Jarka zabrzmiała matczyzna nuta. W domu będziesz miał jak znalazł...

Zachichotały po raz ostatni i poszły w swoją stronę.

Mężczyzna w piętnastym roku życia zna już na ogół gorzki smak zazdrości. Jarek nie był wyjątkiem. Ale co innego samemu doznawać jakiegoś, bądź co bądź, bardzo osobistego uczucia, a co innego wiedzieć, że dokładnie takie same bywa udziałem innych. Także osób płci odmiennej. Dlatego to, co uczyniły trzy więdźmy, nie od razu spotkało się z należyłą oceną.

Mężczyzna w piętnastym roku życia może, ale nie musi, znać smak zazdrości, natomiast musi, a nie tylko może, mieć poczucie własnej godności. Kiedy szatański chichot dziewcząt uleciał pomiędzy sosny, Jarek wyprostował się na całą swoją wysokość. Bez pośpiechu umieścił blaszane wieczko z powrotem na wbitym przez siebie palu, po czym splótł ręce na piersi i utkwiał w przycupniętej obok dziewczynie mordercze spojrzenie.

— Sola... — powiedział przeciągle, jakby coś rozważając. — To od solniczki?...

Ofiara tego niespodziewanego ataku znieruchomiała. Powoli uniosła głowę i obdarzyła chłopca najbardziej niebieskim ze swoich spojrzeń.

— Co?... dlaczego?... — uśmiechnęła się niepewnie.

— Sól — wyjaśnił Jarek. — Solniczka — powtórzył dobitniej rozkładając ten wyraz na czynniki pierwsze.

— To by świadczyło — ciągnął — że twoi starzy od razu zorientowali się, z kim mają do czynienia. Sola, hm... — zastanowił się. — Tak, to nie tylko imię zaopiniował. — To raczej charakter...

Dziewczyna wstała. W jej oczach zamigotały błękitne światełka.

— A ty? — prychnęła. — Jak ci na imię?

Wzruszył ramionami.

— Jarek — rzucił. — Wiesz coś z tego?

— Wiem coś i bez tego — odparowała. — Dla mnie wystarczy. Niestety, nie jest to nic przyjemnego — dodała z ubolewaniem. — A po resztę — parsknęła — zgłoś się do kasy. Nie mam zwyczaju klócić się z pierwszym lepszym aroganckim smarkaczem!

Jarkowi uderzyło na twarz gorąco. Chwilę rozpaczliwie myślał. Ale tylko chwilę.

— Dobra, dobra — wyrzucił z siebie. — Nie zadzieraj nosa. Już i tak można na

nim wieszać obrazki...

Sola prychnęła tylko pogardliwie, porwała naczynia, okręciła się wokół własnej osi i pobiegła w stronę namiotów.

Wszystko to odżyło teraz w pamięci chłopca, kiedy tak stał na pomoście z zamkniętymi oczami i usiłował choć na chwilę oderwać się myślami od niewesołej rzeczywistości. Tak, tamto pierwsze spotkanie trudno nazwać udanym. Potem było już trochę lepiej. Lepiej, co nie znaczy, że dobrze. Aż do przedwczoraj...

Odetchnął głęboko i z nagłą determinacją uniósł powieki.

Mrok dotarł już nad jezioro. Powierzchnia wody zgasła. W górze natomiast zapaliły się gwiazdy. Już nie tylko Wenus, ale i dziesiątki dalekich słońc, kreślących zawiłe rysunki konstelacji. Jarek rozpoznawał je bez trudu. Nie darmo jego ojciec był z zawodu geografem, a z zamiłowania astronomem. Niejedną godzinę spędzili wspólnie nad mapami nieba i niejedną wieczór przegadali w parku nad morzem, co chwilę zadzierając głowy.

Ojciec... Wśród wszystkich ludzi tylko jemu będzie można opowiedzieć, jak było naprawdę. Miał jedną wspaniałą cechę, która wyróżniała go wśród innych ojców. Mianowicie, umiał słuchać.

Jarek zamyślił się. Na lewo, nad horyzontem, utrzymywała się jeszcze czerwień zachodu. Dopiero za godzinę, może półtorej i tam niebo pokryje się złotymi punkcikami. Kilka z nich utworzy zarys lutni. Pierwsza błysnie Wega, jedna z najjaśniejszych gwiazd nieba północnego. Cholerna gwiazda. Gdyby nie ona, gdyby wybrała sobie miejsce w jakimś odległym kącie Galaktyki, gdyby wreszcie kiedyś tam nie opasała się orbitami planet, jak Ziemia, któż mógłby Jarkowi zarzucić najmniejsze uchybienie obozowym zwyczajom? Nie byłoby mowy o żadnym łązgowaniu, sianie i tym podobnych bzdurach. Gdyby nie ta ich cholerna pomyłka...

Znowu zacisnął pięści. I nagle tuż przed nim, na tle rozgwieżdżonego nieba jeszcze raz wystąpiły kontury tej znanej mu tak dobrze twarzy. Dziwne. Przed chwilą, kiedy ją ujrzał, z całej siły zaciskał powieki. Kiedy człowiek stoi z zamkniętymi oczami, ma prawo widzieć różne niestworzone rzeczy. Ale tak, po prostu, na jawie?..

Była coraz bliżej. Powiększała się, dokładnie tak samo, jak tam, daleko, kiedy przyzywał ją w potrzebie. Rozróżniał już oprawę jej oczu, drobny, kapkę zadarty nosek, usta...

Uśmiechnęła się. Jak wtedy, nad jeziorem, zanim przyszły tamte trzy wiedźmy. Jej wargi poruszyły się...

— Jaaarek!

Twarz dziewczyny zniknęła. Nic dziwnego. Nie miała nic wspólnego z głosem, który dobiegł zgoła nie z nieba, a od strony obozu. I z całą pewnością nie mógł należeć do żadnej istoty płci pięknej. Już prędzej można by powiedzieć, że przeciwnie.

— Jaaarek!

Chłopiec wyprostował się odruchowo. Zrobił przepisowe w tył zwrot, nabrał powietrza w płuca i odkrzyknął.

— Jestem, druhu!...

Kto rano wstaje...

Usiadł na trawiastym stopniu, dobre dwa metry za plecami chłopców skupionych wokół ogniska. Kiedy nadchodził, niosąc na wierzbowej witce swoją porcję kiełbasy, dwie czy trzy głowy odwróciły się w jego stronę. Po krótkiej chwili wróciły jednak do poprzedniej pozycji. Nie padło ani jedno słowo.

Jarek oparł się plecami o naciąg służbowego namiotu i zapatrzył ponuro w ogień. Nie ma na co liczyć. Żeby stawał na głowie, Węże nie przestaną go się czepiać.

Weźmy tę historię sprzed pół godziny. Pamiętał, i to jak jeszcze pamiętał, że Olik zabronił mu opuszczać teren obozu. Ale ten obóz nie przestał być przecież jego obozem. Widział, jak chłopcy wyłazą ze skóry, żeby olśnić gości świetnością wieczornego przyjęcia. Nadleśniczy uwolnił ich od troski o stan spiżarni. O chrust jednak musieli postarać się sami. Nie było to takie proste, jak mogłoby się komuś zdawać. Wysokopienny, sosnowy las, otaczający jezioro był ubogi w podszycie, właściwie tylko odległa o półtora kilometra poręba dawała szansę zdobycia jakiegoś liczącego się łupu. Toteż komu tylko los oszczędził warty i służby przy kuchni, pedałowal te półtora kilometra tam i z powrotem, ciskał zdobycz na stos obok paleniska, po czym ponownie ruszał w drogę. Niektórzy, mniej odporni nerwowo, próbowali uprosić sobie zadanie, ładując od razu na grzbiet porcję, którą inni rozkładali na dwie a nawet trzy tury. Najczęściej jednak kończyło się to tak jak w wypadku Kazika Chrabala. Z tym, że oczywiście nie każdy miał takie szczęście, żeby w najkrytyczniejszym momencie naciąć się akurat na drużynowego.

Tak czy owak chłopcy pocili się solidnie i Jarkowi głupio było siedzieć beczynn timer przy namiotach, nawet jeśli nikt z niczym się do niego nie zwracał. A może to właśnie było najgorsze?

W każdym razie po kilkunastu minutach łażenia z kąta w kąt sam, z własnej inicjatywy, zaproponował Jackowi Wilczyńskiemu, któremu przypadł w tym dniu dyżur bosmański, żeby ten poszedł pomóc przy zbieraniu chrustu, a on już odwali za niego tę robotę na przystani.

I co z tego? Dokładnie tak, jak się spodziewał, spoglądając na dokonane przez siebie dzieło. A nawet gorzej. Olik zauważył, że nie ma go przy namiotach i ruszył na poszukiwania. Po czym, zanim Jarek zdążył cokolwiek powiedzieć, objechał go z góry na dół, jak burą sukę. Prawda, że kiedy wreszcie dotarło do niego, co się właściwie stało, zrobił niezbyt mądrą minę. Ale co Jarek zdążył usłyszeć, to jego. Nie, stanowczo nie ma na co liczyć.

Płomienie podsycone świeżym ładunkiem chrustu strzeliły wyżej. Na twarzach dziewcząt siedzących na ławeczkach, po przeciwnej stronie ogniska, zatańczyła czerwona łuna. Rozległ się trzask jakby pękającej petardy i w powietrzu zawirowały iskry. Głowy chłopców poruszyły się jak na komendę. Ktoś coś powiedział. Zabrzmiał krótki, przyciszony śmiech, po którym nastąpiło gromkie, chóralne „aaaa...”

Do zapachu palącego się drewna i skwierczącej na ogniu kiełbasy przyłączył się nowy. Jarek pociągnął nosem i skrzywił się odruchowo. Kakao. Gwóźdź wieczoru. Zalutująca jałowcowym dymem kiełbasa aż się prosiła o kubek gorącej, gorzkiej herbaty. Ale dziewczęta będą wniebowzięte. Niech im wyjdzie na zdrowie. W końcu wszystko to i tak głównie dla nich. Chłopcy wiedzą czego chcą. Każdy z nich wiąże swoje własne, niezbyt jasno określone nadzieje z miłym wrażeniem, jakie pozostawi po sobie w pamięci druhen dzisiejszy wieczór. Nawet Olik ma tutaj swoje sprawy do załatwienia. Nie darmo usiadł na trawie tak blisko tej ich czarnej drużynowej, że aż, niby przypadkiem, dotyka ramieniem jej prawego kolana. Ba, szarża z szarżą. Niech

im wyjdzie na zdrowie — powtórzył w duchu.

Jak widać, Jarek nie należał do mściwych. Żałował tylko jednego. Że ci tam, no, ci... obcy, nie pomylili się, jeśli tak można powiedzieć, w przeciwną stronę. Że nie odesłali go dzień wcześniej zamiast o ten dzień później. Dwadzieścia cztery godziny przetrząsania puszczy, dobrze dały się Olikowi we znaki. Co by jednak było, gdyby zamiast nie mieć żadnego Jarka Kolińskiego, miał ich w tym samym czasie aż dwóch naraz? Pomyślcie. Wypadek, choćby najbardziej tragiczny, uczestnika obozu to wprawdzie katastrofa, ale katastrofa mieszcząca się w ogólnie przyjętych prawach przyrody. Wypadki chodzą po ludziach. Natomiast sytuacja całkowicie przeciwna? Nie, to stanowczo więcej, niż może strawić normalny drużynowy na normalnym wodniackim obozie.

A przecież nie brakowało wiele... skoro i tak się już pomylili. Szkoda... Szkoda, nawet gdyby Jarek sam miał dostać od tego fiksum dyrdum. Bo przecież w takiej odwrotnej sytuacji tylko jeden z Jarków wiedziałby o co chodzi. Dla drugiego fakt nagłego pojawienia się jego sobowtóra oznaczałby zdarzenie z pogranicza koszmarnego snu i nie mniej koszarnej, ponurej bajki. I wcale niewykluczone, że w karetce podążającej z obozu do najbliższego szpitala obok Olika znalazłoby się miejsce dla tego właśnie drugiego Jarka, który sam zapewne doszedłby do wniosku, że nieodwracalnie zwariował.

Musiał się uśmiechnąć. Wizja była zbyt makabryczna i kusząca zarazem. Pomyśleć tylko...

W mroku pomiędzy namiotami wszczął się jakiś ruch. Głośnemu okrzykowi wartownika, który skwapliwie wykorzystał okazję, aby dać znać światu o swej zapoznanej chwilowo osobie, odpowiedział ostry bas, niespodziewanie przechodzący w radosne pianie, zakończone fatalnym, piskliwym dyszkantem. Dziewczęta zachichotały, jakby je ktoś nagle posypał specjalnym proszkiem.

Głupie — pomyślał z pogardą Jarek. — One będą pisać do końca życia...

W blasku ogniska ukazała się drobna sylwetka chłopca w białej koszuli z podwiniętymi rękawami.

Postąpił jeszcze krok w stronę ognia i zatrzymał się niepewnie.

— Co tam, Pawełku? — rzucił Olik, nie ruszając się ze swego miejsca przy pięknej drużynowej.

Teraz dopiero Jarek poznał chłopca, którego przyprowadził wartownik. Był to młodszy synek nadleśniczego, o którym Jarek wiedział, że owej pamiętnej nocy z największym trudem pozwolił ojcu zapędzić się do domu.

— Nic... — wykrztusił rezolutnie Pawełek, odczekawszy stosowną chwilę.

Olik zaśmiał się.

— To niewiele — stwierdził. — A gdzie tata?

Chłopiec ożywił się.

— Piotrek najadł się zielonych jabłek — poinformował — i ma gorączkę. Tata kazał powiedzieć, że nie może przyjść. Pan Kosek mówi, że Piotrka trzeba będzie zawieźć do szpitala. Jabłka były chyba czymś spryskane... — zakończył z tryumfem.

Wspomniany Piotrek był starszym bratem Pawełka. Pan Kosek miejscowym felczerem. Drzewka mogły być spryskane, bo ponoć w tym roku okolicę nawiedziły jakieś szczególnie zjadłe szkodniki. Wszystko się zgadzało. Poza drobiazgiem. Tym mianowicie, że nadleśniczy był przewidziany jako główna atrakcja wieczoru. Olik kilkakrotnie upewniał się, czy aby na pewno przyjdzie.

Ludzie pracujący w lesie niemal wszyscy potrafią o nim i o zwierzętach mówić tak, że mieszcuchom zapiera dech w piersiach. Nadleśniczy z Głuska był wśród nich perłą pierwszej wielkości. A teraz krewa. Kilka zielonych jabłek i po wszystkim. Idiotyczna historia. Gdyby można przewidzieć przyszłość, Olik zapewne tego dnia

zaraz rano własnoręcznie nałożyłby Piotrkowi kaganiec.

— Stało się coś? — zagadnęła przytomnie czarnowłosa Marylka.

Drużynowy nie odpowiedział od razu. Dłuższą chwilę poruszał bezgłośnie wargami, jakby rzucał urok na wszystkie pobliskie sady. Wreszcie westchnął, pozbierał się z trudem i wstał.

— Nic takiego — rzucił tonem, który jemu samemu wydał się jakby nazbyt beztroski. — Prosiłem nadleśniczego, żeby przyszedł nam coś opowiedzieć — dodał machając ręką. — Okazuje się jednak, że syn mu zachorował. To nic, poradzimy sobie bez niego...

— Brat tego chłopca? — zainteresowała się drużynowa, darząc Pawełka wzrokiem pełnym współczucia.

— Brat, proszę pani — potwierdził skwapliwie zwiastun czarnej nowiny. — Nazwał się jabłek... w głosie chłopca brzmiała radość granicząca z rozkoszą. — On tak zawsze — dodał basem, po czym uzupełnił wibrującym falsetem: — ... co zobaczy, to pcha do gęby...

Drużynowa przełknęła głośno ślinę. Walczyła z sobą przez chwilę, w końcu jednak szlachetniejsza część jej natury wzięła górę.

— Chodź tu bliżej — powiedziała czule. — Chyba możecie zaprosić go na ognisko?... — przemknęła po Oliku mdlejącym spojrzeniem.

Druh komendant podskoczył.

— Ależ oczywiście! — wykrzyknął, jakby spełniały się właśnie jego najskrytsze marzenia. — Hej, tam! rzucił, kierując twarz w stronę tonącej w mroku kuchni. — Macie jeszcze kawałek kiełbasy?! Dawajcie tutaj! I przynieście chłopcu jakiś koc...

Nie upłynęła minuta, jak w dłoni Pawełka znalazła się długa witka z nadzianą na końcu podwójną porcją kiełbasy. Ktoś przyniósł z namiotu koc, który Olik osobiście zarzucił chłopcu na ramiona.

— Fajny... — ocenił Pawełek, macając brzeg koca palcami, ociekającymi roztopionym tłuszczem.

— Widzicie — ucieszyła się drużynowa.

I nastała cisza. Bo łatwo powiedzieć „damy sobie radę”, znacznie trudniej jednak spełnić podobną zapowiedź w taki sposób, żeby nie utracić opinii człowieka, który wie, co obiecuje. Kiełbasa została zjedzona, kakao wypite, stos chrustu opodał paleniska starczy nie na jedną ale na trzy noce, ciepło jak w dzień, księżyc świeci coraz jaśniej i wszystko byłoby w największym porządku, gdyby tylko wiedzieć, co dalej. Naturalnie, można pośpiewać. Jedną piosenkę, dwie, niechby trzy, a potem? Śpiewanie w nieskończoność, to dobre dla zuchów. Wężę wodne mają dla gości coś lepszego.

Ba, a jeśli właśnie nie mają? Czysta rozpacz.

Milczenie przeciągało się. Raz i drugi wśród dziewcząt odezwały się przytłumione, urwane śmiechki. Któryś z chłopców rzucił na ognisko potężną porcję chrustu. Pociemniało, zadymiło, następnie strzeliło iskrami jak na pokazie ogni sztucznych. Buchnął wysoki płomień, barwiąc na czerwono wodę w jeziorze aż po sąsiedni cypel. Ale i tak z każdą minutą i Wężę i ich goście utwierdzali się w przekonaniu, że nie ma na co czekać.

Wtedy to się stało. Tej chwili, blasku tego ognia i tego głosu, który wyrwał się nagle z milczącej gromady, Jarek nie zapomni do końca życia. Cokolwiek mu jeszcze losy przyniosą, ten głos będzie go prześladował po nocach i budził ze snu...

— Słuchajcie! — zabrzmiał nagle donośny baryton Kazika Chrabala. — Mam ciotkę, która wspaniale opowiada sny. Można jej słuchać godzinami. Wiecie, co mi przyszło na myśl?!

Zrobił dramatyczną pauzę.

— Chcesz sprowadzić ciotkę? — spytał ktoś półgłosem. — Tam i z powrotem dwieście kilometrów. Nie zdążysz...

Kazik pomyślał chwilę, czy się obrazić, ale dał spokój. Zbyt był przejęty własnym pomysłem.

— Nie! — rzucił tryumfalnie. — Ale jest tu ktoś, kto ma zwyczaj sypiać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Co tam ciotka! Niech Jarek opowie, co mu się wtedy śniło!...

Jeszcze sekundę, może półtorej, nie działo się nic. Jakiś damski głos mruknął: „eee...”, ktoś inny wrzucił ramionami. Już wydawało się, że pomysł Kazika przejdzie bez echa, za co sam jego autor po zastanowieniu złoży dary wszystkim opuszczonym diabłom, zamieszkującym niegdyś Puszcę Drawską, kiedy nagle wybuchła burza.

— To przez niego nadleśniczy wystawił nas do wiatru — zawołał Jacek. — Bał się, że znowu pognamy go do lasu! Niech go teraz zastąpi!

— Dajcie mu spokój — szydził Jurek Strąk. — Albo spał tak, że w ogóle nic mu się nie śniło, albo musiałby gadać przez okrągłą dobę. Nie wiem jak kto, ale ja tego nie wytrzymam...

— To niech coś wymyśli! — upierał się Kazik.

— A jak zaśnie w połowie zdania?!

— Już my go zbudzimy!...

I zaczęli wołać wszyscy naraz, przekrzykując jeden drugiego. Jarek, który w pierwszej chwili gotów był przysiąc, że teraz dopiero zasnął na dobre i stał się igraszką najstraszliwszych koszmarów, ujrzał raptem ognisko dwa kroki przed sobą. Zatoczył się. Ktoś pociągnął go do przodu. Ktoś inny popchnął.

— No? — głos drużynowego dobiegał jakby z dużej odległości. — Co powiesz, Jarku?...

Dopiero w tym momencie chłopcu zrobiło się naprawdę przykro. Węże będą wspominać całą tę scenę. Różnie bywa w drużynie i tylko dureń przywiązuje wagę do gestów czy słówek. Zwłaszcza jeśli ktoś zasłużył sobie na cierpkie słówka, tak jak zdaniem kolegów zasłużył na nie Jarek. Ale nie przy obcych. Przy gościach. A już w żadnym wypadku, kiedy ci goście noszą spódniczki. Niech będzie, że ludzie ulegają niekiedy napadom szału, który trwa dopóty, dopóki są razem, a potem każdemu robi się głupio. Tylko że kto jak kto, ale Olik powinien wiedzieć o tym już teraz.

— Dajcie mu spokój — pisnął jakiś litościwy damski głos. I to była ta ostatnia kropla goryczy, jaką jest w stanie przyjąć jedno skołatane serce mężczyzny.

Jarek wyprostował się. Dłonie same zwinęły mu się w pięści. Bardzo powoli odwrócił się i powiódł spojrzeniem od jednej zaróżowionej blaskiem ognia twarzy do drugiej. Chłopcy ucichli. Znowu zaległo milczenie. Jakżeż inne od tej ciszy, która zapanowała po przybyciu Pawełka.

W ognisku pękł jakiś grubszy konar. Na nogi Jarka spadło kilka płatków gorącego popiołu. Z lasu dobiegło stłumione pohukiwanie nocnego ptaka. Odpowiedziało mu słabe echo od strony jeziora. Te głosy, wspinające się po gałązkach płomienie, poczerwieniałe twarze, które tak nagle stały się obce — wszystko to razem sprawiało, że chłopiec poczuł się bardzo daleki od rzeczywistości. Znacznie bardziej niż wtedy, w przestrzeni, wśród istot i rzeczy, przybywających z najdalszych światów. Wśród gwiazd...

Bezwiednie wznosił twarz ku niebu. Ostatnie światło wieczoru dawno już utonęło za horyzontem. Z lewej strony, nad czarną kreską lasu, wśród tysięcy filujących punkcików błyszczała Wega...

I wtedy właśnie spłynęło na Jarka olśnienie. Chcą zrobić z niego ofiarę? A gdyby wykorzystać okazję i odplacić im pięknym za nadobne? Nie trzeba wiele. Wystarczy

uczynić to, czego się domagają. Opowiedzieć, co mu się „śniło”. Nie przejdzie im przez myśl, że to on robi z nich durni, a nie na odwrót. Dobrze. Niech będzie sen. Przy okazji sprawdzi, jak by to było, gdyby spróbował opowiedzieć komuś ten „sen” jako prawdę...

Odchrząknął, odetchnął głęboko i nie spuszczać głowy powiedział z udaną niechęcią, żeby nie zwietrzyli podstęp:

— Co, rzeczywiście chcecie posłuchać?...

Z zadowoleniem stwierdził, że jego głos zabrzmiał tak, jak powinien. Ani za cicho, ani za głośno. Oraz że zadrgała w nim owa leniwa nutka, cechująca atletów i świadcząca o pewności siebie.

Chłopcom odebrało zdolność mówienia. Jak to? Miał być kawał. Znaleźli kozła ofiarnego i chcieli się trochę pobawić jego kosztem. W gruncie rzeczy nikt przecież nie wierzył, że ten spec od chowania się w mysia dziurę zdoła wykrztusić bodaj jedno słowo. Zresztą tak naprawdę wcale nie mieli ochoty słuchać. Kogo? Jarka Kolińskiego, zamiast nadleśniczego? O jakichś snach, zamiast o lesie, zwierzętach i kłusownikach? Dziecinada. Bzdury, dobre może dla ciotek, ale nie dla uczciwych, zahartowanych w bojach wodniaków... Tylko ktoś to teraz musiał powiedzieć. A przynajmniej rzucić hasło do wycofania się, i to w taki sposób, żeby dać po nosie temu tam, który stoi sobie jakby nigdy nic i próbuje zrobić ich w konia. No co, u licha, żaden się nie odezwie?...

— Mam mówić? — powtórzył spokojnie Jarek.

Nikt nie powiedział „tak”. Ale i nikt nie zaoponował. Na domiar złego Olik wrócił na swoje miejsce przy zgrabnych kolanach drużynowej, gdzie rozsiadł się wygodnie, przyoblekając twarz w wyraz pełnego pogody zaciekawienia.

I Jarek zaczął mówić.

Wojtek chrapał. Wojtek zawsze chrapał, ale głosy, które wydawał z siebie tej właśnie nocy, przechodziły wszelkie ludzkie wyobrażenie. Odzywały się w nich to stary, niewielki tartak, to motorower bez tłumika, to znowu wiatr szarpiący poluzowane żagle. Krótko mówiąc, o spaniu nie było mowy.

Jarek miał na niego swój wypróbowany sposób. Należało popuścić linkę przytrzymującą namiot, której zaczep wypadał dokładnie nad głową Wojlka. Wtedy płachta spadała mu na nos i chcąc nie chcąc przewracał się na bok. Cisza, jaka następowała, graniczyła z uczuciem, kiedy człowieka nagle przestanie boleć ząb. Wojtek miał bowiem zwyczaj chrapać tylko wtedy, kiedy leżał na wznak...

— Nieprawda! — dobiegł z mroku oburzony głos.

Jarek pokiwał głową.

— Powiedzmy — ustąpił — że chrapiesz także, kiedy śpisz na boku. Ale wtedy tak tego nie słyszać...

Ktoś parsknął śmiechem. Atmosfera przy ognisku nieco złagodniała i Jarek natychmiast wyczuł tę korzystną dla siebie zmianę.

— Cicho tam! — Olik przypomniał sobie o swoich obowiązkach gospodarza. — Nie przerywać!...

No więc Wojtek chrapał. A jedyny sposób, żeby go uciszyć, wymagał opuszczenia ciepłego śpiwora i wyjścia w kusej piżamce na zimną rosę. Linkę bowiem można było obluźować tylko z zewnątrz.

Jarek przeczekał chwilę, zatykając palcami uszy i wmawiając w siebie, że nic nie słyszy. Słyszał jednak. I jak słyszał! Nie było co się łudzić. Jeśli przed apelem miał jeszcze zdrzemnąć się chociaż przez parę minut, każda chwila zwłoki mogła tylko

pogorszyć sytuację. Rad nierad rozpiął śpiwór, zlął z pryczy i nie sznurując butów wyszedł z namiotu.

Na dworze było już jasno. Chłopiec zerknął na zegarek i stwierdziwszy, że jest dwadzieścia minut po czwartej, skwitował jakimś oburzonym, niezyczliwym pomrukiem dobiegające z namiotu odgłosy. Czwarła! Żeby tego Wojtka pokręciło razem z jego „hrr... fss... żżyy...” i czym tam jeszcze! Czwarła!

No dobrze. Jak długo go jednak nie pokręci, trzeba sobie poradzić samemu. Jarek westchnął żałośnie, po czym ruszył, wysoko unosząc stopy i starając się, aby jak najmniej kropli rosy wpadło mu za odstające cholewki butów. Dotarł do naciągu, przykucnął i zabrał się do zakleszczonej przy śledziu pętli.

Wtedy przy samym brzegu jeziora zbudził się jakiś ptak. Chłopiec odwrócił głowę, żeby popatrzeć, i już nie wrócił do nasiąkłej rosą linki. Wojtek spokojnie dochrapał noc do rana.

Na wodzie unosiła się lekka warstwa błękitnawej mgły. Tu i ówdzie otwierały się w niej jak gdyby okna, przez które było widać powierzchnię jeziora, gładką i lśniącą jak polerowana stal.

Wyprostował się i odetchnął głęboko. Powietrze pachniało czystością. Błękit nieba spopielał, ale księżyc tkwił jeszcze wysoko, w całej okazałości, podobny do wielkiego, miedzianego garnka. Były i gwiazdy, nieco przybladłe, jakby odpływały w jeszcze dalsze rejony wszechświata.

Niżej, na zachodnim brzegu jeziora, wysokie sosny wystawiały już głowy do wschodzącego słońca. Różowawe języki światła ześlizgiwały się wciąż niżej po ich prostych, pozbawionych gałęzi pniach. Ptak przy brzegu umilkł, ale z lasu zaczęły dobiegać pojedyncze głosy jego zaspanych pobratymców.

Jarek ponownie zaczerpnął w płuca powietrza. Odechciało mu się spać. Przeszło mu przez myśl, że warto zobaczyć czy w tym młodniaku koło poręby nie wyrosły przez noc jakieś podgrzybki. Myśl wydała mu się niezła. Wrócił do namiotu, ubrał się, wsadził do kieszeni paczkę herbatników i był gotów. Na odchodnym uściśnął Wojtka za wielki palec u nogi. Myślicie, że się obudził? Akurat. Chrapnął tylko głośnie, jak ruszająca ze stacji lokomotywa.

Szedł nie śpiesząc się, zadowolony, że ranek jest taki piękny i że do apelu pozostało mu przeszło cztery godziny. W pewnym momencie uśmiechnął się do siebie. Pomyślał że właściwie powinien być Wojtkowi wdzięczny za to chrapanie. Tylko ono mogło sprawić, że o tej bądź co bądź niezwyklej porze porzucił ciepły śpiwór i znalazł się w sercu Puszczy Drawskiej. A warto było. Świat jest taki świeży, pachnący, cichy...

Minął trzy czy cztery przecinki, odchodzące od jeziora, w końcu przegapił tę właściwą i musiał się cofać. Ale kiedy wreszcie skręcił z piaszczystej, wyjeżdżonej ścieżki, miał pewność, że jest na dobrej drodze. Pamiętał wielkie, ogrodzone dylami mrowisko po prawej stronie i charakterystyczny układ zbiegających się w pewnym miejscu dawnych rowów strzeleckich. Wiedział, że mniej więcej pół kilometra dalej wyjdzie na wzniesienie, gdzie przecinka rozszerza się tworząc małą polanę i gdzie wystające z ziemi dachy trzech bunkrów tworzą jakby fundament jakiejś nigdy nie zbudowanej, ogromnej, trójkątnej wieży. Dalej droga wiodła przez wilgotną, porośłą paprociami i mchem kotlinkę, wznosiła się i wpadała między stare, rzadko stojące drzewa, z których niemal każde było nacechowane płytkimi nacięciami w kształcie choinki. Z tych nacięć spływała gęsta jak wosk żywica, gromadząc się w przytwierdzonych do pni blaszanych kubkach. Zawartość kubków przelewano następnie do dużych beczek, w których pachnący towar wędrował w świat, do fabryk i przetwórci chemicznych. Przez te właśnie drzewa przeświecała już poręba, gdzie tego lata urzędowali drwale, gdzie powietrze rozdzierał jazgot pił mechanicznych i gdzie

raz za razem jęczała ziemia, pod ciosami walących się dwustuletnich sosen.

O tej porze dnia, a raczej ni to dnia, ni nocy, na porąbie panowała jednak taka sama cisza jak w najbardziej niedostępnych zakątkach puszczy. Ale nawet gdyby tam wówczas pracowali ludzie, nie udałooby się Jarkowi do nich zbliżyć. Nie dotarł nawet do owej wilgotnej kotlinki. Znalazł się za to zupełnie gdzie indziej i o tyle dalej, o ile dłużej trzeba iść z równika do bieguna, niż z pokoju do kuchni. A nawet! znacznie dalej.

Ale nie uprzedzajmy faktów.

Dochodził właśnie do tej polanki na szczycie wzniesienia, gdzie stały zagrzebane w ziemi owe trzy bunkry, kiedy nagle nad jego głową coś błysnęło. Zatrzymał się i spojrzał w górę. Nie zobaczył nic. Ciemne od spodu korony drzew, a pomiędzy nimi już jasne od słońca błękitne niebo. Kiedy tak stał, zadzierając głowę jak kot do siedzącego na drzewie wróbla, gdzieś przed nim rozległ się wyraźny metaliczny szczęk. Tak jakby dwa wagony niezbyt mocno stuknęły się zderzakami. Opuścił głowę i osłupiał.

Nie wiem, czy słowo „osłupiał” zabrzmia tutaj jak należy. Jeśli możecie sobie wyobrazić, co czułby poważny człowiek, na przykład pan Kowalik od geografii, do którego by w parku, na alejce, podjechał nagle na wrotkach prezydent Stanów Zjednoczonych z długim rybem ogonem i powiedział ochrypłym głosem: „... daj dychę...” — to będzie mniej więcej to. Zresztą, co tam. Za często używamy rozmaitych słów, przy byle okazji, żeby umieć się wygadać, kiedy nadejdzie naprawdę wielka chwila. Niech więc będzie, że osłupiał.

Jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów przed nim, w samym środku polany, wyrósł czwarty bunkier. Tak jak tamte, miał białe szare ściany, pozbawione okien i w ogóle jakichkolwiek otworów. Tyle, że jego powierzchnia lśniła jak szkło. A poza tym Jarek nie widział w życiu bunkra, który by miał kształt lekko spłaszczonego jaja o obwodzie co najmniej stu metrów w najszerszym miejscu. Mało tego. Wodząc nieprzytomnym wzrokiem po tajemniczej budowli chłopiec odkrył nagle, że pomiędzy jej najniższym punktem a powierzchnią gruntu widnieje całkiem wyraźny prześwit. Czyli że całe to monstrualne jajo unosi się nad ziemią, zawieszona nieruchomo w powietrzu.

Skądś z lasu, z niezbyt wielkiej odległości ponownie dobiegł stłumiony, dźwięczny odgłos trąconego metalu. Jarek drgnął i odruchowo rozejrzał się wokół siebie, szukając jakiegoś świerczka czy kępy krzaków, które mogłyby mu użyć schronienia. Ale niczego takiego w pobliżu nie było. W końcu, cofając się krok po kroku, przywarł plecami do szorstkiego pnia starej sosny i znieruchomiał.

Cisza. Las dookoła zamarł. Z gęstwiny drzew nie dobiegał najcichszy bodaj szmerek. Nawet ptaki umilkły, jakby czymś spłoszone.

Minuta. Dwie. Trzy...

Chłopiec z ulgą wypuścił z płuc powietrze. Teraz dopiero spostrzegł, że od dobrej chwili wstrzymywał oddech. Powoli odwrócił głowę i ponownie spojrzał przed siebie.

Przecinka była pusta. Szeroki pas ostrego, jasnego błękitu pomiędzy ciemnym szpalerem drzew. Ani śladu osobliwej budowli, czy latającego jaja, cokolwiek ono było.

Ciekawe, co Wy zrobilibyście na miejscu Jarka? Znam takich, którzy co prędzej wzięliby nogi za pas i mogę się założyć, że nikt nie miałby im tego za złe. Ale znam i innych.

Gwoli sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że pierwszym odruchem chłopca, było oddalić się tą samą drogą, którą przyszedł. Już go widzę jak stąpa dostojnie, nie śpiesząc się, z miną, jakby nigdy nic. Kto wie, może oddaliwszy się już nieco od feralnego miejsca, zagwizdałby sobie jakąś dziarską melodyjkę?

Ale Jarek nie poszedł za tym odruchem. Trudno przewidzieć czy postąpiłby tak samo, gdyby to coś stało tam nadal na szczycie wzniesienia, czy raczej nad szczytem, zagradzając sobą dalszą drogę. Teraz, wobec otwierającej się przed nim perspektywy szerokiego korytarza prowadzącego w czysty błękit, wobec milczenia lasu, obraz sprzed kilku minut i związane z nim obawy wydały mu się równie nierzeczywiste jak wspomnienie jakiegoś snu, który nawiedził go we wczesnym dzieciństwie. Ale przecież zakładając nawet, że uległ złudzeniu, musiało zajść coś, co to złudzenie spowodowało. Jakaś gra promieni słonecznych, mgła, czy coś w tym rodzaju. Ciekawe byłoby popatrzeć, jak to wygląda z góry. Może jakiś fantastyczny obłoczek jest tam jeszcze, tylko ukrył się za wierzchołkiem wzgórza?

A jeśli to nie żadna mgła czy harce promieni słonecznych, myszkujących w koronach drzew? Jarek oczywiście słyszał i czytał o latających talerzach. Nie raz i nie dwa rozmawiał o nich z ojcem. Oglądał rysunki, a nawet tajemnicze fotografie, które zachwycały pewnych wielkich uczonych, po to, aby inni wielcy uczeni mieli się z kogo pośmiać. Tata Jarka miał wyrobione zdanie na ten temat. To znaczy nie miał żadnego. „Byłoby nedorzecznością” — powiedział kiedyś gdyby spośród miliardów planet tylko naszą Ziemię miały deptać istoty podobne do Ciebie i do mnie. A jeśli tak, to prędzej czy później spotkamy takich, w całym tego słowa znaczeniu, cudzoziemców. Może my polecimy do nich, a może oni najpierw przylecą do nas. Jeśli już nie przylecieli i nie podglądają nas teraz z tych swoich latających talerzy, które również dobrze mogą być zupełnie naturalnym zjawiskiem, jak na przykład zorza polarna, czy błyskawice. Pożyjemy, zobaczymy, jak mówią Rosjanie. Gdyby to naprawdę mieli być oni, to przecież z lego ich latania nad na mi coś w końcu musi wyniknąć. Albo machną ręką lub jakąś macką, która im ją zastępuje, i polecą gdzie pieprz rośnie, albo wyleżą wreszcie ze swoich spodków, żeby nam powiedzieć «dzień dobry»”.

Tu ojciec Jarka zasepił się i dodał:

— W każdym razie, będąc na twoim miejscu, nie liczyłbym na to, że wylądują właśnie jutro, akurat na podwórku waszej szkoły i do tego dokładnie w czasie klasówki z fizyki. Dlatego zajmij się teraz sprawami naszego świata i znikaj w swoim pokoju...”

Mniejsza o to zakończenie, równie banalne jak niestety typowe dla większości rozmów z rodzicami. Dość, że Jarek po kilkudziesięciu godzinach spędzonych razem z ojcem nad czasopismami popularno–naukowymi, a także po kilku wizytach w obserwatorium astronomicznym, jeśli nie wiedział o latających talerzach więcej, niż zwykli śmiertelnicy, to w każdym razie oswoił się z ich ewentualnym istnieniem. Traktował je też po prostu, jako zagadkę naukową, niechby nawet szczególnie pasjonującą, ale nie jak twory pokrewne upiorom czy innym strzygom, zaludniającym świat opowieści kamerdynerów w starych, angielskich zamczyskach.

Krótko mówiąc, Jarek, zamiast wycofać się na z góry upatrzoną pozycję, postął jeszcze kilkadziesiąt sekund, po czym wyprostował się, wyprężył klatkę piersiową i ruszył przed siebie.

Błysnęło. Najwyraźniej w świecie, na szczycie, nie dalej już niż o czterdzieści kroków, zapłonęło ostre, klujące wzrok światło. Mignęło, pozostawiając wirujące pod powiekami płatki i zgasło.

Chłopiec stanął jak wryty. W dalszym ciągu przecinka i otaczający ją las pogrążone były w martwej ciszy. Gałęziami drzew nie poruszał najbliższy podmuch wiatru. Ptaki milczały nadal.

Rozejrzał się. Jego wzrok natrafił na porzucony przez kogoś tuż przy ścieżce pieńek młodego świerczka. Jego grubszy koniec, ogołocony z kory, aż prosił się o

uchwyt mocnej, męskiej dłoni. Jarek, nie zastanawiając się, po co to robi, postąpił do przodu i podniósł kij. Od razu poczuł się nieco pewniej.

W momencie jednak kiedy już uzbrojony prostował się i unosił nogę, żeby ruszyć dalej, oślepił go nowy błysk, ostry jak światło reflektora. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że źródło tego światła znajdowało się niemal tuż przed nim, na placyku pomiędzy trzema bunkrami. Jakby siedziało tam jakieś dziecko i bawiło się dużym lustrem, puszczając przybyszowi w oczy słoneczne „zajaczki”. Tylko że droga przed Jarkiem, polana na szczycie wzniesienia, ciemne dachy bunkrów, wszystko to było widoczne jak na dłoni. I nie było tam śladu żadnego dziecka ani w ogóle nikogo.

Tym razem nie zatrzymał się. Przeciwnie, przyśpieszył. Przeszło mu przez myśl, że choćby to wyglądało nic wiem jak nieprawdopodobnie, tam przed nim rzeczywiście wylądował jakiś latający pojazd, którego załogę do tego stopnia przestraszył widok zbliżającego się Ziemiańszczyzny, że uciekła pośpiesznie, zapominając o zainstalowanym przez siebie urządzeniu sygnalizacyjnym.

Wydłużył krok. Biegł już niemal, w jakimś gorączkowym zapamiętaniu, pomimo że w oczy kłuły go powtarzające się teraz raz za razem piekielne błyski. Ich światło zmieniło barwę, z żółtawych stały się najpierw różowawe, a potem, raptownie, jaskrawo pomarańczowe. Jarek zacisnął powieki i biegł dalej na oślep, prując przed sobą powietrze trzymanym na sztorc kijem. Wtedy usłyszał narastające, niskie buczenie, jakby tuż przy uchu odezwały mu się najgrubsze piszczalki organów. Ich dźwięk zaczął się wznosić. Równocześnie odezwały się w nim zagłuszone, zmieszane głosy ludzi. Jarkowi wydało się, że rozpoznaje przeciągłe wołanie, jakim Olik kończył zazwyczaj wydawane przez siebie komendy. To utwierdziło go w mniemaniu, że ulega złudzeniom. Przecież nie ma tutaj żadnego Olika. A jeśli go nie ma, to pomarańczowe błyski także powstają jedynie w jego własnej wyobraźni.

Buczenie zmieniło się w jazgotliwe wycie i uciekło w najwyższe rejestry gamy. „Stój!” — przebił przez nie czyjś rozpaczliwy okrzyk. I tym razem brzmiało w nim coś znajomego. Jakby Olik, ale i ojciec i ktoś jeszcze...

Otworzył oczy, nie zwalniając ani na moment. Był już na górze. Płaski, porośnięty mchem dach pierwszego bunkra pozostał kilka metrów z tyłu. Dosłownie dziesięć kroków dzieliło go od środka polany, to znaczy od miejsca, gdzie przed chwilą ujrzał to jakieś unoszące się nad ziemią olbrzymie jajo.

Wtedy nagle spostrzegł, że koniec jego kija, który ciągle trzymał przed sobą, jak przygotowaną do pchnięcia szpadę, rozjarzył się przeraźliwie jasnym płomieniem. Równocześnie sam kij stawał się krótszy i krótszy, jakby pogrążał się w jakiejś niewidocznej zasłonie. Chłopiec odruchowo rzucił się do tyłu. Ale jeszcze nigdy nikomu nie udało się zatrzymać w miejscu, a co dopiero, kiedy ten ktoś biegnie z takim zapamiętaniem jak wtedy Jarek. Przyhamował, owszem, cóż z tego jednak, skoro jego dłoń, zaciśnięta na kiju zdążyła dotrzeć do miejsca, gdzie ten zniknął z pola widzenia.

Chłopcem wstrząsnęło potężne uderzenie, potem drugie, zawirowało mu przed oczami, ziemia uciekła spod nóg i stracił przytomność, zanim jeszcze jego głowa zetknęła się z powierzchnią gruntu.

— O rany... — dobiegł z mroku czyjś zachwycony głos. Jarek przerwał na chwilę. Stał kilka sekund bez ruchu, jakby usiłując przypomnieć sobie, gdzie jest i co tu właściwie robi, po czym potrząsnął głową i odetchnął głęboko.

Ognisko przygasło. W jasnej plamie popiołu zarzyły się jedynie jakieś dwie czy trzy większe głownie. Krąg ciemnych postaci trwał nieruchomo, jakby to nie byli żywi chłopcy, ale zaklęci w kamień rycerze lub leśne duchy.

Jarek odruchowo poszukał wzrokiem drużynowego. Olik był tam gdzie przedtem.

Siedział na swoim miejscu, tylko jeszcze nieco bliżej czarnowłosej Marylki. Jego twarz tonęła w cieniu. Ale nie poruszył się, tak samo jak inni.

Jarek przykucnął i rozdmuchał żar w ognisku. Następnie odwrócił się, chcąc pójść po nową porcją chrustu.

— Zostaw — powiedział ktoś półgłosem. Usłyszał trzask gałązek, po czym z mroku wyłonił się Jacek, dźwigający potężną naręcz drewna. Ognisko zasyczało i zaszczypało w oczy gryzącym dymem. Trwało parę chwil, zanim w kłębach tego dymu ukazały się pierwsze płomyki.

— No, no?!... — zabrzmiał cienki, natarczywy głos, ten sam; który przedtem wyraził stan uczuć swego posiadacza pełnym znaczenia „o rany...”

Jarek uśmiechnął się. Poznał Pawełka, który przychodząc usprawiedliwić nieobecność swojego taty, natchnął Węży pomysłem, żeby dla kawału kazać mówić właśnie jemu. I proszę. Kto komu właściwie robi teraz kawał? Przecież on opowiada im swój „sen”. Sen, dobre sobie...

Nie boję się siebie...

Z zupełnych ciemności wyłoniła się smuga bladego światła, jaka czasem pozwala dostrzec wirujące w powietrzu pyłki, kiedy przez okno wpadnie do pokoju garść promieni słonecznych. Pocięła. Jarek chłonał to ciepło przynoszące spokój i poczucie bezpieczeństwa, jak gdyby był jeszcze małym chłopcem i nie budząc się przyjmował do wiadomości, że ojciec poprawia mu kołdrę, którą skopał z siebie w czasie snu. Zamruczał niecierpliwie, jak zwykł to robić wtedy.

— Głupi jak podogonie... — powiedział ojciec. Tak, to na pewno był głos ojca, chociaż bardzo daleki i jakby zniekształcony. Zresztą, któż inny mógł wymówić akurat to zdanie. „Głupi jak podogonie” należało do żelaznego repertuaru taty. Początkowo Jarka denerwowało to powiedzenie. „Tak się teraz nie mówi”... pouczył kiedyś ojca z urazą w głosie. Mama zaśmiała się i wytłumaczyła, że tak mówił stary Macko z „Krzyżaków” Sienkiewicza. Ojciec natomiast zasumował się i spytał z udanym zdziwieniem: „jak to się nie mówi? A co ja powiedziałem?”

— Powiedziałeś, „głupi jak podogonie...” — kupił Jarek.

— A widzisz — ucieszył się tato. — To znaczy, że się mówi...

Zaraz, zaraz. Wszystko to ładnie, ale przecież po pierwsze, Jarek nie jest już tym małym chłopcem, który wtedy wdał się z ojcem w ów niefortunny filologiczno-obyczajowy dyskurs, po drugie, skąd ten głos tutaj, na obozie, a po trzecie wreszcie, kto tym razem miałby być głupi i dlaczego?

— To sen — mruknął, nie otwierając oczu. — Trochę dziwny...

Nie ulegało wątpliwości, że sen był dziwny. Jarek usłyszał bowiem swój własny głos brzmiący tak czysto i wyraźnie, jakby odpowiadał na lekcji. I to w takich sprzyjających okolicznościach, kiedy człowiek akurat ma coś do powiedzenia. A w dodatku zanim zdążył zastanowić się, co to może znaczyć, tuż przy jego uchu ktoś odezwał się znowu:

— Leż spokojnie, synku... Choróbsko bardzo nie lubi, kiedy się tak leży...

To znowu musiała być mama. Ale dlaczego, u licha, mama przemawia głosem ojca?...

Majacze — powiedział sobie Jarek. To żaden sen tylko przywidzenia. Jestem chory i słyszę głosy. Kontuzja — z wysiłkiem wyłuskał z pamięci słowo, które wydało mu się właściwe. Odniosłem kontuzję.

I nagle przypomniał sobie, że odniósł ją naprawdę. Pamiętał już wszystko. Natarczywe, przejmujące buczenie, oślepiające migotanie światła, wybuch płomienia na końcu kija i potem cios, który pozbawił go przytomności.

— A więc jeszcze jej nie odzyskałem — próbował się uspokoić. Mam gorączkę i przywiduje mi się to czy tamto. Mama ma rację. Powinienem leżeć spokojnie i czekać, aż wszystko się wyjaśni...

— Głupi jak podogonie — odpowiedziała mama. Dlaczego mama, tego nie był w stanie pojąć. Przecież nawet majaczenie ma swoje granice. Na domiar złego, tylko początek tego zdania był wypowiedziany głosem mamy. „Jak” zabrzmiało już grubiej, a „podogonie” dokończył za mamę ten, kto powinien był przemówić od początku, to znaczy ojciec. Głupia historia. Głupia jak...

— „...podogonie” — dokończył Jarek, niemal krzyżąc. Dokonawszy tego, usiłował otworzyć oczy. Niestety, bez powodzenia. Na powiekach spoczęły mu jakieś ciężary i w żaden sposób nie pozwalały się stamtąd zepchnąć. Tymczasem sytuacja stawała się nagląca. Dotychczas Jarek mamrotał sobie pod nosem, nie wiedząc nawet, czy naprawdę mówi na głos czy mu się tylko tak zdaje. Dopiero w to ostatnie słowo

włożył tyle siły, na ile go było stać. A jeśli nawet chwilowo nie było go stać na bardzo wiele, to przecież wystarczyło, aby ten krzyk powrócił do jego uszu jakimś głuchym, w najwyższym stopniu niepokojącym echem.

Jakby sprawca alarmu, którym mógł być jedynie on sam, znajdował się wewnątrz wielkiej, szczelnie zamkniętej skrzyni.

Wewnątrz wielkiej skrzyni...

Ta myśl była nie do zniesienia. Jarek zebrał się w sobie, wstrzymał oddech i nagłym szarpnięciem usiłował poderwać głowę. Przeszył go ostry ból. Ale nie taki, jakiego doznaje ktoś, kto złamał sobie nogę, nadwreżył kręgosłup czy też komu dokuczają nie zabliźnione rany po nieszczęśliwym wypadku. Było to raczej coś takiego, jakbyście wsadzili dłoń do beczki pełnej kleju, a kiedy ten klej zaschnie, próbowali ją stamtąd wyrwać. Głowa Jarka tkwiła bowiem unieruchomiona w jakimś ciasno przytwierdzonym do łóżka hełmie.

Opadł z powrotem i odczekał chwilę, zmęczony bezskutecznym wysiłkiem. Następnie ostrożnie poruszył nogami, lewą, potem prawą. Nogi okazały się posłuszne. Mógł je swobodnie zginać i prostować, mógł nawet oderwać je od tego, na czym spoczywały. To już nieco lepiej. Ośmielony, spróbował szczęścia z rękami. Uniósł je jedna po drugiej i potrzymał przez chwilę w powietrzu. Następnie przekonaawszy się, że ręce też pozostawiono mu wolne, pozwolił im opaść, po czym desperackim ruchem chwycił się oburącz za głowę. Jego palce stuknęły o twardą, gładką powłokę jakiejś kulistej konstrukcji, przypominającej dynię. Oczywiście dynię, którą przecięto u podstawy tak, żeby można w nią włożyć czyjąś głowę.

W tym samym momencie ujrzał dwa wąskie pasemka światła, dwie rozjaśnione szczeliny i uprzytomnił sobie, że leży z szeroko otwartymi oczami. Nie miał pojęcia, kiedy je otworzył. Ten fakt jednak niczego nie zmienił. Całe jego pole widzenia, to były właśnie owe dwie szczeliny, dwie jasne kreski, tuż nad dolnymi powiekami. Wyżej ciemniała jakaś nieprzenikniona, matowa masa.

Ponownie zabębnił palcami o jej zewnętrzną powierzchnię. Wydała stłumiony dźwięk, jakby została wykonana z prasowanej waty.

— Leż spokojnie — ostrzegł szybko jakiś głos.

Dawno ich nie było — pomyślał Jarek. Tym razem głos, który zresztą brzmiał wcale życzliwie, nie należał do ojca ani do matki. Mimo to było w nim coś znajomego. Chłopca ogarnęło dziwne wrażenie. Jakby nagle odezwali się do niego wszyscy krewni i znajomi, ale jednym, wspólnym głosem. Nedorzecznosc.

— Nedorzecznosc — powiedział głośno.

— Nie rozumiemy — zastrzegł się natychmiast ktoś, kto mówił wszystkimi głosami naraz. — Leż spokojnie — powtórzył. — Nie jesteś jeszcze w pełni sił. Zostałeś porażony ochronnym polem siłowym statku. Jeszcze kilka podstawowych jednostek czasu i będziesz mógł wstać. Szok minie bez jakichkolwiek następstw. Przygotuj się na stan nieważkości. Nie odczuwasz go, jak długo leżysz, ale potem możesz mieć kłopoty. Statek jest bezzałogowy i dlatego nie wyposażono go w sztuczne pole grawitacyjne...

Szok, statek, pole ochronne, pole grawitacyjne... ile jeszcze tych „pól”? Zresztą, czy trzeba więcej? W ogóle nic już nie trzeba. Wszystko jasne, prawda?...

No to stało się — pomyślał Jarek. I tylko tyle. Możecie wierzyć albo nie, ale tak właśnie było. Był już przytomny. To znaczy na tyle przytomny, na ile to bywa możliwe w niemożliwej sytuacji. Jestem na statku — powiedział sobie. Ma się rozumieć, że nie na ziemskim statku. A więc znalazłem się wśród obcych. Nie wśród ludzi, których nie znam, tylko wśród nie ludzi. Porazili mnie tym jakimś polem i obezwładnili. A potem wciągnęli na pokład i wystartowali. Nie ma się co łudzić, że unosimy się dalej nad lasem w pobliżu obozu. Jeśli ten ktoś mówi o stanie

nieważkości... wiadomo, gdzie człowiek może popaść w stan nieważkości. Poza atmosferą. Poza strefą przyciągania ziemskiego. To znaczy bardzo, bardzo wysoko. A raczej daleko. Bo dzieje się tu już po przekroczeniu tej granicy, poza którą wysokość staje się odległością...

Zaraz, zaraz, co ten typ mówił o statku?...

— Jak to bezzałogowy?! — Jarek ocknął się nagle. — A ty kim jesteś?

Spokojny, beznamiętny głos odpowiedział bez chwili zwłoki:

— Jesteśmy przystawką semantyczną komputera scalającego jednostki zero jeden zero zero jeden jeden jeden zero jeden.

Aha. No, to przynajmniej jest jasne.

— Wywołanie pomocnicze zero jeden... — uzupełnił uprzejmie ktoś, kto był przystawkami.

W porządku. Przystawka semantyczna komputera jednostki numer zero jeden... dobrze. Nie bądźmy małostkowi i nie wdawajmy się w drobiazgi. Coś jednak chłopca uderzyło.

— Dlaczego właściwie — zagadnął — mówisz o sobie w liczbie mnogiej?

— Nie rozumiemy pytania — odpowiedziały przystawka. Lub też odpowiedziała przystawki. Jak komu lepiej pasuje.

— Nie szkodzi — ustąpił Jarek. Czuł się z minuty na minutę lepiej. Czuł się tak dobrze, że w końcu go to zastanowiło.

Dziwne — pomyślał. — Tkwię w jakimś jajowatym pudle licha wie gdzie, w dodatku z głową uwięzioną w ogromnej bani i zdany na łaskę istot, przy których ziemski bazyliżek mógłby być moim bliźniaczym bratem. Ba, nawet nie ich samych, tylko ich automatów.

Mało tego. Z każdą sekundą oddalam się od Ziemi, nie mając bladego pojęcia, czy ta podróż skończy się na Księżycu czy na najdalszej ze wszystkich możliwych gwiazd. Nie wiem także, czy przywitają mnie tam jak stworzenie obdarzone w końcu jakimś ludzkim rozumem czy też wsadzą do klatki i będą pokazywać swoim dzieciom, pouczając, że wolno mi dawać tylko marchewkę. Nie mówiąc o takim drobiazgu jak ten, że nie wiem, czy kiedykolwiek strzeli im do głowy odstawić mnie z powrotem, to znaczy czy zobaczę jeszcze rodziców, kolegów, Solę... Biorąc to wszystko pod uwagę, powinienem być nieprzytomny ze strachu. Powinienem się kulić, kłapiąc zębami, niezdolny do poruszenia ręką ani nogą i tylko bełkotać coś bez związku, jak baran, pędzony do rzeźni. Tymczasem czuję się jak młody bóg, zabawiam przyjacielską rozmową te, jak im tam... przystawki, chce mi się tańczyć i śpiewać, a nawet nie miałbym nic przeciw uczciwej jajecznicy na kiełbasie. Czy ktoś tutaj nie próbuje zrobić ze mnie balona? Że niby wszystko tak cacy, cacy?...

— Słuchaj no — odezwał się z groźbą w głosie. Jest mi odrobinę zbyt wesoło. Czy to znaczy, że zwariowałem, czy też byliście łaskawi zaaplikować mi jakieś paskudztwo?...

— Proszę powtórzyć pytanie — zafrasowały się przystawka.

Jarek wzruszył ramionami. To znaczy, wzruszyłby, gdyby nie pewne okoliczności.

— Czy dalszcie mi coś, co wprowadza człowieka w dobry humor, chociaż on sam wcale sobie tego nie życzy? — powiedział wyraźnie akcentując sylaby.

— Jesteś pod opieką automatycznego zespołu medycznego — padła odpowiedź. — Zastosowano normalną terapię przeciwwstrząsową, przewidzianą dla organizmów białkowych. Twój system nerwowy podłączony do aparatury diagnostycznej jest chwilowo pod wpływem stymulatorów. Ten stan...

— Czego?! — przerwał niezbyt uprzejmie Jarek. Pod wpływem czego?!

— Stymulatorów. To znaczy jego funkcjonowanie reguluje specjalna aparatura...

— Wyłącz to zaraz!

Tym razem przystawka spóźniły się z odpowiedzią o kilka sekund.

— Stymulatory wyłączą się automatycznie — w głosie komputera zero jeden zero... i tak dalej zabrzmiała nutka urazy — po zakończeniu kuracji. Już niedługo. Trzy, cztery podstawowe jednostki czasu...

— To, znaczy kiedy?! — wyrwało się Jarkowi. Nie umiesz mówić po ludzku?

— Nie — odrzekły uprzejmie niezrażone przystawka. — Nie mamy zakodowanej waszej miary czasu.

Jarek ugryzł się w język. Rychło w czas. „Mówić po ludzku”. Po ludzku, też coś!

Umilkł. Ale coś go korciło, żeby mówić dalej. Po prostu był w zbyt dobrym nastroju, żeby milczeć dłużej, niż przez kilka sekund. Wszystko jedno, czy to za sprawką tych jakichś stymulatorów czy innego świństwa, czy w końcu całkiem zwyczajnie, jak to bywa, kiedy człowieka spotka bardzo przyjemna niespodzianka.

— Dokąd lecimy? — spytał.

— Lot w nadświetlnej zwykłym korytarzem do bazy numer zero jeden zero...

— Dobra, dobra — zirytował się Jarek. — Gdzie to jest?

— Na trzecim satelicie największej planety badanego układu.

Chłopiec pomyślał chwilę. Oczywiście, układ planetarny przewertował z ojcem od deski do deski. Mimo to nie byłby sobie przypominał, gdyby nie uczucie niezwyklej lekkości, jakiego doznawał. Uczuciu temu towarzyszyła przedziwna jasność myśli, jakby jego umysł, tworzący i przetwarzający najróżniejsze obrazy, pracował pod wpływem specjalnych, a nie znanych ziemskiej nauce wzmacniaczy. Jedna rzecz pozostała jednak do wyjaśnienia.

— Jaki to układ? — spytał Jarek, tak spokojnie, jakby chodziło o pierwsze lepsze miasteczko, przelatujące za oknami pociągu.

Układ gwiazdny numer... — przystawka urwały i odczekały chwilę, jakby potrzebowały czasu do zastanowienia.

— Wasz układ słoneczny — padło wreszcie.

Mimo wszystko Jarek odetchnął. No tak, dla nich to po prostu system planetarny gwiazdy numer taki a taki. Układ słoneczny. Cóż, można i tak.

A więc to, że sobie przypominał, ma jednak pewne znaczenie. Największą planetą jest Jowisz. O, o Jowiszu nasłuchiwał się od ojca wielu różnych ciekawych rzeczy. Na przykład tego, że ma aż kilkanaście księżyców. Więc to na jednym z nich te stwory założyły swoją bazę. Trzeba przyznać, że dyskretnie. I w przyzwoitej odległości. Trzeci satelita... nie, jego nazwa jakoś, nie przychodziła chłopcu na myśl. Ale mniejsza z tym.

Przypomni sobie na miejscu albo... po powrocie.

— Odeślecie mnie na Ziemię? — zaryzykował pytanie.

Komputer znowu zrobił kilkusekundową przerwę, zanim odpowiedział:

— Tak.

— Kiedy?

— Zaraz, kiedy tylko będzie to możliwe — obiecały przystawka.

— To znaczy kiedy? — Jarek nie dawał się zbyć byle czym.

— Niedługo. Dowiesz się na miejscu. Baza nie otrzymała jeszcze szczegółowych dyspozycji z Centrali.

Aha — pomyślał chłopiec. Porozumiał się z tą swoją bazą. Pewnie dlatego kazał mi czekać na odpowiedź.

Jeśli pytam o coś, co ma zapisane w swojej własnej „pamięci”, odzywa się od razu. Kiedy indziej musi najpierw nawiązać łączność z bazą. Ciekawe, czy rozmawia wtedy z komputerem, maszyną, taką jak on sam, tyle że odrobinę „mądrzejszą”, czy też z jakąś istotą z krwi i kości.

— Czy w waszej bazie na tym satelicie są żywi... — Jarek zawahał się —

...ludzie?...

— Czasem przylatują — padła enigmatyczna odpowiedź.

— A teraz?

— Teraz baza jest sterowana automatycznie. Łączność utrzymuje główny komputer scalający, numer jeden zero zero jeden...

— Zamknij się — uciał niegrzecznie Jarek.

— Nie zrozumieliśmy?... —

— Nic, nic... — wycofał się szybko chłopak. — To znaczy, że nie ma tam nikogo żywego?

— Obecnie nie...

W tym momencie „kuracja” Jarka dobiegła końca. Nagle oślepiło go światło. Poczul, że kulisty przedmiot, obejmujący dotąd jego głowę, zniknął. Zrobił to nie wydając najcichszego szmeru, jakby roztopił się w powietrzu. Równocześnie w otoczeniu zaszła jakaś nieuchwytna w pierwszej chwili zmiana. Wrażenie obezwładnienia ustąpiło miejsca poczuciu dziwnej, niczym nie skrepowanej swobody. Chłopca ogarnął ten szczególny nastrój, który zdarza się bardzo rzadko, ale kiedy się już zdarzy, człowiek gotów jest wierzyć, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych, że może zrobić dosłownie wszystko, o czym tylko pomyśli.

Pozwolił wzrokowi przywyknąć do światła, po czym uniósł głowę i rozejrzał się wokół siebie.

Pomieszczenie, do którego trafił w tak dramatycznych okolicznościach, nie przekraczało wielkością wnętrza przeciętnej łazienki. Poza prostokątnym ni to stołem, ni tapczanem, na którym leżał, znajdował się tu tylko ustawiony w rogu jakiś nieduży, jak gdyby kredens czy pulpit, opatrzony mnóstwem kolorowych przycisków. Równie dobrze mógłby to być na przykład instrument muzyczny, gdyby oczywiście sterujące pojazdem automaty miały zwyczaj przygrywać sobie po kolacji. Poza tym przedmiotem wewnątrz kabiny było zupełnie puste. Lekko zaokrąglone ściany, pozbawione jakichkolwiek uchwytów, ozdób, czy innych sprzętów świeciły. Sączący się z nich blask był jednak łagodny. Miał delikatne, bladoróżowe zabarwienie i stwarzał złudzenie ciepła. Innego źródła światła w kabinie nie było.

Wodząc spojrzeniem po tych poświęcających matowo ścianach, Jarek uprzytomnił sobie nagle, że nie ma w nich żadnych drzwi, ba, żadnego, najmniejszego nawet otworu. To odkrycie zmroziło go w pierwszej chwili. Czyżby ta kabina, a może i cały pojazd obcych miał się okazać pułapką bez wyjścia?

— Nonsens — mruknął pod nosem. — Skoro potrafili mnie tu wsadzić, to tak samo na pewno potrafią i wydostać, gdy tylko, oczywiście, przyjdzie im na to ochota...

— Proszę powtórzyć — zabrzmiał natychmiast znajomy głos. — Nie zrozumieliśmy?...

Jarek uśmiechnął się. W dalszym ciągu czuł się wspaniale. To znaczy, odrobinę zbyt wspaniale, jeśli się nad tym zastanowić. Ale jak tu się zastanawiać, kiedy komuś jest po prostu lekko na sercu, jak nigdy dotychczas i nie ma takiej rzeczy na świecie, czy choćby wszystkich możliwych światach, która byłaby w stanie zmącić jego dobre samopoczucie.

— Nic nie mówiłem — rzucił wesoło. — To znaczy — poprawił się — o nic cię nie pytałem...

W odpowiedzi przystawka mruknęły coś niezrozumiale. Zabrzmiało to jak „zawracanie głowy” czy tak jakoś. Chłopiec zaśmiał się głośno i już otwierał usta, żeby powiedzieć coś wesołego, co powinno udobruchać jego niewidzialnego rozmówcę, kiedy nagle spostrzegł, że sufit kabiny zaczął się dość szybko obniżać.

Jeszcze sekunda, dwie i spocznie na nim całym swoim ciężarem...

— Halo!! — zawołał gorączkowo. — Co się dzieje?! Co robicie?!
— Stan nieważkości — zabrzmiała natychmiast lakoniczna odpowiedź. —
Upredzaliśmy cię, że statek jest bezzałogowy i nie ma sztucznego pola
grawitacyjnego...
— Moja głowa! — krzyknął przeraźliwie chłopiec, czując już na czole dotyk
nieubłagania nacierającej z góry płaszczyzny. Odruchowo skulił się w sobie,
oczekując bólu, który jednak nie nastąpił. Zamiast tego sufit, musnąwszy jego włosy,
począł się z powrotem oddalać, co prawda bardzo powoli i jak gdyby lekko falując.
— Stan nieważkości — powtórzyły z uporem przystawka. — Ostrzegaliśmy, żebyś
się nie ruszał...

Jarek spojrział w dół i zbaraniał. Że też od razu nie przyszło mu to na myśl! Tyle
razy oglądał przecież w telewizji i na filmach kosmonautów unoszących się w
powietrzu i wykonujących niezdarne, zwolnione ruchy, jakby to powietrze było
morzem, a oni wyrwaną z dna kępą wodorostów. A teraz sam, nie wiedząc kiedy,
powędrował pod sufit, któremu naturalnie ani się śniło obniżać, czy w ogóle ruszać z
miejsca. To tylko on wzleciał, jak nadmuchany gazem balonik. A że unosząc się do
góry nie zmienił pozycji, w której leżał, to znaczy na wznak, i widział tylko nad sobą
sklepienie kabiny wciąż bliżej i bliżej, więc musiał pomyśleć, że to sklepienie wali
mu się na głowę. Bądź co bądź, człowiek nie jest przyzwyczajony do tego, żeby
spadać pod górę, bo tak chyba należałoby się wyrazić.

Ostrożnie, wystrzegając się jakiegokolwiek gwałtowniejszego ruchu, spróbował
przekręcić się twarzą w dół. Poszło nadspodziewanie gładko. Kiedy tak koziołkował,
jak na zwolnionym filmie, ponownie przywarł do sufitu, tym razem plecami.
Przylgnął do jego gładkiej powierzchni szeroko rozczapierzonymi palcami i starał się
jej przytrzymać, tak żeby tam pozostać. Po kilku sekundach, mógł już o sobie
powiedzieć, że siedzi. A po kilku następnych poczuł się na tyle pewnie, że podciągnął
nogi i objął rękami kolana. Wszystko zależy od punktu, z jakiego się coś obserwuje.
Ktoś, kto przyjrzałby się teraz Jarkowi stojąc na głowie, byłby przekonany, że
chłopiec po prostu rozsiadł się wygodnie na podłodze. A przecież w stanie
nieważkości, to znaczy poza Ziemią, czy w ogóle z dala od jakiegokolwiek ciała
niebieskiego, tam gdzie ustaje już wpływ jego przyciągania, czyli grawitacji, stanie na
głowie jest pozycją równie naturalną jak każda inna. Wspaniała rzecz, kiedy się
pomyśli na przykład o sali gimnastycznej...

Ale w tej chwili Jarek nie myślał o sali gimnastycznej. Zastanowiło go natomiast
co innego. Mianowicie ten idealny spokój panujący w wypełnionej łagodnym
światłem kabine. Zupełna cisza, jakby jajowaty pojazd poruszał się bez
jakiegokolwiek napędu. Zrodziły się w nim pewne podejrzenia.

— Czy my lecimy? — spytał.
— Tak — odpowiedział natychmiast niewidoczny głośnik.
— Dlaczego tak cicho?
— Napędy fotonowy i grawitacyjny działają bezgłośnie — pośpieszył z
wyjaśnieniem komputer. — Natomiast napęd chemiczny włącza się tylko w
sytuacjach awaryjnych...

Aha. Fotonowy, grawitacyjny i chemiczny. Coraz lepiej. No trudno, może kiedyś
dowie się, co to wszystko znaczy. Jeśli, oczywiście, ziemscy profesorowie będą w
stanie rozszyfrować te pojęcia. Ale chyba tak. Ojciec użył kiedyś określenia
„fotonowy”. I to bodaj właśnie wtedy, kiedy była mowa o napędzie przyszłych rakiet
kosmicznych. Tylko że Ziemia nie ma jeszcze takich rakiet. A ci tutaj, tak. W tym
właśnie cała różnica. Chociaż nie, nie cała. Tych różnic musi być wiele. Skoro budują
bazy w obcych układach planetarnych, konstruują automaty, które odwalają za nich
całą robotę, nie wyłączając badania cudzych światów, skoro wreszcie potrafią tak

gładko posługiwać się mową mieszkańców tych światów, istot pod każdym względem innych niż oni sami... A może nie są aż tak bardzo inni?...

Jarek skupił się. Pomyślmy spokojnie... Leżanka, na której spoczywał, kiedy go leczono, mogła od biedy powstać na Ziemi. Była w sam raz. Ten kask, który obejmował jego głowę... trudno przypuścić, żeby akurat dla niego sporządzili na poczekaniu specjalną aparaturę... ciekawe...

— Skąd jesteście? — spytał podnieconym głosem. — To znaczy, gdzie mieszkają ci, którzy zbudowali ten statek?

Tym razem znowu odpowiedź kazała na siebie chwilę czekać. Niezbyt długo, ale zawsze te kilka sekund.

— Pojazd powstał w automatycznej stocznii, w bazie — padło wreszcie. — Budową kierował komputer numer jeden zero...

— Wiem, wiem — przerwał Jarek. — A ci, którzy zbudowali ten komputer? Chodzi mi o żywych ludzi... to jest — zreflektował się — żywe istoty... Jak się nazywa układ słoneczny, gdzie powstała wasza cywilizacja?...

Cisza.

Chłopiec odczekał chwilę, po czym powtórzył pytanie.

— Informacja blokowana — szczerknął głos, który nagle stracił przyjacielskie brzmienie. — Żałuję... pośpieszył złagodzić wrażenie. Co mu się zresztą nie udało.

— Co to znaczy? — zimno spytał Jarek.

Cisza. Jakby przystawka nagle ogłuchły.

A więc nie. Wszelka poufałość, do jakiej ewentualnie skłonne byłyby się posunąć komputery obcych, nie sięga poza martwe urządzenia. Poza maszyny. Zabawa kończy się w momencie, kiedy przychodzi mówić o ludziach. Czy jak tam oni siebie nazywają.

Po raz pierwszy, od kiedy uzyskał przytomność, Jarek poczuł się w tym przyjaznym na pozór otoczeniu naprawdę obco. Co zresztą nie znaczy, że gorzej. Szampański humor nadal nie opuszczał go ani na chwilę. „Kuracja”, którą przeszedł, spowodowała widać jakieś bardziej trwałe zmiany w jego usposobieniu. A poza tym co innego wiedzieć coś, a co innego przejmować się tym czymś. Prawdę powiedziawszy, Jarka niewiele obeszło, że twórcy tego wszystkiego, co go tutaj otacza, pragną pozostać nieznanymi.

— Czego szukacie na Ziemi? — spytał po chwili. — To chyba mam prawo wiedzieć...

— Stereotypowy sondaż kosmiczny... — głos płynący niewiadomo skąd tchnął znowu usługą gotowości. Jakby komuś, kto mówił, zależało szczególnie, aby zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie musiało pozostać po jego niedawnej odmowie. — Pomiary stopnia cywilizacji — ciągnął. — Poza tym kontynuacja poszukiwań śladów zaginionych ekspedycji...

— Jak to, zaginionych? — mimo woli zainteresował się Jarek.

Coś zgrzytnęło niemiłosiernie. Powietrze przeszył ostry gwizd, po którym nastąpiła seria trzasków, przypominających zakłócenia, jakie występują, kiedy słucha się radia wśród burzy z piorunami.

— Co się... — Jarek chciał spytać, co się stało, ale nie zdołał dokończyć zdania.

— Uwaga — zabrzmiał zniekształcony nagle głos komputera. — Przygotować się na powrót ciężenia. Wyjście z szybkości nadświetlnej. Odbieramy kod namiarowy z bazy. Lądowanie pierwszym korytarzem w punkcie zero. Statek na kursie... statek na kursie...

— Wszystko w porządku? — upewniał się Jarek.

— Tak — wychrypiał głośnik. — Teraz nie możemy rozmawiać. Utrzymujemy łączność z bazą. Statek na kursie... — powtórzył.

Plecy chłopca straciły naraz oparcie. Aha — przeszło mu przez myśl. Podłoga na powrót zaczyna stawać się sufitem. I na odwrót. Zaraz zaryję nosem...

Nie doszło jednak do tej ostateczności. W pole grawitacyjne docelowej planety, czy też tego jej trzeciego satelity, statek wchodził po łagodnej orbicie, jakimś zgrabnie wytyczonym i obliczonym atmosferycznym „korytarzem”, jak nazywają to kosmonauci. Mimo to w ostatniej fazie opadania na sufit, który niespodziewanie znalazł się na dole, ciało Jarka nabrało pewnego rozpędu. Toteż gdy siadł ciężko, a siadł w ścisłym tego słowa znaczeniu, to znaczy uderzył o podłogę miejscem przeznaczonym do siadania, musiał natychmiast potrząść to miejsce wyprostowaną płasko dłonią, przy czym pomagał sobie pomrukami, świadczącymi dobitnie o jego nieukontentowaniu.

Ukryte w ścianach czy też za nimi głośniki przystawki komputera odezwały się znowu. Teraz jednak wydawały z siebie dźwięki pozbawione znaczenia, przynajmniej w tłumaczeniu na ludzki język. Ciągły gwizd zmieszany z trzaskami zaczął się rwać, następnie zaszły w nim jakieś procesy porządkujące, przycichł nieco, aż wreszcie przeszedł w regularne dłuższe i krótsze dźwięki, jakby ktoś sygnalizował alfabetem Morsego.

— Pi — pi — pi — pipi — pi — pipi...

— Pi — pipi — pi...

— Jak długo jeszcze tego „pipi”? — zagadnął Jarek.

— Pipi — pi — pi — pipi — pi...

Aha. No dobrze. Tylko ani sekundy dłużej...

— Pi pipi — pipi...

Zachciało mu się śmiać. Jego dobry humor z sekundy na sekundę stawał się lepszy. Jakby ten środek, który mu zaaplikowali, żeby zlikwidować skutki porażenia, teraz dopiero w pełni przejawiał swoje działanie.

— Pipi — pipi — pipi — pipi... — zanucił na cały głos.

— Pipi — pi — pi — pipi... — odpowiedział komputer obcych.

— Pi — przypieczętował Jarek i w końcu naprawdę wybuchnął głośnym śmiechem. — Pi! — wrzasnął, krztusząc się i chwytając obiema dłońmi za brzuch. Do oczu napłynęły mu łzy. — Pi! — powtórzył. Czyste wariactwo. Po prostu zwariowałem. No i co z tego? To wyłącznie moja sprawa. Chociaż, gdyby się kto pytał, miałem prawo zwariować. Ba, miałem je, jak nikt nigdy do tej pory. I to nie raz, ale dziesięć razy. Sto razy...

— Pipi — pi — pipi — pipi...

— Pi — potwierdził Jarek. — Trzy całe i czternaście setnych — wyrecytował. — Tak, zwariowałem. Inaczej nigdy bym tego nie powiedział...

Nie zwariował jednak. Jeśli można tak powiedzieć, to nawet wręcz przeciwnie. Jeszcze nigdy jego myśl nie płynęła tak szybko i gładko. Bez oporów. Tyle, że starała się omijać obrazy smutne, brzydkie lub groźne. Tylko tyle.

W pewnej chwili chłopiec nagle umilkł. Przeczekał którąś tam z rzędu serię „pipkań”, po czym wyrzucił z siebie jednym tchem:

— Skoro mam wrócić, to po jakie licho zabieraliście mnie właściwie z Ziemi, co?! Jeśli w dodatku tak się staracie udawać, że was nie ma? I nie racycie nawet powiedzieć skąd jesteście?! Czego ode mnie chcecie?

— Pipi — pi — pipi...

— Przestań się wygłupiać!!! Mów zaraz!

Zgrzytnęło. Zgrzytnęło tak, że Jarek odruchowo uniósł dłonie i z całych sił przycisnął je sobie do uszu.

— Byłeś porażony — przedarł się przez ogłuszające szумы głos komputera. — Pole ochronne zabija każdą istotę, która się zbliży. Gdybyśmy cię nie zabrali,

zginąłbyś wtedy. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ci pomóc, a poza tym wy nie znacie środków...

Ostatnie słowa utonęły w powodzi trzasków. Przestrzeń w kabinie ponownie przeszły straszliwy zgrzyt, po czym nagle rozległo się czyściutkie jak pojedyncza struna skrzypiec:

— Pipi — pi — pi — pipi...

Jarkowi znudziła się nagle zabawa. Tak bywa, kiedy człowiek znajduje się w stanie jakiegoś szczególnego upojenia wesołością, bez żadnego widocznego powodu. Coś wydaje mu się niesłychanie zabawne, a sekundę później zaczyna go to nudzić. Lub nawet irytować.

— Nie możesz się wyłączyć?! — rzucił cierpko. To znaczy, żebym ja przynajmniej tego nie słyszał?...

Piknęło jeszcze raz i drugi, po czym raptownie nastąpiła cisza.

Mijały minuty. Być może nie minęło ich znowu tak bardzo wiele. Ale spróbujcie je liczyć, tkwiąc w komórce bez wyjścia, która jest częścią pojazdu kosmicznego, lądującego teraz właśnie na obcym globie. W dodatku wiedząc o tym, że w promieniu milionów kilometrów nie ma żywej duszy. Nie chodzi już tylko o kogoś, kogo można by nazwać swoim. W ogóle nikogo żywego. Nie, wtedy nie trzeba wielu minut. Ba, z powodzeniem wystarczą sekundy. Nawet jeśli dzięki jakimś sztucznym podnietom, pigułkom czy stymulatorom, jak uczenie wyraziły się przystawka, człowiekowi wszystko wydaje się łatwe, proste i przyjemne.

W każdym razie nie minęło więcej niż dziesięć minut, a Jarek zorientował się nagle, że statek, który porwał go z Ziemi, osiągnął cel podróży. Najpierw poczuł, że jego nogi, ręce, głowa stają się ciężkie, jakby napełniono je ołowiem. Oczy zasnuła mu jakaś wodnista mgiełka i musiał na powrót zająć miejsce na tej samej leżance, na której obudził się z głową tkwiącą w baniastym hełmie. Kiedy to było? Wczoraj? Godzinę temu? Parę minut?

Potem odezwały się ściany. Ich światło zaczęło delikatnie pulsować. Rozbłyski i zaćmienia następowały po sobie w nieregularnych odstępach czasu i tak nieznacznie różniły się jasnością, że można było ich w ogóle nie zauważyć. Równocześnie zza tych ścian, a może nawet spoza statku, dobiegło ciche, wibrujące brzęczenie, jakby bzykała uwięziona między szybami mucha. Wreszcie gdzieś pod podłogą zadźwięczało jedno krótkie uderzenie młotem w ciężkie, stalowe kowadło. Wtedy, jak ręką odjął, skończyły się wszystkie niepokoje nękające statek i jego jedyne go pasażera. Brzęczenie ucichło, ściany promieniowały równym, pastelowym światłem, ciało chłopca odzyskało dawną lekkość. Nie ulegało wątpliwości. Stali. Lądowanie „w punkcie zero” mieli za sobą.

Jarek czekał spokojnie, wodząc wzrokiem po pozbawionych drzwi ścianach. To ładnie z ich strony, że świecą, ale teraz oczekuje od nich czegoś więcej. Mianowicie, żeby zechciały go jeszcze wypuścić. Chyba, że obcy postanowili przetrzymać go w tej właśnie komórce aż do momentu ponownego startu statku. Czyli tak długo aż z tej ich Centrali” nie przyjdzie cynk, że można go już odesłać na Ziemią.

Zaledwie zdążył to pomyśleć i zaprzeczyć szybko samemu sobie, jedna z węższych ścian prostokątnej kabiny zniknęła. Przed Jarkiem otworzył się krótki, szeroki korytarz, zamknięty zwykłymi drzwiami. To znaczy niemal zwykłymi. Bowiem tam gdzie drzwi, do jakich my jesteśmy przyzwyczajeni, mają klamki czy gałki, w tych błyskało błękitne światelko. W jego migotaniu było coś szczególnie przyciągającego uwagę, powiedziałbym, coś wesołego.

Jarek nie wahał się ani chwili. Przekroczył próg, który tworzyły dwie szczelnie przylegające do siebie metalowe listwy, i ruszył w głąb korytarza. Kiedy zbliżył się do

owych przyzywających błękitnym światłem drzwi, te stały przed nim otworem.

— Tylko tak dalej — bąknął pod nosem. — Nawiasem mówiąc — dodał, podnosząc głos — teraz nie musicie już chyba odbierać żadnego namiaru? Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ktoś się do mnie odezwał...

Przystanął w otwartych drzwiach i czekał na odpowiedź. Ale czekał na próżno. Wszystkie głosy, które przedtem wypełniały wnętrze maleńkiej kabiny, zawiruszyły się gdzieś, przepadły. Chłopcu zrobiło się nieswojo. To śmieszne, jak łatwo człowiek przyzwyczaja się do najbardziej nawet niezwykłych sytuacji, jeśli tylko ma z kim pogadać o swoich wrażeniach, usłyszeć w czyimś głosie odbicie swoich własnych wątpliwości lub choćby ich zaprzeczenie. Niechby to nawet był głos maszyny i to maszyny zbudowanej nie przez ludzi. Ale ona słuchała, co mówił, i wkładała w rozmowę z nim całą swoją pamięć i wiedzę, a więc wszystko, co miała najlepszego. Teraz, wobec ciszy panującej w otwartej przed nim hali, Jarek poczuł się nagle osamotniony.

Bo to była hala. W dodatku nie oświetlona. Wzrok grzął w ciemności, obojętnie, czy spoglądało się w górę, w dół czy leż na boki, nie znajdując nigdzie kresu wędrówki, nie napotykając na żadną widoczną przeszkodę. Tylko na wprost od progu, który tutaj był zaledwie zaznaczony łagodną wypukłością, biegł w mroczną przestrzeń poziomy, niezbyt szeroki, stalowy pomost, wyłożony warstwą czegoś, co przypominało gumę. Na jego przedłużeniu, naprzeciw drzwi, w których stał chłopiec, błyszczało błękitne światełko, takie samo jak to, które przed chwilą wywabiło go z jego klatkowej kabiny.

— Droga — bąknął półgłosem.

Rzeczywiście, błękitny ogień zdawał się wskazywać drogę. Było w nim coś takiego, jak w zielonych światłach na skrzyżowaniach ulic w ziemskich miastach. Sygnał zgody i bezpieczeństwa. A może — przemknęło Jarkowi przez myśl — u nich rzeczywiście błękitne światło znaczy to samo co u nas zielone?...

Bez zastanowienia wszedł na pomost i ruszył w kierunku wskazanym przez ów przyjazny sygnał. Był to zresztą jedyny kierunek jaki mógł wybrać. Pomost, dudniący głucho pod jego stopami, sam prowadził go do celu drogą wytkniętą pomiędzy dwiema wysokimi poręczami. Na prawo i lewo pod płytą pomostu czaiła się nieodgadniona, mroczna głębia. Strop hali również nadal pozostał poza zasięgiem wzroku.

Wskazujące kierunek światełko było już bardzo blisko, kiedy nagle zaczęło się obniżać. Chłopiec chciał się zatrzymać, ale z rozpędu zrobił jeszcze krok do przodu. O ten jeden krok za dużo. Stopa Jarka, zamiast znaleźć pewne oparcie w elastycznej powłoce pomostu trafiła bowiem w próżnię. Błękitna lampka była już nisko w dole.

— Halo! — zabrzmiał w mrocznej przestrzeni zduszony okrzyk chłopca. Odezwało się jakieś nikłe, nieśmiałe echo, które natychmiast zgasło. Zresztą, i na odpowiedź i na jakąkolwiek pomoc było za późno.

Jarek wymachując rozpaczliwie ramionami, spadał na oślep w zdradziecką próżnię, która otworzyła się tam, gdzie pomost łączący statek z pomieszczeniami jego bazy nie powinien był się jeszcze skończyć.

— Halo! — krzyknął już ciszej i umilkł. Odruchowo wtulił tylko głowę w ramiona i wysunął przed siebie ręce, żeby trochę przynajmniej złagodzić nieuchronny upadek. Hala jest ogromna, prawda, ale gdzieś przecież się kończy. Nawet jeśli obcy wyścielili jej dno pierzynami, upadek z tej wysokości...

W tym momencie Jarek zdał sobie sprawę, że dzieje się z nim coś dziwnego. Przecież był już na ziemi... to znaczy na łądzie, nie w przestrzeni, gdzie człowiek może sobie bezkarnie zamienić sufit w podłogę. A jednak spadał zdecydowanie za wolno... coraz wolniej... Co jest, u licha, jego nogi, dotychczas wierzgające w

kierunku niewidocznego stropu hali, nagle znalazły się przed jego oczami. Nie znaczy to, że Jarek przybrał pozycję poziomą, co to, to nie. Zawisł po prostu w powietrzu zgięty wół jak scyzoryk. Jeszcze kilka sekund spływał w dół, coraz wolniej, jak ciężarek umocowany na bardzo dziwnej wadze, której druga szala została już dostatecznie obciążona, po czym znieruchomiał. Przez chwilę tkwił jak skamieniały, nie myśląc o niczym i czekając, co będzie dalej. Wreszcie zaczął się niecierpliwić. Dobrze, że nie zawrze bliższej znajomości z podłogą tej pograżonej w mroku budowli, ale... wszystko ma swoje granice. Cierpliwość mężczyzny tkwiącego nieruchomo w idiotycznej pozycji, zatrzymanego w locie przez niewidoczną i niewyczuwalną siłę także.

— Halo! — zawołał po raz trzeci. Tym razem głos dopisał mu w pełni. Brzmiało w nim wprawdzie coś jakby wołanie o pomoc, ale i wyraźna nuta urażonej ludzkiej godności.

— Chodź tutaj — zabrzmiał niespodziewanie w odpowiedzi czysty damski głos, jakby tylko przytłumiony wielką odległością. A to co znowu? Baby? Tutaj?

— Co?! — nie wytrzymał. — Kto?...

W tej samej chwili uprzytomnił sobie, że w gruncie rzeczy nie ma znaczenia, kto do niego mówi. Ważne jest raczej, czego ten ktoś od niego chce. Długo się o podobnych przygodach opowiada, ale w rzeczywistości od momentu kiedy pod stopami Jarka skończył się raptownie pomost, upłynęły dwie, może trzy sekundy. A te wszystkie myśli? No cóż, w pewnych sytuacjach myśli się szybko. A jeszcze szybciej przelatują człowiekowi przez głowę jakieś strzępy wrażeń, pomysłów, porównań i zbędnych na ogół wiadomości, nie zasługujących na nazwę myśli.

Krótko mówiąc, dopiero ten damski głos, który tak niespodziewanie odezwał się tam w górze, przywrócił chłopcu równowagę umysłu. Bo o równowadze ducha za wcześniej byłoby mówić, pomijając już zupełnym, dyskretnym milczeniem równowagę ciała.

— Mam iść? — spytał Jarek niedowierzającym tonem. — Jak to, iść?...

Powątpiewanie, z jakim powiedziano te słowa, było na miejscu. Spróbujcie kazać iść człowiekowi zawieszonemu na szczycie wieży w długiej, workowatej sieci. A co dopiero kiedy nie ma żadnej wieży, sieć składa się z nie istniejących oczek, a sam człowiek ma dookoła siebie nieziemską budowlę, w dodatku pograżoną w absolutnej ciemności.

— Spokojnie — spłynął z tej ciemności ten sam damski głos. — Idź prosto do niebieskiego światełka...

Chłopiec odruchowo poszukał wzrokiem lampki.

Spadając, zostawił ją wysoko w górze. Nie tak wysoko jednak, jak mu się dotąd zdawało. Jeśli w tej sytuacji może być mowa o prawidłowej ocenie wysokości, połyskiwała zaledwie jakieś piętnaście metrów wyżej.

Iść, to iść — pomyślał chłopiec, unosząc nogę. Jego ciało zareagowało na to niespiesznym wywinięciem pełnego koziołka wokół własnej poprzecznej osi. Ponownie zawisł głową w dół, tracąc z oczu nawet owo zbawcze niebieskie światełko.

— Nie mogę iść! — wrzasnął ze złością. Gdyby się przez moment zastanowił, musiałby dojść do wniosku, że to rozdrażnienie, choćby nawet uzasadnione, zawdzięczał także — jak to dziwnie bywa z ludzkimi nastrojami — uspokajającej kuracji, jaką zaaplikowali mu obcy. Inaczej nie mógłby się zdenerwować. Inaczej po prostu musiałby się bać. Przyznajcie, że miał prawo.

Tak jednak, jak się rzeczy miały, owo poirytowanie nie tylko przyszło w porę, ale przyniosło również pozytywny skutek.

— No to poczekaj spokojnie — odezwał się pojednawczym tonem ten sam wysoki

głos niewidocznej kobiety. — Zaraz będziesz tutaj...

Jarek nie odpowiedział. Po pierwsze, co właściwie było do odpowiedzenia, a po drugie... Komputer przemawiał przedtem wszystkimi głosami naraz... niech będzie. Powiedzmy; że szukał sposobu najlepszego porozumienia się z obcym pasażerem. Ale ten głos, teraz nie należał ani do matki chłopca ani do żadnej z jego krewnych płci pięknej, ani żadnej koleżanki... a mimo to skądś był przecież Jarkowi znany. Do żadnej koleżanki?... zaraz...

Niestety, wszelkie dalsze próby identyfikacji tego damskiego głosu, który rozbrzmiewał gdzieś tam w górze jakby tylko po to, żeby odwrócić uwagę Ziemianina od niewesołej w gruncie rzeczy sytuacji, w jakiej się znalazł, musiały ulec odroczeniu. W tym momencie chłopiec uczył bowiem, że zaczyna płynąć w górę. Początkowo nie zdawał sobie sprawy, czemu zawdzięcza ten osobliwy ruch, po czym nagle poczuł na twarzy prąd powietrza. Uruchomili jakiś wentylator — powiedział sobie w duchu. Pomyślał, że jest dla ich maszyn czymś w rodzaju pojedynczego kwiatka dmuchawca, ale nie zdążył zgorszyć ani też oburzyć się tą myślą, bo właśnie tuż przed sobą ujrzał ową upragnioną niebieską lampkę, o której wiedział, że wyznaczała drogę. Czy bezpieczną, to inna rzecz. Ale... mimo wszystko nic mu się przecież nie stało.

— Pomost się podnosi, kiedy ktoś dochodzi do drzwi — pouczył go ów znajomy i nieznajomy równocześnie głos, którego źródło jakby się oddaliło od miejsca, z którego kobieta przemawiała do tej pory. Ostatnie kroki robi się na poduszce powietrznej... padło jeszcze, jakby to wyjaśniało już wszystko.

Poduszce powietrznej, proszę. Jarek słyszał, rzecz prosta, o poduszkowcach. Po pierwsze jednak nie przypuszczał, że samemu przyjdzie mu udawać jeden z nich, a po drugie...

— Nikt mnie nie uprzedził — mruknął z wyrzutem usiłując wgramolić się na próg, a raczej krawędź jakiejś platformy, w miejscu, do którego powinien był go doprowadzić wychodzący ze statku pomost. Pomimo że ta krawędź stała się widoczna w nikłym świetle niebieskiej lampki nie było to wcale takie proste, jak mogłoby się zdawać. Wszelkie próby znalezienia oparcia dla stóp czy dłoni kończyły się niezmiennie fatalnym koziołkowaniem w powietrzu. Ciało chłopca dokładnie i całkowicie wymykało się spod jego kontroli, a sytuację pogarszał fakt, że wszystko to działo się w ślamazarnym tempie, jak na paradoksalnie zwolnionym filmie. Spróbował raz i drugi, w końcu udało mu się nawet przytrzymać palcami krawędzi płyty, ale te palce pozostały tam tylko przez ułamek sekundy, po czym odbiły się jak delikatne sprężynki i Jarek ponownie powędrował nogami w górę, machając przed sobą rękami, co dla kogoś patrzącego z boku musiało przedstawiać widok nader frapujący, a nawet godny uwiecznienia na zdjęciu. Na szczęście było ciemno. No a poza tym nikt nie patrzył z boku. W każdym razie nikt taki, kto potem mógłby zabawiać towarzystwo opowiadaniem o powietrznych wyczynach Węża.

— Pomóż mi — wykrztusił wreszcie, zrzucając pychę z serca. Niestety, ten heroiczny gest nie zdał się na nic. Nikt nie odpowiedział. Ani komputer, choćby wszystkimi możliwymi głosami naraz, ani ta, która radziła mu przedtem „iść”. Może i dobrze się stało. Bo w końcu po którymś kolejnym saltie Jarek wylądował wreszcie tuż pod niebieską lampką, opadając na płytę czy też dalszą część pomostu, już należąca do bazy, a nie zawieszoną nad nieodgadnioną głębią. Chwilę leżał na brzuchu, bezwiednie poruszając jeszcze przed sobą rękami, po czym oprzytomniał, podciągnął się metr dalej od krawędzi i ostrożnie wstał. Obejrzał się z niesmakiem za siebie, a kiedy ponownie odwrócił głowę, nie ujrzał już wskazującej drogę lampki. Zamiast niej widniały szeroko otwarte drzwi prowadzące do wnętrza budowli. Jarek nie zastanawiając się przeszedł przez nie i zatrzymał się. Co się właściwie stało? Spadał, ale nie spadł. Pofikał w powietrzu nogami i wrócił. Kazali mu „iść”, a potem

widząc, jak sobie poczyną, załatwili sprawę za niego. No, dobrze. Niech będzie, że dobrze. A ten głos?

Tak, ten głos był z pewnością czymś, nad czym warto było się zastanowić. Może jednak nie teraz. Na razie trzeba iść dalej. Po pierwsze, warto zobaczyć, co oni mają tam, dokąd chcą go zaprowadzić, a po drugie, chociaż takie sprawy jak troska o własne bezpieczeństwo nie wchodzi w rachubę, nie od rzeczy będzie mieć tę przepaść z jej urwanymi pomostami i „poduszkami powietrznymi” nieco dalej za plecami.

Chłopiec ruszył do przodu w kierunku następnej niebieskiej lampki, oznaczającej wejście do dalszych pomieszczeń bazy, które to wejście szeroko otwarło się na przyjęcie gościa z Ziemi. Dalej był krótki korytarz zakończony następnymi drzwiami. I one, podobnie jak poprzednie, otworzyły się bez szmeru, kiedy Jarek przybliżył się do nich na odległość dwóch metrów. Przekroczył je z uczuciem, że wszystko to, co mu się przydarzyło, w rzeczywistości wygląda zupełnie inaczej, mianowicie, że nie ma i nigdy nie było żadnego jajowatego statku, jego komputerów i drogi przez międzyplanetarną próżnię, a tylko jakaś dobra wróżka zamieniła go nie wiedzieć kiedy w potężnego króla. Stała mu przed oczami scena z jakiegoś filmu historycznego czy bajki, kiedy to właśnie taki potężny król kroczy sobie przez swój ogromny pałac, z jednej komnaty do drugiej i wszędzie drzwi same się przed nim otwierają, ukazując kolejne sale, wykładane marmurami i błyszczące od złotych światła. Przystanął nawet, to znaczy nie król, tylko Jarek żeby sprawdzić, czy przypadkiem z jego ramion nie spływa wspaniała monarsza szata podbijana gronostajami. Ale nie. W dalszym ciągu miał na sobie drelichową bluzę swojego mundurka i wyświechtane, jak trzeba, dzinsy. Toteż nie poświęcił temu skromnemu strojowi więcej uwagi, niż na to zasługiwał. Po prostu ruszył dalej.

Za kolejnymi drzwiami zrobiło się jaśniej. Ze ścian płynęło takie samo łagodne, różowawe światło, jakie wypełniało wnętrze kabiny. Znajdowało się tu półkoliste, niezbyt wielkie pomieszczenie, pozbawione jakichkolwiek sprzętów. Po obu stronach widniały tylko ciemniejące na rozświetlonym tle płyty pojedynczych drzwi. Te nie były wyposażone w żadne zapraszające lampki. A może nie zapalono ich tylko.

Na wprost wejścia zaczynał się prosty korytarz, zakończony w głębi jakąś różnobarwną płaszczyzną, przypominającą wiszący na ścianie obraz. Jarek stał chwilę medytując, po czym niezdecydowanym krokiem ruszył prosto przed siebie. Natychmiast jednak przystanął znowu. Potrząsnął głową i zawrócił, skręcając ku najbliższym drzwiom. Postanowił zajrzeć wszędzie po kolei.

Nie zrobił jednak nawet dwóch kroków, kiedy drzwi, ku którym zmierzał, błysnęły ostrym, pomarańczowym światłem. Było tak jaskrawe, rażące i jakby odpychające zarazem, że chłopiec zatrzymał się jak wryty. Blask zelżał nieco, ale nie ustąpił. Jego źródło leżało dokładnie w tym samym miejscu, z którego poprzednio mijane drzwi wysyłały światło błękitne.

— Nie wolno — burknął Jarek. — Stop. To znaczy stop — upewnił sam siebie.

Rzeczywiście. Jeżeli dobrze odgadł znaczenie tamtych „zapraszających” świetlnych sygnałów, ten mógł, a nawet musiał, stanowić ich zaprzeczenie. Wymowa jego kłujących, natarczywych promieni była dostatecznie zrozumiała.

Cofnął się, rozejrzał ponownie, po czym już wolniejszym krokiem ruszył ku drugim drzwiom znajdującym się w salce, dokładnie naprzeciw pierwszych. Sytuacja się powtórzyła. Znowu przeraźliwy pomarańczowy błysk, znowu wrażenie surowego zakazu postąpienia choć jeden krok dalej tą samą drogą.

A więc pomieszczenia za drzwiami wychodzącymi do oświetlonego holu okazały się niedostępne. Jarek jeszcze raz potrząsnął głową, jakby dając komuś znak, że przyjął do wiadomości wszystko, co zostało mu powiedziane, i zawrócił w stronę korytarza. Przyszło mu do głowy, że już tam, w przecince, kiedy biegnąc ku polance,

na której dostrzegł przedtem jajowatą konstrukcję, po raz pierwszy został oślepiiony pomarańczowym światłem, pochodzącym nie wiadomo skąd, że to mianowicie już wtedy mogło być... ostrzeżenie. Ten okrzyk „stój”, tak dziwnie podobny do głosu Olika... Kto wie? Może to wszystko miało go tylko przestrzec przed niebezpieczeństwem? Jeśli to prawda, co powiedziano mu potem w kabinie, że wcale nie chcieli zabierać go z Ziemi?

Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej ta nowa wersja wypadków, jakie rozegrały się dziś rano na polance z trzema bunkrami, wydawała się Jarkowi prawdopodobna. Ale skoro tak, to tym bardziej nie ma się czego bać. Obcy, kimkolwiek są, dokładają starań, żeby oszczędzać ludziom przykrości związanych z ich pobytem na Ziemi. A że nie zawsze to im się udaje... to już inna sprawa. Tak samo chyba będą postępować i tutaj.

Zresztą, i tak się nie bał. W dalszym ciągu odczuwał ciekawość, podniecenie, nawet coś na kształt radości. Słowem, wszystko, prócz strachu. „Kuracja” zrobiła swoje. I robi nadal.

Posuwając się w głąb korytarza chłopiec w dalszym ciągu mijał jedne po drugich drzwi, ale nie próbował się już do nich zbliżać. Miał przeczucie, że obcy nie pozostawią go jego własnemu losowi.

I tak też się stało. To, co wydało mu się obrazem, kiedy patrzył z daleka, ta jakaś barwna płyta, w miarę jak się do niej zbliżał, była coraz jaśniejsza. I przestawała być obrazem. Stawała się natomiast tym, czym była w istocie, to znaczy przezroczystą ścianką, na pierwszy rzut oka pozbawioną jakiegokolwiek przejścia. A barwne plamy, przypominające namalowany pejzaż należały do pomieszczenia, które znajdowało się poza nią.

Jarek dotarł do tej przeszkody i nie znajdując nigdzie żadnego ostrzegawczego światła czy innego znaku, pchnął ją lekko. Ustała od razu, odsłaniając przestronne, mroczne wnętrza. Panujący w nim półmrok nie przeszkadzał jednak chłopcu zorientować się w kształcie i wielkości pomieszczenia. Wszedł śmiało do środka i rozejrzał się.

Sala była olbrzymia. Jej ściana, ta w której znajdowało się zamaskowane wejście, miała chyba ze trzydzieści metrów długości. Do niej przylegała druga, krótsza, odchodząca pod kątem prostym. I, co najciekawsze, te dwie ściany łączyła trzecia, półkolistą i wybrzuszona jak drzewce wielkiego łuku.

Dwie proste ściany były gładkie i ciemne. Trzecia natomiast, ta zaokrąglona, połyskiwała drobniutką, nieregularną mozaiką, jakby ktoś niedbale posypał ją złotym pyłem, który przyłgnał do jej powierzchni. Właśnie niedbale, ponieważ ten pył rozsypano bardzo nierównomiernie. Na ciemnognatowym tle widniały większe i mniejsze skupiska świetlistych okruszek, gdzieś układały się jakby w dziwne, niedokończone wzory, to znowu gęstniały w zbite gromady, podobne do kłębow waty lub wydłużonych obłoków. Nie brakło też pojedynczych świetlików jaśniejszych niż inne, jakby kilka drobinek złocistej substancji zlepilo się tam ze sobą, tworząc grudki wielkości ziarenek piasku. Wreszcie w dwóch czy trzech miejscach widniały nie tak już jasne, ale za to wielkie przy tamtych, bladeżółte krążki, przypominające blaszki, jakimi wiejskie dziewczęta wyszywają swoje świąteczne stroje.

Wszystkie te pyłki i ziarenka mrugały, zmieniając nieustannie siłę światła, jakby coś stale od nowa wprawiało je w delikatne drżenie. Tylko największe z nich trwały nieruchomo, zadowolając się swoim bladawym blaskiem, obojętne i aż nazbyt dumne z własnych rozmiarów.

Jarek oderwał się wreszcie od drzwi i wyszedł na środek sali. Idąc nie spuszczał wzroku z mrowia połyskujących przed nim złotych punkcików. W miarę jednak jak się do nich zbliżał, szedł coraz wolniej. W pewnym momencie przekrzywił głowę,

jakby coś zauważył i chciał się upewnić, czy nie ulega złudzeniu. Zaraz potem stanął.

Za ścianą coś się poruszało. W zależności od miejsca, z jakiego patrzył, niektóre świetliki gaśły, a zapalały się za to inne. Jakby przesłaniała je jakaś ruchoma masa, której wybrzuszenia strzelały w górę ostrymi szpicami, ledwie dostrzegalnymi na ciemnognatowym tle. Jak to jednak możliwe, żeby przesłaniały świecące punkty, skoro te tkwią w ścianie, a pomiędzy nią a Jarkiem jest tylko wolna, zupełnie pusta przestrzeń sali?...

Wpatrzył się przed siebie z wysiłkiem, od którego zabolaty go oczy. Wpatrywał się minutę, potem drugą... Wreszcie drgnął i po raz któryś z rzędu poruszył głową. Nagle cicho krzyknął.

— Niebo! — zawołał półgłosem. — Prawdziwe niebo!

Nie wdając się w rozważania, co kto nazywa prawdziwym niebem, trzeba przyznać, że trafił w sedno. Ściana, przed którą stał, nie była bowiem granatowa, ani czarna, ani też nie miała żadnej innej barwy, jak nie ma jej żadna rzecz, która jest idealnie przezroczysta. Złoty pył nie był wcale wtopiony w szklaną masę, z której była zrobiona i nie przywarł też do jej powierzchni. W ogóle nie było żadnego złotego pyłu. Wszystkie te migocące okruszki, pojedyncze złote ziarenka, blaszki i obłoki, tkwiły w nieskończonej przestrzeni rozgwieżdżonego nieba, tak daleko od miejsca, w którym stał Jarek, jak daleko tylko człowiek może sięgnąć myślą. A owe wznoszące się jakby spod podłogi wyżyny i szczyty, były naprawdę szczytami i wyżynami. Otaczały bazę ludzi z kosmosu na powierzchni globu, na którym nigdy nie stanęła stopa człowieka z Ziemi. To znaczy nigdy dotychczas. Nigdy przed Jarkiem.

Szybko pokonał odległość dzielącą go od przezroczystej ściany. Tuż przed nią zatrzymał się i ostrożnie dotknął jej końcami palców. Jej powłoka była gładka i czysta jak prawdziwe szkło. Potrzymał na niej przez chwilę dłoń, aż poczuł w opuszkach palców dokuczliwe zimno. Wtedy wyprostował się, opuścił rękę i zapatrzył przed siebie.

Widok był niezwykły. Niezwykły, to bardzo słabe określenie. Ale mniejsza o słowa.

Granatowoczarne pole, nie, nie pole, a świat, a więc granatowoczarny świat, ciemny, a pomimo to ukazujący z dużą ostrością każdy szczegół swego krajobrazu. Najbliżej, u stóp chłopca patrzącego z pewnej wysokości, jakby stał na szczycie niewielkiego wzniesienia, rozciągała się równa jak stół płaszczyna. Taka gigantycznej wielkości betonowa płyta, jakie zakłada się na lotniskach, aby wypościć drogę startującym i lądującym samolotom. Dalej góry. Najpierw pojedyncze skały, sterczące z równiny pionowo w górę, tak niespodziewanie, jakby nie wyrosły z niej samej, a zostały przyniesione przez jakiegoś olbrzyma, który gubił je po drodze, nawet o tym nie wiedząc. Cienkie, chaotycznie rozstawione świece przypominające wieże kościołów, smukłe graniastosłupy wyszczerbione na szczycie, wielkie bryły ogromnych głazów, ba, nawet regularne, długie stożki, celujące w gwiazdy ostrymi szpicami.

Za tym dziwnym skalnym lasem teren zaczynał się wznosić. Płaszczyzna przechodziła w pofalowany, pocięty bruzdami stok, który następnie śmigał w górę, aż do podnóża właściwych gór. Te były olbrzymie. Wszystkie znane chłopcu ziemskie szczyty mogły przy nich odgrywać rolę łagodnych pagórków, składających się z samych oślich łączek. Jeżeli nawet nie były o tyle wyższe, to w każdym razie biła z nich niespotykana w świecie, z którego przybył, groza i nieokiełznana siła. Z taką zapiekłą wściekłością strzelały w niebo poszarpanymi, ostrymi turniami, że Jarkowi, kiedy na nie patrzył, dreszcz przebiegł po plecach. Wydało mu się, że ma przed sobą jakiegoś niewyobrażalnie wielkiego potwora, który wyszczerzył zęby i przycaił się do skoku.

A nad górami migotały gwiazdy, tkwiące w przestrzeni, wypełnionej granatowoczną, doskonale przezroczystą, kryształową masą.

Niebo tego globu jakby chciało wynagrodzić tym, których los rzucił na jego powierzchnię, wszystkie nieprzystępne i groźne widoki, na jakie natrafiali, rozglądając się wokół siebie. Firmament był niezwykle piękny. Był tak piękny, że Jarkowi zapało dech w piersiach. Stał jak skamieniały, chłonąc tę spryskaną złotem, wdzierającą się przez szklaną ścianę przestrzeń, i stałby tak nie wiedzieć jak długo, gdyby za jego plecami nie rozległ się nagle jakiś szmer.

Na moment przymknął oczy. Wystarczył jeden moment, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest i że niezależnie od takich czy innych widoków za oknem powinien mieć się na baczności.

Zaszemrało ponownie. Jakby ktoś szedł w miękkich pantoflach, stąpając na koniuszkach palców. A właściwie nie „szedł”, a skradał się chyłkiem. I był już niezbyt daleko.

Bardzo powoli, ciągle wstrzymując oddech, Jarek odwrócił głowę i spojrzał za siebie.

Miał prawo wrzasnąć. Miał także prawo zemdleć i nie pozwolić się ocucić przez bite dwie godziny. Może nawet zwariować... chociaż nie. Zwariować ze strachu nikt nie ma prawa. Nigdy, nigdzie i pod żadnym pozorem.

Jarek jednak nie myślał zwariować. Nie zemdlał. Ba, nawet nie krzyknął. Nie przypisujemy tego tylko i wyłącznie zaletom jego charakteru. Charakter okazuje człowiek wtedy, kiedy w obliczu naprawdę niezwykłej a groźnej sytuacji boi się, lecz przewycięża strach, narzuca sobie spokój i z zimną krwią robi to, co do niego należy. Tymczasem prawda wyglądała tak, że Jarek, patrząc szeroko otwartymi oczami na to, co ukazało się teraz pośrodku mrocznej sali, odczuwał wszystko oprócz strachu. Nastrój lekkości i pewności siebie nie opuszczał go ani na chwilę. Środki zastosowane przez obcych, te jakieś ich „stymulatory”, czy jak im tam, pokazywały, co potrafią. Chyba, że odmierzyli mu taką specjalną końską dawkę, na wszelki wypadek...

Tak czy inaczej, od kiedy odzyskał przytomność, nie bał się ani przez chwilę. I natychmiast dał temu wyraz odzywając się spokojnym, niezbyt piskliwym głosem, co mimo wszystko dla niego samego stanowiło niejaki zaskoczenie.

— Nie boję się ciebie... — stwierdził.

Usłyszał miły dźwięk, przypominający śmiech prawdziwej, ziemskiej dziewczyny.

— A dlaczego właściwie miałbyś się mnie bać?... — powiedziała błyskając w uśmiechu drobnymi, białymi ząbkami.

Sola z nieba północnego...

Ktoś rzucił na ogień wielką, suchą, świerkową gałąź. Strzelił wysoko płomień, na moment wyłuskując z mroku pojaśniałe twarze Węży i przylepionej do Olika drużynowej gości. Jej podopieczne pozostały ukryte w cieniu. Siedziały ciasno jedna przy drugiej na niskich ławeczkach, przygotowanych specjalnie na dzisiejszy wieczór przez gospodarzy, ożywionych duchem miłości bliźniego. Kiedy ognisko buchało świeżym płomieniem, różowiały jedynie furazerki, sterczące nierównymi zębami z bezkształtnej, jednolitej masy, milczącej i nieruchomej. Także i teraz Jarek na próżno usiłował odnaleźć w mroku twarz dziewczyny, której imienia omal przed chwilą nie wymówił. Nie sposób było stwierdzić, czy jest tutaj i słucha go wraz z innymi. Ale gdzież właściwie miała być?

Zresztą, jest czy jej nie ma i tak musi powiedzieć. Bez tego jego historia straci swój specyficzny smaczek. I sporo sensu. Mogą to sobie tłumaczyć, jak chcą. Ostatecznie, opowiada im przecież swój „sen”. Człowiek nie odpowiada za to, co mu się śni. Może to być w końcu dziewczyna, o której na jawie nie myśli się z czułością, a wręcz przeciwnie. Albo też nie myśli się wcale. Czy w każdym razie rzadko i raczej przypadkiem.

Zresztą, pał ich lichy. Niech robią, co chcą. Niech się w ostateczności pośmieją. W końcowym rachunku i tak to on będzie się śmiał z nich. To nic, że sam przed sobą.

Obejrzał się. Dotychczas cały czas mówił stojąc. Teraz zaboląły go nogi. To znaczy, bolały go już zapewne od dłuższej chwili, ale nie zwrócił na nie uwagi. I pewnie nie zważałby na ten ból nadal, gdyby nie ów fajerwerk, który przerwał jego opowieść, zmuszając go do cofnięcia się o krok i przymrużenia oczu.

Po tej stronie ogniska nie było ławeczek. Zaledwie jednak rozejrzał się wokół siebie, żeby znaleźć jakieś zaimprovizowane siedzisko, ktoś obok niego wstał i zrobił mu miejsce. Była to niemała ofiara, zważywszy, że chodziło o wysunięty kopczyk, porośły wysoką trawą, zapewne pozostałość po najbardziej pracowitym z miejscowych kretów. Jarek usiadł i z ulgą wyprostował nogi, kierując stopy w stronę ogniska. Tak, miejsce było znakomite. W dalszym ciągu górował nad otoczeniem, równocześnie siedząc i nie tracąc nic z bijącego od ognia ciepła. Nawet najpogodniejsza sierpniowa noc, jest tylko sierpniową nocą. Na twarzy i dłoniach dawał się wyraźnie odczuć dotyk jej zimnych, wilgotnych palców.

— To była dziewczyna — powiedział Jarek, wracając do swojego opowiadania. — Oczywiście znałem ją przedtem. Nie wiem jak wam, ale mnie nie śnią się na ogół ludzie zupełnie obcy. Tę dziewczynę widziałem raz czy dwa w... sąsiednim obozie. Pewnie — uśmiechnął się z przymusem — jest teraz tutaj, może jednak nie będzie mieć pretensji o to, że mi się przyśniła. To chyba dlatego, że ma takie dziwne imię. We śnie wszystko powinno być dziwne, prawda?... No więc Sola...

Przerwał mu krótki, stłumiony chichot, który dobiegł z mroku, ścielącego się za ogniskiem. Ktoś syknął niecierpliwie i ponownie nastała cisza.

Tak, to była Sola. Dziewczyna z przystani, bohaterka sceny, w której główną rolę odegrały trzy wiedźmy. Dziewczyna zadzierająca nosa, nawet jeśli ten nos naprawdę miał bardzo delikatne kształty i tkwił w pięknej, trochę ciekawskiej twarzyczce, okolonej puszystymi, kasztanowymi włosami.

— Dlaczego miałbyś się mnie bać?... — powtórzyła z uśmiechem, postępując krok bliżej. W półmroku, czy może lepiej powiedzieć, w ciemnogrnatowym

oświetleniu, przenikającym do wielkiej sali przez przezroczystą ścianę, jej twarz rysowała się bardzo wyraźnie z najdrobniejszymi szczegółami. A więc ten sam lekko zadarty nos, któremu poświęciliśmy już tyle uwagi, i w niewielkiej odległości od niego, na lewym policzku ten sam mały, interesujący pieprzyk. Duże oczy, niebieskie jak niebo. Rzecz jasna zwyczajne, uczciwe niebo — nie to tutaj, piękne, owszem, lecz równocześnie tak przeraźliwie obce. Te same lekkie ruchy, jakby tańczyła, sama o tym nie wiedząc. Po prostu, Sola.

— Jesteś tutaj? — spytał Jarek, może w nadziei, że dziewczyna zaprzeczy. Nie zrobiła tego jednak.

I w gruncie rzeczy trudno było mieć jej to za złe.

— Mniejsza o mnie — powiedziała, nie przestając się uśmiechać. — Ważne, że ty tu jesteś. To jest naprawdę coś, nad czym warto się zastanowić...

— Czy... — zaczął z wahaniem i urwał. Chciał spytać, czy ona znalazła się tutaj w podobnych okolicznościach jak on sam. Nieźle byłoby to wiedzieć, gdyby się chciało ostatecznie ustalić, jak to naprawdę jest z tymi staraniami obcych, aby żaden człowiek nie doznał najmniejszej bodaj przykrości w związku z ich obecnością na Ziemi. Ale potem, patrząc jak się uśmiechała, obserwując wyraz jej twarzy, tak pogodny i beztroski, jaki może mieć tylko ktoś, kto wie, że jest u siebie, ugryźł się w język. A jeśli ona już łą tam, nad jeziorem, należała do nich? Jeśli jest po prostu stamtąd?

— Chcesz wiedzieć kim jestem? — spytała Sola, jakby czytając w jego myślach.

— Widzisz — dodała z zastanowieniem — nie tak łatwo na to odpowiedzieć...

— Jesteś dziewczyną ze Stargardu... — spróbował podstęp Jarek. — Znam cię przecież — ciągnął. Masz perkaty nos i paskudny charakter...

Przerwał mu jej śmiech.

— Muszę mieć coś jeszcze... — podchwyciła. — Skoro mnie tu widzisz...

Chłopiec skrzywił się odruchowo. Podstęp diabli wzięli. Trudno. Ale skąd to „skoro mnie tu widzisz”?... O co chodzi? Cóż może mieć jedno z drugim wspólnego? To, że ona tu jest, z tym, co on o niej myśli?... Na wszelki wypadek udał, że nie dosłyszał tego ostatniego, dziwnego zdania.

— No więc skąd się tutaj wzięłaś? — rzucił lekko, z udaną obojętnością.

— Poczekaj... Sola odwróciła się, podeszła do ściany i oparła o nią plecami.

Wyglądało na to, że przygotowuje się do dłuższej przemowy i zawczasu pragnie zająć wygodniejszą pozycję. Jarek zauważył ze zdumieniem, że ściana lekko ugięła się pod nią, tworząc jakby miękkie zagłębienie, które przybrało kształt jej pleców. Chytrze pomyślane — przyznał w duchu. W ten sposób wszędzie, gdzie się człowiek obróci, natrafia na fotel. Albo na łóżko, jeśli zajdzie potrzeba...

Postanowił natychmiast skorzystać z tego nowego odkrycia. Podeszedł do sąsiedniej ściany, odwrócił się tyłem i opadł na nią całym ciężarem ciała.

Spotkało go gorzkie rozczarowanie. Śladu żadnego „fotela” czy innych miękkości podobnego typu. Gładka, twarda płyta. I to jak twarda! Zwłaszcza, kiedy się na nią natarło z pewnej odległości, z rozpędem i akurat wystającymi kośćmi kręgosłupa.

Przeszło mu jeszcze przez myśl, że to pewnie tylko tam, gdzie stoi Sola, ściana ma te dogodne dla ludzkich kształtów i ciężaru właściwości, ale na wszelki wypadek przyjrzał się uważniej owemu wklęsnięciu, które powstało pod plecami dziewczyny. I nagle odkrył coś, od czego przeniknął go chłód, jakby w mroźny dzień ktoś na oścież otworzył okno. To wcale nie ściana ugięła się pod ciężarem Soli. Ściana pozostała taką, jaką była, twardą, gładką, nieustępliwą. Rzecz w tym, że będąc taką właśnie, nie stanowiła żadnej przeszkody dla pleców dziewczyny, które najspokojniej w świecie nie zatrzymały się na jej powierzchni, ale powędrowały dalej, w głąb budowli. Przy czym Sola sama zdawała się tego nie zauważać. Patrzyła na Jarka jakby nigdy nic, a nawet po krótkiej chwili ponownie ujrzał jej uśmiech.

— Skąd się wzięłam?... — powtórzyła przeciągle. — No cóż, w pewnym sensie jestem tą dziewczyną, o której mówiłeś. Ale tylko w pewnym sensie... może chcesz usiąść? — zagadnęła nagle nieco zmienionym tonem.

— Dziękuję... — dziękuję pięknie! — chciał wykrzyknąć Jarek, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Sprawdził już na własnym grzbiecie twardość tutejszych murów. Ale to nie one przecież wykazywały gotowość do wchłaniania części istot, które niebacznie podejść zbyt blisko. To tylko Sola miała takie dziwne plecy. Jemu ze strony tutejszych sprzętów czy ścian nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Przynajmniej, jak do tej pory.

— Chętnie — mruknął rozglądając się, czy nie dojrzy czegoś, co ona mogła mieć na myśli, czyniąc mu tę obiecującą propozycję.

— No to siadaj — padło natychmiast.

Siadaj. No dobrze. Siadaj, to siadaj. Widać taki zwyczaj.

Pochylił się i krzyżując nogi w kolanach wyciągnął rękę z odwróconą w dół otwartą dłonią, jak to się robi, mając zamiar usiąść na podłodze. Zanim jednak poczuł pod palcami chłód posadzki, jego... no, to, na czym się zwykle siada, już siedziało. I to zgoła nie na podłodze, a na jakiejś wygodnej, miękkiej i elastycznej zarazem poduszce.

— Co u licha... — mruknął, oglądając się. — Aha — odpowiedział sobie natychmiast ze spokojem. Bo i pewnie. Nie stało się przecież nic nadzwyczajnego. Po prostu tkwił w sporym, rozłożystym fotelu, sporządzonym z jakiegoś miłego w dotyku materiału. To, że ten fotel wychynął spod ziemi, jak diabeł z pudełka? — no cóż, widać taki zwyczaj — powtórzył sobie w duchu. Lepsze w każdym razie to niż plecy w ścianie.

— Bo wiesz — zaczęła szybko Sola, takim tonem, jakby chciała się usprawiedliwić — my tu mamy pewne urządzenia, których być może nie znasz... to znaczy na pewno nie znasz... — poprawiła się.

Nic dodać, nic ująć — pomyślał Jarek. Ale nic nie powiedział.

— No więc — podjęła po chwili przerwy — jestem tutaj tylko o tyle, o ile w tobie, w twoich myślach, jest ta dziewczyna, którą ci przypominam... Przy czym to „jestem tutaj” dotyczy tego, że mnie widzisz i słyszysz. Niczego innego. Pod żadnym innym względem z tamtą dziewczyną nie mam nic wspólnego... rozumiesz?

— Rozumiem... — zaczął ponuro Jarek. Miał zamiar posłużyć się jednym ze szczególnie mało popularnych powiedzeń pana Piotrowskiego, dyrektora szkoły, który po wysłuchaniu czyjejś niekoniecznie precyzyjnej odpowiedzi na temat gramatycznych zawłości języka polskiego, zwykł mawiać: „rozumiem ale niezupełnie... dlaczego posługujesz się zagadkami, chłopcze?...” Po czym padało, nie ozdobione już żartobliwym tonem: „Siadaj” i sprawę należało uważać za załatwioną.

Oczywiście tego „siadaj” Jarek byłby już Soli oszczędził. Ale nie pozwoliła mu nawet dokończyć pierwszego członu zdania, jeśli już jesteśmy przy gramatyce.

— Nie rozumiesz — odpowiedziała sama sobie, potrząsając przecząco głową. — Nie możesz rozumieć.

Przed chwilą — głos jej złagodniał — przyglądałeś się moim plecami, kiedy stanęłam przy ścianie. To, widzisz, był taki mały błąd konstrukcyjny...

— Błąd?... — nie wytrzymał Jarek.

— Błąd — przytaknęła. — Ale nie dziw się. Programując projektor, braliśmy pod uwagę tylko najważniejsze czynniki. Żebyś widział przed sobą kogoś, z kim także w innych okolicznościach byłoby ci przyjemnie rozmawiać. Żebyś słyszał głos tej osoby i żeby ona mówiła dokładnie takim samym językiem, jak twoja... no, tak jakby to naprawdę była ona. Ale na tym koniec. Nigdy nie będziesz mnie mógł na przykład dotknąć. Doszliśmy do wniosku, że nie musimy doprowadzać złudzenia, jakiemu

ulegasz, do doskonałości. Że wystarcza obraz i dźwięk. Przecież chodziło tylko o kontakt, a ty dałeś już dowody, że umiesz myśleć... że, dajmy na to, potrafisz rozmawiać z automatem tak, jakby to był ktoś żywy. Mimo to nie powinnam była opierać się o ścianę, zanim nie powiedziałam ci wszystkiego o sobie. A jeśli już, to należało pamiętać, żeby w porę się zatrzymać... zaczynasz już rozumieć?...

— Nie — odpowiedział rezolutnie Jarek. Krótko i węzłowato, choć może niezupełnie zgodnie z prawdą. Coś niecoś zaczynało mu już świtać. Chciał jednak, żeby mówiła dalej.

Sola uśmiechnęła się znowu. Następnie wyszła ze ściany i zaczęła iść w stronę Jarka. Kiedy szła, jej sposób stawiania stóp, ruchy jej rąk, wyraz twarzy, nawet to jakieś charakterystyczne przekrzywienie głowy, jakby się z kimś przekomarzała, wszystko to t tak bardzo przypominało prawdziwą Solę, że chłopiec musiał odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech. Ale wiedział już, że kimkolwiek ta dziewczyna była naprawdę, z Solą łączy ją tylko ten jej wygląd i głos. I nic więcej.

Podeszła tak blisko, że Jarek odruchowo odchylił się do tyłu, chwytając dłońmi za oparcie fotela. Wtedy stanęła. Pochyliła się i powoli wyciągając przed siebie rękę przewierciła nią siedzącemu żołądek.

— Czujesz coś? — spytała nie przestając się uśmiechać.

— Nie — odparł chłopiec nieco zduszonym głosem. Nie poczuł rzeczywiście nic. Ale nie zawsze trzeba coś aż poczuć. Czasem wystarczy zobaczyć, jak czyjaś ręka ni z tego, ni z owego pograża się człowiekowi w żołądku.

— A widzisz — ucieszyła się Sola. Wyprostowała się i obrzuciła Jarka czułym spojrzeniem swoich niebieskich oczu. — Teraz ty — zaproponowała. — No, uderz mnie...

Wyprostował rękę. I nie zdziwił się, kiedy ta ręka skierowana w jej ramię przeszła tylko powietrze.

Sola cofnęła się kilka kroków, nie wracając już jednak na swoje dawne miejsce pod ścianą. Splotła ramiona na piersiach i spoważniała.

— Jestem modulowaną projekcją twoich pól mózgowych — powiedziała z naciskiem.

Jarek skinął głową.

— Tak — powiedział z przekonaniem. — Nareszcie jestem w domu...

Zaśmiała się.

— No, pomyśl, — rzuciła — skąd mogłam się tu wziąć? Sam widzisz, że nie jestem istotą z krwi i kości... jak wy to mówicie. A przecież ujrzawszy mnie, sądziłeś, że spotykasz kogoś znajomego. Kogoś, kto istnieje naprawdę... tam, na Ziemi. No więc? Czy naprawdę tak trudno zgadnąć, w jaki sposób mogliśmy tutaj wyświetlić obraz człowieka, którego ty znasz, ale którego my nie spotkaliśmy nigdy dotychczas? O którego istnieniu nie ma najmniejszej bodaj wzmianki w elektronicznej pamięci naszych komputerów?

W tym momencie Jarek poczuł, że z jego głową dzieje się coś niedobrego.

— Poczekaj... — zaczął błagalnym tonem. — Jak powiedziałaś? Projekcją ... czego?

— Projekcją twoich pól mózgowych — powtórzyła. — Modulowaną, to znaczy wzmacnianą lub osłabianą, a przede wszystkim uzupełnianą przez specjalną aparaturę.

— Co to wszystko znaczy?

Sola uśmiechnęła się znowu. Tym razem tak, jakby chciała go za coś przeprosić.

— Po prostu odczytaliśmy twoją pamięć — powiedziała cicho. — Twoje myśli jeśli tak wolisz. Przecież dla nawiązania z tobą kontaktu, musieliśmy najpierw ustalić, jakim językiem się posługujesz. Potem należało ten język... udźwiękować... prawda? Komputer „rozumiał” już co ty do nas mówisz, ale musiał jeszcze nauczyć się mówić

na głos... tym twoim językiem. Nie miał tych dźwięków zakodowanych w swojej własnej pamięci, więc... no cóż, znowu posłużył się twoją. Odszukaliśmy w twoich myślach głosy, które tam były... to znaczy są. Głosy znanych ci ludzi. Oczywiście w pierwszym rzędzie natknęliśmy się na głosy tych ludzi, których znasz najlepiej i którzy są ci bliscy. Teraz już wiemy, że to byli twoi rodzice, koledzy, ta dziewczyna... Przypomnij sobie, że kiedy biegleś w stronę statku, tam na Ziemi, ktoś do ciebie krzyczał... ktoś cię zatrzymywał...

— To był Olik — burknął Jarek.

— Nie wiem, kto to był — powiedziała z uśmiechem Sola. — Ale naprawdę to tylko komputer naszego pojazdu próbował ostrzec cię przed niebezpieczeństwem porażenia przez pole ochronne. Najpierw dawał sygnały świetlne...

A więc jednak... — przemknęło Jarkowi przez myśl.

— ...A potem zaczął wołać. Ale nie umiał jeszcze posługiwać się twoim językiem, a tym bardziej sprawić, żeby to co mówi, było dla ciebie zrozumiałe. Przecież nawet już tutaj, ja...

Chłopiec przypomniał sobie nagle swoją niedawną „powietrzną” przygodę i ten głos, który radził mu „iść”...

— To ty do mnie mówiłaś! — wykrzyknął z tryumfem. — Tam, kiedy zrzuciliście mnie z pomostu!

Postać dziewczyny zafalowała.

— Oczywiście, że ja — przyznała przeproszającym tonem, ale...

— Dlaczego mi się nie pokazałaś? Dlaczego tam było tak ciemno?!

— Nie przerywaj mi... — poprosiła Sola, jakby nieśmiało. — Widzisz, nie byłam jeszcze gotowa, żeby ci się pokazać. Za mało wiedzieliśmy... I nawet mój głos brzmi chyba teraz trochę inaczej... czy nie przypomina ci bardziej tamtej prawdziwej dziewczyny, którą pamiętasz z Ziemi?

Po namyśle, niezbyt zresztą długim, chłopiec musiał przyznać, że tak.

— Widzisz — podchwyciła. — A wracając do komputera naszej sondy na Ziemi, pomyśl, jak mało miał czasu na zbadanie twojej pamięci, kiedy pojawiłeś się wtedy w lesie, tak blisko statku. Gdyby nie to, że zatrzymałeś się chwilę pod drzewem...

Jarkowi stanęła nagle przed oczami tamta scena, jakby rozegrała się minutę temu. Jak rozglądał się bojaźliwie, nasłuchiwał, jak sięgnął po kij... Więc oni cały czas go wtedy obserwowali... grzebali w jego pamięci, śledzili każde drgnienie jego myśli...

— Zatrzymałem się pod drzewem... — burknął bezwiednie. — Ciekaw jestem, co zrobiłby ktoś, tam u was, gdyby zobaczył nagle przed sobą ziemski samolot...

— Ja tylko tłumaczę, dlaczego nasz komputer nie zdążył cię wtedy ostrzec... — pośpieszyła z odpowiedzią Sola.

— To dlaczego nie wystartował? — chłopiec pozostał nieprzejednany. — Musiał czekać, aż podejść i dotknę tego, jak mówicie, pola?...

Skinęła głową.

— Musiał — powiedziała z ubolewaniem. — Na pokładzie nie było wtedy automatów. Wyszły, żeby pobrać próbki...

— Jakie znowu próbki?

— No, gleby, roślin, kamieni... jak zwykle. Przecież wy robicie lak samo, kiedy wylądujecie w jakimś nieznanym miejscu. Poza tym były tam jakieś dziwne budowle... wkopane w ziemię. Jakby zaniedbane i porzucone. Teraz już wiemy, ale wtedy...

Jarek pomyślał o bunkrach i nagle zrobiło mu się przykro.

— No więc co z tymi automatami? — spytał szybko, żeby coś powiedzieć.

— Komputer nie mógł ruszyć pojazdu, zanim nie wróciły. A ty niespodziewanie zacząłeś biec. Musisz nam uwierzyć, że zrobił wszystko, co tylko mógł, żeby cię

powstrzymać. Ale, jak już wiesz, nie mógł wiele. A potem...

— Wiem co było potem — mruknął. — Czy ty też będziesz mówić o sobie w liczbie mnogiej? O ile się nie mylę, właśnie zaczęłaś?...

Roześmiała się. Nigdy jeszcze nie widział Soli, śmiejącej się tak szczerze i serdecznie. To pewnie ta modulacja — rzekł sobie w duchu. — Coś poprawiają, coś zmieniają...

Modulowana Sola wyśmiała się wreszcie i mogła odpowiedzieć.

— Sam komputer bez dodatkowych urządzeń niewiele jest wart — wyjaśniła. — Niektóre z nich wy nazywacie przystawkami. Na przykład przystawka zapisująca, ta, która utrwała w pamięci komputera najróżniejsze informacje, tak żeby ktoś, komu będą potrzebne, mógł je sobie odtworzyć, kiedy tylko zechce. Albo przystawka tłumacząca z jednego języka na drugi. Czy też sygnały dźwiękowe na sygnały świetlne. Czasem, żeby zrozumieć jakiś obcy język, niekoniecznie mówę istot żywych, ale na przykład promieniowanie waszego słońca czy innych gwiazd, trzeba nie tylko posłuchać tego „języka”, ale i obejrzeć go na ekranie... obliczyć różne jego właściwości... No dobrze zreflektowała się — o tym wszystkim ludzie u was wiedzą tak samo dobrze jak my. No więc tych urządzeń jest dużo, tym więcej, im poważniejsze zadania stawia się komputerowi. Nie dziw się, że mówił o sobie per „my”. Przecież on uruchamiał wszystkie po kolei, swoje zespoły... właśnie te przystawki. Poznawał cię... Tak długo szukał w twojej pamięci, aż znalazł potrzebne mu słowa, pojęcia, głosy... no i wreszcie mógł zaprojektować... mnie.

— A przedtem — obruszył się Jarek — mówił do mnie równocześnie głosem mamy i ojca... zresztą wszystko mu się plątało...

— Być może, że nam się to i owo plątało — przyznała Sola — ale koniec końców to tylko dzięki tym zabiegom rozmawiasz teraz ze mną i... czujesz się u nas nie najgorzej. Bo nie czujesz się źle, prawda?...

Nie zaprzeczył. Tego by jeszcze brakowało. Nie najgorzej? Co to znaczy „nie najgorzej”? Czuję się świetnie... Jedno tylko nie daje mu spokoju...

— Więc wiecie o mnie już wszystko... — zauważył cierpko. — Czy teraz nadal grzebiesz... to znaczy, chciałem powiedzieć, czy wciąż jeszcze wiesz, co ja w danej chwili myślę, czy wystarczy ci to, co mówię?...

Sola posmutniała. Jej oczy jakby trochę pociemniały i zrobiły się bardziej okrągłe. A co najdziwniejsze, po raz pierwszy zużyła bez mała minutę na przygotowanie odpowiedzi. Kiedy się wreszcie zdecydowała jej głos nie brzmiał zbyt pewnie.

— Wiesz — powiedziała, spuszczając oczy — w czasie lotu komputer statku przekazał wszystkie wiadomości o tobie, jakie udało mu się zebrać, do Centrali. Tam doszli do wniosku, że skoro już znalazłeś się wśród nas, to trzeba to wykorzystać. Unikamy bezpośredniego kontaktu z ludźmi... mniejsza, dlaczego. Tym bardziej jednak teraz, kiedy do tego doszło, chcemy wykorzystać tę szansę, aby was lepiej poznać... to znaczy... — zająknęła się.

— Dobrze, dobrze — burknął Jarek. — Możesz się nie krepować. I tak wiem już dosyć...

— Nie chciałabym — powiedziała jakimś proszącym tonem — żebyś mnie źle zrozumiał. Pomyśl, co wasi uczeni zrobiliby na naszym miejscu...

Ale chłopiec nie poszedł za jej radą. Nasi uczeni?... Co z tego? Ani mu się śni myśleć, co zrobiliby na ich miejscu jakiś bardzo mądry i stary ziemski profesor.

Najchętniej przestałby w ogóle myśleć. To nic przyjemnego, wiedzieć, że cokolwiek przyjdzie człowiekowi do głowy, czy to będzie coś rozsądnego czy niedorzecznego, czy w końcu zgoła coś żadną miarą nie nadającego się do powtórzenia na głos, ktoś inny od razu odkryje i „usłyszy”, całkiem jakby miał uszy wetknięte do twojego mózgu. Brzydko. Z ich strony, oczywiście. Brzydki kawał.

Zaraz... a może by tak?...

Twarz Jarka rozświetlił podejrzenie szeroki uśmiech.

Sola przyjrzała mu się nieufnie. Niech patrzy. Ba, niech sobie „słucha”, co on myśli. Oni, jak ich tam nazwać, nie mają patentu na kawały. Postara się dostarczyć im trochę zajęcia...

Abrakadabra — powiedział w duchu. Skupił się, żeby uczynić swoje myśli bardziej „wyrazistymi” i dodał: Ancki wancki gorzki płas... ale lipski ale mas... ekobyki klekaty nos...

— Klekaty nos! — zawołał głośno. — Klekaty nos — powtórzył raz jeszcze w myśli, po czym przyłożył sobie obie dłonie do nosa i znanym powszechnie gestem zagrał palcami jak na fujarce.

— Wisła się pali! — krzyknął. Po czym natychmiast zaczął recytować po cichu zapamiętany dziwnym trafem początek „Grażyny” Mickiewicza. „Coraz to ciemniej, wiatr północny chłodzi, na dole tuman, a księżyc wysoko...”

— Na dole tuman! — oznajmił pełnym głosem, z nutą tryumfu. Niechże teraz zbudują sobie automat, który da im tę ich „szansę” lepszego poznania ludzi.

Zaraz... tuman?

W tym momencie stracił pewność, czy obrał właściwą drogę. To znaczy jeśli chodzi o cytowanie wierszy. Postanowił nie mieszkając naprawić swój błąd.

— Mamo, ja wariat! — wrzasnął, wybierając okrzyk z repertuaru ojca.

Równocześnie podskoczył zniecierpliwiony w swoim osobliwym fotelu. Miał zamiar powtórzyć natychmiast ten skok, ale fotel okazał się sprytniejszy. A w każdym razie naprawdę osobliwy.

Jarek zamiast opaść na miękką, choć przezroczystą jak szkło poduszkę, wyrzucił bowiem całym ciężarem ciała w podłogę. A co gorsze, ten ciężar skoncentrował się w miejscu, gdzie, jak niektórzy powiadają, człowiek kiedyś miał piękny, mały ogon i gdzie do dziś pozostały wystające ku dołowi kręgi, szczególnie wrażliwe na wszelkie brutalne traktowanie.

— Auuu!!! — granatową halę napełniło autentyczne tym razem, choć również nie mające nic wspólnego ze zwykłymi ludzkimi myślami wołanie.

— Co robisz? — spytała spokojnie Sola. — Stało ci się coś?

Czy się stało! Dobre sobie...

Chłopiec podnosił się z trudem, odruchowo trzymając dłoń na obolałym miejscu. Oderwał się na kilkanaście centymetrów od podłogi, gdy nagle ponownie poczuł pod sobą wygodną, przepaścistą poduszkę. Spojrzał w dół i ujrzał, że fotel, który ułamek sekundy temu sprawił mu tak niemiłą niespodziankę znikając pod podłogą, wychynął spod niej znowu i rozrósł się do całej swej poprzedniej okazałości.

— Nie można tak obchodzić się z... — Sola zrobiła krótką pauzę, jakby szukając słowa — meblami — dokończyła. — Na stacji mamy takie specjalne pole magnetyczne... kiedy ktoś się pochyla w odpowiedniej pozycji, automat powoduje w tym miejscu wybrzuszenie tego pola, tak żeby utworzyło kształt fotela, łóżka, stołu czy czegoś, co jest w danej chwili potrzebne. Ale należy mu na to zostawić trochę czasu. Ty podskoczyłeś w górę i fotel zniknął... bo te wybrzuszenia pola trwają tak długo, jak długo coś wywiera na nie nacisk. A potem nie zdążył... przecież nikt nie spada tutaj... boli cię? — zatroskała się.

Boli? Skądże znowu...

— Po co to robiłeś? — spytała, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Przecież nie myślałeś tego wszystkiego naprawdę... nie bój się. My naprawdę z twoich myśli nie chcemy zrobić żadnego użytku, który mógłby w czymś zaszkodzić tobie czy w ogóle Ziemi...

Wiedziała — stwierdził w duchu z goryczą Jarek.

Oczywiście, że wiedziała. Może poświęciłby więcej uwagi ocenie swojego postępowania sprzed chwili, gdyby nie to „nie bój się”... Tak, te słowa przyszły w porę... „Nie bój się” I Też coś...

— Jak to robicie? — spytał ponuro.

— Jak utrzymujemy to pole, które da się kształtować tak, aby powstawały z niego niektóre potrzebne nam sprzęty? To...

— Nie — przerwał jej niecierpliwie. — Jak poznajecie, co ktoś myśli?...

Dziewczyna zastanowiła się chwilę. „Zastanowiła” to pewnie niezbyt stosowne słowo. Powiedzmy, że komputer wybierał najbardziej strawną dla chłopca wersję odpowiedzi.

— To dość proste — zaczęła wreszcie nieziemska Sola — tylko żeby zrozumieć, jak to się dzieje, musiałbyś dobrze znać budowę choćby twojego własnego organizmu. Wiesz, w twoim mózgu, w jego rozmaitych ośrodkach i całym systemie nerwowym zachodzą pewne zjawiska elektryczne. Dzięki nim, wokół każdego człowieka istnieje jak gdyby pole elektromagnetyczne... oczywiście — uśmiechnęła się — całkiem inne niż to, które tu wywabia spod podłogi fotele. Krótko mówiąc, właśnie to pole nie tylko nauczyliśmy się „tłumaczyć” na język obrazów i słów, ale także w pewnym stopniu kształtować, to znaczy wpływać poprzez nie na to, co ktoś myśli i czuje. Dlatego mogliśmy odnaleźć w twojej pamięci wszystko, co nam było potrzebne, aby móc z tobą rozmawiać, a oprócz tego postaraliśmy się, abyś czuł się wśród nas dobrze... żebyś, na przykład, nie bał się o siebie...

— To prawda... — bąknął chłopiec.

— Wiem — roześmiała się. — Od tego zacząłeś, kiedy mnie zobaczyłeś, pamiętasz?...

Wzruszył ramionami.

— I to jakieś pole... — zaczął zmieniając temat.

— I to pole — podchwyciła — sprawia, że mnie tu teraz widzisz. Komputer czyta twoje myśli i uczucia, następnie „tłumaczy” je projektorowi, takiemu jak w kinie, tylko przystosowanemu do wyświetlania obrazów trójwymiarowych, przestrzennych, a ten z kolei uzupełnia tym „zadany” mu obrazem wszystko to, co do ciebie mówimy. Rozumiesz teraz? W dalszym ciągu rozmawiasz z komputerem. Powiedzieliśmy ci już, że w bazie chwilowo nie ma nikogo poza automatami. Tylko nasi uczeni w Centrali doszli do wniosku, że znacznie łatwiej przyjdzie nawiązać z tobą prawdziwy kontakt, jeśli oprócz głośnika i mikrofonu będzie tu jeszcze ktoś, kto stanie przed tobą i poprowadzi tę rozmowę jak jeden żywy człowiek z drugim. Przyznaj, że się nie pomylili. Chodzi o to, żebyś mógł zachowywać się tak jak zwykle, kiedy rozmawiasz z kolegą, pomóc sobie ruchem ręki, uśmiechem albo przeciwnie, wykrzywić się do mnie... czego oczywiście nie musisz robić — zastrzegła się. — No i masz mnie przed sobą...

Jarek odetchnął głęboko. Powoli coś niecoś zaczyna być jako tako zrozumiałe. Obcy wyłuskali z jego myśli obraz znanego mu człowieka i „wyświetlali” mu go żeby miał sobie z kim pogadać. To dobrze. W ten sposób przynajmniej o swoją najbliższą przyszłość może być naprawdę spokojny. Zadali sobie niemało trudu, żeby go uratować, ściągnąć tutaj i nawiązać z nim towarzyską pogawędkę. Nie zrobili tego po to, żeby go teraz nagle zemleć na proszek i posypać nim ścieżkę w ogródku, koło bazy. Albo wyciąć mu jakiś inny, równie zabawny numer.

Nagle zmarszczył brwi. Zaświtała mu pewna myśl.

Zdziwił się, że dopiero teraz.

— No pięknie — powiedział żywo, patrząc w oczy dziewczyny, której tu nie było — opowiedział mi, jak to się stało, że mam cię przed sobą. W porządku. Niech będzie, że w porządku. Ale dlaczego ty jesteś... — zawahał się — dlaczego jesteś...

no, wiesz, co chcę powiedzieć — zirytował się.

Sola zrobiła zdziwioną minkę. Taką niewinną, pytającą minkę, z którą, trzeba przyznać, było jej szczególnie do twarzy.

— Nie bardzo...

Jarek zachnął się. I co to za czytanie w myślach!

— Czemu to właśnie ty? — wyrzucił z siebie jednym tchem. — Dlaczego akurat wybraliście sobie postać tej, no... — zająknął się.

— Dziewczyny?...

— Uhm... — w mruknięciu chłopca zawarł się cały świat najrozmaitszych uczuć.

Zdziwiona mina Soli stała się odrobinę bardziej zdziwiona. Ponadto zyskała jeszcze wyraz podobny do tego, jaki zdarza się człowiekowi, kiedy w klasie, na lekcji, usłyszy nagle głos nauczyciela wymawiającego jego nazwisko, podczas gdy on sam zajęty jest właśnie na przykład lekturą przechwyconego podstępnie listu tej rudej Iwony do Jacka Wilczyńskiego.

A przybrawszy już taką minę, nie mogła, rzecz jasna, odpowiedzieć od razu. Toteż w granatowej sali znowu przez chwilę panowała niczym nie zmałowana cisza.

— Nie wiem... — powiedziała, rozkładając bezradnie ręce. — O to powinieś zapytać sam siebie — dodała po namyśle. — Przecież my wybraliśmy tylko z twojej własnej pamięci obraz istoty, która górowała w niej nad innymi. To znaczy obraz wyraźniejszy niż inne. Albo ta istota z jakiegoś powodu najsilniej utrwaliła się w twoich myślach, albo jej wizerunek był może tylko najświeższy... skąd mogę wiedzieć... — potrząsnęła głową. — My przecież nie narzucaliśmy ci niczego... raczej ty nam...

Jarek wstał. Przez chwilę patrzył prosto w niebieskie oczy, przyglądające mu się z wyrazem niewinnej przekory, po czym nagle, nie powodowany żadną konkretną myślą, odwrócił się i podszedł do przezroczystej ściany.

Ładna historia. Wleźć w łapy przybyszom z innego świata, zostać porażonym jakimś tam „polem”, znaleźć się nagle w statku kosmicznym, który ląduje na globie oddalonym od Ziemi o... w każdym razie wystarczająco dużo — i to wszystko po to, aby się przekonać, że obraz jakiejś zadzierającej nosa smarkuli tkwi w naszych myślach, wryty tam jak w twardej, wysokiej skale. Tak wysokiej, że widać ją z sąsiednich planet, razem z tym, co na niej namalowane. A nawet dalej, niż tylko z planet. Inaczej mówiąc, polecieć do gwiazd, aby dowiedzieć się czegoś o sobie samym. I żeby to chociaż było coś naprawdę nadzwyczajnego. Gdzie tam! Po prostu, że myśli się o jakiejś dziewczynie...

Czysta zgrywa. Przecież on tej Soli nie... ona wcale mu się tak bardzo nie podoba. Nie jest brzydka, prawda... Nie, brzydka na pewno nie jest. Ma takie same duże, niebieskie oczy, jak ta tutaj. Puszyste, kasztanowe włosy z tymi kosmykami. Jasny meszek na policzkach, jak u brzoskwini. Pieprzyk...

Jarek przymknął oczy. Nie miał pojęcia, skąd mu się to wzięło, ale poczuł nagle, że poświęciłby wiele, bardzo wiele, żeby tylko móc ją teraz zobaczyć. Teraz, zaraz. Nie jej podobiznę, której nie można nawet dotknąć. Solę żywą, niechby nawet zadzierającą nosa i wymyślającą mu od smarkaczy... ale prawdziwą, jak prawdziwy może być tylko człowiek, urodzony i wychowany na Ziemi, związany z Nią, z Jej górami i nizinami, z zapachem lasów, błękitem nieba i jezior, z innymi ludźmi...

Coś ścisnęło mu serce. Sola...

— Chciałbym wrócić... — wykrztusił, sam nie wiedząc kiedy.

— Wrócisz na pewno — zabrzmiał za nim poważny głos. Prawdziwa Sola z pewnością nie odezwałaby się takim głosem. Brzmiałby o wiele mniej życzliwie. Chociaż... może, gdyby on zaczął mówić do niej inaczej... gdyby zauważyła i zrozumiała, że dzieje się w nim coś ważnego, może wtedy i ona odniosłaby się do

niego... no, jak, na przykład?... A jeśli by podeszła bardzo blisko, położyła dłonie na jego piersi... nie takie dłonie, które przechodzą przez człowieka jak przez powietrze, ale ciepłe, drobne rączki, które mógłby przytrzymać w swoich, przytulić...

Przeszedł go dreszcz. Mimo woli uniósł głowę i spojrzał przed siebie. Granatowa noc, z nadmiarem gwiazd. Skały, tkwiące w okolicznej równinie jak ciernie. Góry...

Dobłą chwilę wodził po tym obcym krajobrazie nieprzytomnym wzrokiem, zanim zdał sobie sprawę, gdzie jest i na co patrzy. Wzdrygnął się nagle, jak człowiek obudzony z najgłębszego, pięknego snu kubłem zimnej wody.

— Wrócisz... — powtórzył głos za jego plecami. Najbliższy pojazd, jaki stąd wystartuje na Ziemię, weźmie cię z sobą. O tym, kiedy to nastąpi, zadecyduje już bezpośrednio Centrala...

Oprzytomniał wreszcie na dobre. Odwrócił się i ponownie zmierzył spojrzeniem obraz naśladowy dziewczynę, o której przed chwilą myślał. O której myślał i przedtem, jak się teraz okazało, częściej i inaczej, niż sam zdawał sobie z tego sprawę. Wróci... Pewnie, że wróci...

Raptem podskoczył.

— Ale mnie przecież tam szukają! — krzyknął rozpaczliwie. Rzucił się w stronę Soli, jakby ją chciał chwycić za ramiona i z całej siły potrząsnąć, ale zatrzymał się w ostatniej chwili. Stał jak wryty i załamał ręce. Jak mogłem o tym zapomnieć — myślał gorączkowo. — To przez te ich przeklęte „stymulatory”. Żebym się przypadkiem nie denerwował i nie martwił. Ładna historia! Co tam się musi dziać...

Pomyśleli, że się utopił. Albo że wlaź do jakiegoś bunkra. Olik zawsze czerwieniał na twarzy, kiedy mówił o tych bunkrach. Gdyby wiedzieli, co mu się przytrafiło... ale skąd niby mają wiedzieć. Może któryś z Węży mruknie nawet z przekąsem, że pewnie porwali go Marsjanie. Ale nie przyśni mu się nawet, jak bliski jest prawdy. Będą szukać. To znaczy już szukają. Licho wie, od jak dawna...

— Wiesz, co narobiłaś?! — zawołał z wściekłością j żalem. — Przecież oni tam dostają kota, żeby mnie znaleźć! Zawiadomili milicję, rodziców... żeby was pokreśliło! Od kiedy tu jestem?! To znaczy jak dawno temu wlaźłem tam w to wasze pole?!

— Kończy się druga doba — odpowiedziała spokojnie. — Ale nie martw się. Dla kolegów, których opuściłeś, ta doba przyjdzie dopiero za kilka dni. Wrócisz na Ziemię dokładnie w tej samej chwili, w której odleciałeś. To kwestia szybkości...

Jarka zamurowało. Co ona plecie... Jakiej znowu „szybkości”? I co to znaczy „wrócisz w tej samej chwili”... skoro już upłynęły dwie doby?...

— Jak to?... — warknął, bardziej zły niż zdziwiony.

— Szybkości... — powtórzyła Sola. — Jest wiele warunków. Ale mówiąc w skrócie, po przekroczeniu szybkości światła można do pewnego stopnia regulować bieg czasu. Oczywiście, w określonych granicach... to znowu kwestia nie tylko szybkości, ale i odległości. Ktoś pokonujący drogę od jednej gwiazdy do drugiej może się cofnąć w czasie nawet o rok. W twoim wypadku granica będzie przebiegać gdzieś w okolicy tygodnia. Ale to wystarczy. Do tego czasu będziesz już z powrotem na Ziemi. A my postaramy się o to, żebyś wrócił dokładnie w to miejsce i o tej porze, kiedy i skąd zostałeś przez nas zabrany. O to ci chodziło?

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w dziewczynę podejrziwym wzrokiem, jakby usiłował odgadnąć, czy świadomie struga z niego wariata, czy też ją samą życie tak ciężko doświadczyło, że teraz nie wie, biedaczka, co mówi. Ale jakie znowu „życie”?

— Nie będą wiedzieć, że mnie nie było?... — powiedział, wsłuchując się z uwagą w dźwięk własnego głosu. To co ten głos mówił, było jawną nedorzecznnością. Ale on sam brzmiał zupełnie normalnie. Takim głosem można, dajmy na to, zapytać mamę, co będzie na kolację.

— Nie — powtórzyła z przekonaniem. — Chyba że sam im powiesz. Ale wątpię, czy ci uwierzą...

Nie uwierzą? Ano, nie. Nie ma się co łudzić. Co najwyżej powiedzą, że dotknęła go stosunkowo łagodna forma szaleństwa. Bo mógłby się jeszcze rzucać z zębami na ludzi. Nie, nie uwierzą. Tym bardziej gdyby rzeczywiście wrócił tak, że nikt nie zdążyłby zauważyć jego nieobecności...

— Jesteś pewna? — wymamrotał.

Uśmiechnęła się szeroko.

— Że ci nie uwierzą?

— Nie... — zamachał ręką. — Że wrócę tak, jak mówisz?...

Spowaźniała. Pochyliła się w jego stronę i pokręciła karcąco głową.

— Pamiętaj, z kim rozmawiasz — powiedziała cicho. — Żywy człowiek, kiedy myśli, nie ma żadnych z góry założonych ograniczeń. Umie się zachować w każdej, nawet najbardziej dziwnej i niespodziewanej sytuacji. Stawia sobie cele, które zamierza osiągnąć, między innymi przy pomocy mózgow elektronowych. Komputer natomiast może działać tylko w sytuacji, która została przewidziana przez jego twórców i zakodowana w jego pamięci. Takich sytuacji może być bardzo, ale to bardzo wiele, niemniej ich ilość jest zawsze ograniczona. To jest podstawowa różnica między automatami a ludźmi. A druga różnica to ta, że komputery, jeśli już coś robią, jeśli wykonują „zadany” im program, to nigdy się nie myślą. Zapamiętaj to sobie. Z pewnością mógłbyś mi zadać wiele pytań, na które nie potrafiłabym odpowiedzieć. Jeśli już jednak mówię, to tylko prawdę...

— Dobrze, dobrze... — mruknął pojednawczo Jarek — Nie obrażaj się... — dodał i odetchnął z ulgą.

Równocześnie jednak poczuł w sercu cieniutkie ukłucie żalu. To miło wiedzieć, że nie przepadnie bez wieści, nie napędzi strachu rodzicom, kolegom, Olikowi... tak, pewnie, że to dobrze. Ale żeby nigdy nikomu nie móc opowiedzieć...

— Trudno... — mruknął bezwiednie, prostując się.

Ostatecznie, będzie miał jeszcze dość czasu na zastanawianie się, czy cała ta przygoda musi koniecznie pozostać jego i tylko jego tajemnicą... — Trudno... — powtórzył już weselszym tonem. Druga czy nie druga, w każdym razie doba dobiega końca... Tak powiedziała. Ciekawe, czy pomyśleli, gdzie tutaj mógłby się trochę przespać... Wygląda na to, że ci obcy myślą zawsze o wszystkim... Skądinąd trzeba przyznać, że z tego ich myślenia coś niecoś jednak wynika. „Regulować bieg czasu...” Bagatela! Skąd oni, u licha, mogą być?... Wtedy, podczas lotu, ten głos wykręcił się sianem, kiedy o to zapytał. Teraz znowu ona.

Twarz Jarka przybrała wyraz życzliwego zaciekawienia.

— Mówiłaś, zdaje się — zaczął chytrze — że dopiero ci z Centrali powiedzą, kiedy będę mógł wrócić. Czy to daleko?

Uśmiechnęła się znowu. Nic, tylko się uśmiecha przebiegło chłopcu przez myśl. Całkiem, jakby wiedziała, że w uśmiechu jest po prostu śliczna...

— To zależy — powiedziała miękko. — Tobie pewnie zdawałoby się, że bardzo daleko. Dla nas kwestia odległości praktycznie nie istnieje. Może gdyby chodziło o podróż z jednej galaktyki do drugiej... — zawahała się. — Ale w tej przestrzeni, którą wy i my możemy ogarnąć choćby tylko myślą, poruszamy się bez niepotrzebnej straty czasu. Nasze statki pokonują drogę z Centrali do waszego układu w cztery dni. Najszybsza z raket budowanych na Ziemi... — pomyślała chwilę, jakby czekając na wynik jakiegoś obliczenia zużyłaby na tę drogę przeszło sto lat — zawyrokowała.

— Oczywiście kiedyś i wy nauczycie się szybciej poruszać w kosmosie...

— Dziękuję — burknął chłopiec, który nagle poczuł się dotknięty w swym honorze mieszkańca Ziemi. — Więc gdzie właściwie jest ta Centrala?...

Odczekała kilka sekund, zanim odezwała się znowu. Całkiem jak ten komputer w ich pojeździe.

— Mogę ci tylko powiedzieć, że naszą macierzystą planetę, a raczej nasz układ słoneczny, bo zamieszkujemy kilka planet, widać od was w gwiazdozbiornie Lutni. Poza tą jedną informacją, wszystkie inne dotyczące pochodzenia naszej cywilizacji, są zablokowane. Żałuję...

Żałuje, proszę. Tak, dokładnie tak samo jak tamten.

— Boicie się nas? — spytał z nieprzyjemnym uśmiechem.

— Nie chcemy, żeby ktokolwiek mógł do nas trafić po śladach, jakie zostawiają nasze ekspedycje, badające przestrzeń. Teoretycznie to jest możliwe. A wasza cywilizacja rozwija się bardzo szybko. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, kiedy potraficie zastosować te same co my prawa, rządzące czasem. Wtedy...

— A więc jednak się boicie — zatryumfował Jarek. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ten zachwyt w jego głosie był nie tylko przedwczesny, ale i... jakby to delikatnie powiedzieć... no, świadczył o tym, że chłopiec naprawdę powinien się przespać, zanim przystąpi do dalszego ciągu rozmowy z obcymi na poważne tematy. Wybaczmy mu jednak tę chwilową słabość. Ostatecznie, zbyt długo czuł się wśród obcych nic nie znaczącym drobiażdżkiem, nieustannie zaskakiwanym nowymi rewelacjami, aby przypuszczenie, że ci obcy też mają przed nami lekkiego pietra, nie miało mile połechnąć jego ambicji. Zresztą, to przyjemne uczucie nie trwało długo.

— Boimy się tylko — powiedziała półgłosem Soła — że przyleci do nas ktoś nie przygotowany do nawiązania kontaktu. Może zrozumiesz, co mam na myśli, kiedy przypomnisz sobie te budowle na polanie i cel, jakiemu miały służyć. Zresztą są inne przeszkody... nie tylko u was...

Bunkry — pomyślał z goryczą Jarek. Te bunkry, które Olikowi nie pozwalały spokojnie zasnąć. Okazuje się, że miał rację, kiedy przed nimi ostrzegał. Że słusznie ich się bał... chociaż przez myśl mu nie przeszło, żeby ich posępna przeszłość miała dosięgnąć człowieka aż tutaj... wśród gwiazd...

— Tak... — szepnęła bezwiednie dziewczyna. — Gdyby wszyscy u nas byli dobrzy...

— Gdyby wszyscy u nas byli dobrzy... — powtórzyła jak echo Soła, akcentując to „u nas”, na dowód, że nie tylko Ziemia i jej mieszkańcy mają u siebie pewne niezałatwione sprawy...

Jarek posmutniał. Równocześnie jednak zdał sobie ze zdziwieniem sprawę, że to, co przed chwilą usłyszał, chociaż z pewnych względów bardziej może nawet interesujące, niż inne wiadomości uzyskane od obcych, w gruncie rzeczy niewiele go obeszło. Poczł nagle, że kleją mu się oczy. I cieszył się tu człowiekiem — pomyślał jeszcze, ale już niezbyt przytomnie — że ktoś się ciebie boi... Jeszcze jedna lekcja. Jakby dotąd nie nasłuchiwał się po dziurki od uszu. A nawet wyżej, jeśli to możliwe. Chociaż właściwie dlaczego u licha, nie miałoby być możliwe? W tym właśnie rzecz, że w jego sytuacji możliwe jest wszystko. Także żeby na przykład wyrosły mu nagle uszy w kształcie pałeczek, jak u żyrafy. Zaraz, chwileczkę... U żyrafy to wcale nie są uszy... no więc co, w takim razie? Przecież wiedział.

Był w ZOO i ktoś mu to tłumaczył. Ojciec? Nie, ojca wtedy nie było. Może dozorca? Ktoś w każdym razie musiał być. Przecież nie pytał o to samej żyrafy. A może? Właściwie dlaczego nie? Skoro już gawędził sobie z jakimiś przystawkami, to dlaczego nie miałby jeszcze porozmawiać z żyrafą na temat jej uszu? A czy nie warto byłoby przy okazji pogadać z Fafikiem cioci Basi albo z wróblami? Chociaż nie. Z wróblami nie...

Musiał przestać, bo twarz rozdarła mu się nagle od ucha do ucha. Na razie przynajmniej, jego uszy pozostały na swoim starym miejscu. Tylko raptem przestały robić to, co do nich należało. To skandal — pomyślał leniwie chłopiec. — Dlaczego

nic nie słyszę...

Ciszę granatowej sali przeszły ponowne przeciągłe ziewnięcia. Było to coś takiego, jakby pod bazą obcych rozstąpiła się właśnie tutejsza ziemia.

— Jesteś śpiący — przytomnie zauważyła Sola.

— Jesteeem... aaaaa...

— Pójdiesz teraz spać — orzekła. — A może jesteś głodny? Nie zjadłbyś czegoś?

— ...Zrazy... — wymamrotał Jarek. — ...Zrazy z kaszą gryczaną i sosem grzybowym.

— Nie ma w programie — oświadczyła Sola chłodnym tonem.

Chłopiec wydał pogardliwie wargi.

— Właśnie... jak tylko chodzi o coś naprawdę ważnego — czuł, że powieki mu opadły, ale nic nie był w stanie na to poradzić — ...to zaraz tego nie ma w programie... — dokończył z trudem. — Podejrzewam — zdołał jeszcze dodać, ale już szeptem — że nie ma tam bardzo wielu rzeczy...

Sola powiedziała coś tak cicho, że Jarek, nawet gdyby jeszcze nie spał, nie byłby w stanie tego usłyszeć. Fotel pod chłopcem rozłożył się nagle, tworząc wygodne łóżko, które objęło go swoimi miękkimi, zaokrąglonymi brzegami. Dziewczyna postąpiła jeszcze nad nim kilka sekund, po czym skinęła głową i zniknęła.

Nie wyszła ani nic takiego. Po prostu zniknęła.

Dzień dwunastu księżyców...

Kiedy się zbudził, oczywiście już była. Stała jakieś trzy metry od wyczarowanego z podłogi łóżka i przyglądała mu się z tym swoim uśmiechem, zaledwie odrobinę bardziej uprzejmym, niż miała to zwyczaj robić pewna dziewczyna, poznana w pewien szczególnie piękny dzień, nad pewnym jeziorem.

— Dzień dobry — przemówiła, pochylając głowę, niby usłużna dworka na widok budzącego się króla. Jeśli miała być Solą, to to akurat jej się nie udało. Ale poza tym, niestety, było absolutnie niemożliwe. — Wypałeś się? — spytała. — Zjesz teraz śniadanie?

Troszczy się — pomyślał Jarek. Nie ulega wątpliwości, że chce jak najlepiej. Ciekawe, dlaczego nie wspomniała o myciu. A może oni się nie myją?...

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Sola przystąpiła do działania. Jarek poczuł nagle, że część łóżka, na której spoczywały jego plecy i głowa, unosi się wypychając go do góry. Przybrawszy w ten sposób chcąc nie chcąc pozycję siedzącą, spostrzegł przed sobą niewielki, okrągły stolik.

— Stoliczku, nakryj się — mruknął półgłosem, wychodząc z założenia, że i tak wszystko, co się tutaj dzieje, zakrawa na bajkę. I w najmniejszym bodaj stopniu nie zaskoczył go fakt, że stolik skwapliwie wykonał polecenie. No dobrze, dobrze, niech będzie, że ułamek sekundy wcześniej jego opiekunka „pomyślała” to samo. Tak czy owak przed Jarkiem pojawił się okrągły, głęboki talerz wypełniony jakąś parującą substancją.

Chłopiec pociągnął nosem i mimo woli skrzywił się niemiłosiernie.

— Zupa mleczna — jęknął z rozpaczą. Uniósł głowę i spojrzał z wyrzutem na Solę.

— Nie o tym myślałem... — wyznał.

Dziewczyna posmutniała.

— Wiem — zgodziła się pokornym tonem. — Mówiłeś wczoraj... Przykro mi, ale możemy ci zapewnić tylko zestaw pierwiastków, jakich potrzebuje twój organizm. Nasi uczeni, kiedy tu przyjeżdżają, przywożą z sobą wszystko, co lubią. Ale teraz nie ma żadnego z nich...

Mówił? Powiedzmy, że mówił. On mówił i ona mówiła... długo i o wielu różnych rzeczach. Nikt nie może od człowieka wymagać, żeby pamiętał każde słowo wypowiedziane tuż przed zaśnięciem. O jedzeniu? Nie, tego stanowczo sobie nie przypomina...

To nie była zupa mleczna. Przy tym, czego Jarek dotknął w końcu ostrożnie koniuszkiem języka, smak najokropniejszej zupy mlecznej napęłniłby jego zmysły nieopisaną rozkoszą. To w ogóle nie było nic. W dodatku nic rozgotowane na kleistą papkę, pęczniejącą w ustach jak uciekające z foremki ciasto.

Mężczyzna w piętnastym roku życia umie już ocenić powaby dobrze przyrządzonej pieczeni na dziko, wiejskiej szynki, zmoczonej delikatnym sosem tatarskim, ostro przyprawionego pasztetu, czy też takich rzeczy jak na przykład melba lub poziomki ze śmietaną. Ale mężczyzna, zwłaszcza kiedy znajdzie się w sytuacji wymagającej od niego hartu ducha i sprężystości ciała, potrafi z godnością przyjąć to co ma na talerzu, nie rozpamiętując zbyt długo, czym to coś być powinno. Toteż Jarek opróżnił w końcu podstawione mu naczynie.

Zjadł, odsunął talerz i rozejrzał się wokół siebie. Przedtem jeszcze ukradkiem otarł pot z czoła. Tak, cokolwiek by mówić, wziął potężną przeszkodę.

Odwrócił się i pobiegł wzrokiem ku poszczerbionej górami linii horyzontu. Obraz

obcego ładu nic się przez noc nie zmienił. Nie stał się ani na jotę bardziej przystępny, nadal nie było w nim nic, ale to literalnie nic takiego, co nasuwałoby porównanie z jakimkolwiek krajobrazem, oglądanym uprzednio choćby raz w życiu. Obcy Świat. Po prostu obcy świat, ze wszystkim, co te słowa w sobie kryją...

Westchnął i ponownie odwrócił głowę, spoglądając na Solę, jakby chciał ją o coś spytać. Ale nic nie powiedział. Utkwiwszy wzrok w węzle, na jaki związała swoją białą bluzeczkę, przesiedział jakiś czas bez ruchu, po czym ponownie westchnął i potarł dłonią czoło, jakby teraz dopiero otrząsnął się ze snu. W tej samej chwili zauważył, że opróżnione przez niego naczynie zniknęło ze stołu, jak w bajce o dobrych krasnoludkach. To nasunęło mu pewną myśl.

— Na obiad będzie to samo? — spytał, wskazując brodą pustą teraz powierzchnię stolika.

— Tak... — wyszeptała smutno Sola.

Wzdrygnął się odruchowo i wyprostował, nabierając powietrza w płuca.

— I co? — rzucił lekko zniecierpliwionym tonem. — Mam tak siedzieć? Co się tu robi?

Sola spojrzała w prawo i w lewo, jakby chciała wszystkich obecnych wziąć na świadków, że spotyka ją, a w jej osobie twórców bazy, krzycząca niesprawiedliwość. Ponieważ jednak i na prawo, i na lewo znajdowały się jedynie gołe ściany, nawet jeśli jedna z nich była granatowo—przezroczysta, pokręciła tylko głową i powiedziała:

— Ludzie, kiedy tu przybywają...

— Ludzie? — przerwał z mimowolną ironią.

— Rozmawiamy w twoim języku — przypomniała. — Nie w naszym...

— Przepraszam — zreflektował się. „Nie w ich języku”... Pewnie. Tego by jeszcze brakowało. „Ludzie...” Zgoda, niech będą ludzie...

— Nie szkodzi — odpowiedziała uprzejmie. A więc ludzie, kiedy tutaj są, mają zawsze mnóstwo roboty. Prowadzą doświadczenia, badają próbki, siedzą przy komputerach... A jak ktoś ma chwilę wolnego czasu, to przychodzi do tej właśnie sali, siada i ogląda krajobraz, albo wyświetla sobie filmy...

— Filmy?... — podchwycił chłopiec. — Filmy... powtórzył i nagle dotarło do niego, jakie to może mieć dla niego znaczenie. Co bywa treścią filmów, jakie ogląda się w kinach czy telewizji? Ano, różne rzeczy.

Ale zawsze widać na nich kawałek jakiegoś kraju, ludzi, zwierzęta, mieszkania i tak dalej. Ich filmy! Oczywiście, że obejrzy ich filmy! — To puść mi jakiś film... — powiedział, nadając swojemu głosowi brzmienie tak obojętne, jakby ustępował z grzeczności komuś, kto zaprzagnął mu pokazać swój zbiór nalepek na słoiki z olejem rycynowym.

Ale Sola nie dała się zwieść temu głosowi. Jej twarz w jednej chwili okryła się smutkiem. Przyjrzała mu się jakimś szczególnym wzrokiem i przez moment wydało się Jarkowi, że jej niebieskie oczy zamigotały zimnym, stalowym blaskiem.

— Filmy są zablokowane... — oświadczyła przeproszającym tonem. — Żałuję...

Znowu żałuje... — pomyślał Jarek, starając się nie okazać rozczarowania.

— Więc co, u licha? — zawołał podniesionym głosem. — Jak długo można tak siedzieć?!

Uśmiechnęła się i rozłożyła ręce, jakby chciała przycisnąć chłopca do piersi. Oczywiście, o przyciskaniu nie było mowy. Ten gest miał jedynie znaczyć: „czym chata bogata...”

— Możesz robić, co tylko zechcesz... — powiedziała tonem, jakim ideał gospodarza zaprasza najmilszego z gości. — Baza jest na twoje rozkazy. Jej automaty i jej komputer. Ten ostatni, rzecz prosta, z wyjątkiem sekcji łączności...

Jarek przełknął te gładkie słówka bez zmrużenia powiek i przyjrzał jej się nieufnie.

— Co to znowu?... — wycedził. — Chcesz zobaczyć, co zrobię? Jakaś nowa próba? Ciekaw jestem — dodał ponuro — czego jeszcze nie wiecie...

Sola uniosła dłonie i postąpiła krok w jego stronę.

Wyglądała, jakby miała zamiar zaśpiewać.

— Nie mów tak... — poprosiła. — Naprawdę możesz dysponować bazą. Wszystkie automaty są zaprogramowane w taki sposób, że z chwilą kiedy zjawia się tu ktoś żywy, muszą słuchać przede wszystkim jego. Każde, najmniejsze nawet urządzenie automatyczne, jakie budujemy, tak właśnie reaguje na żywy organizm...

— A jakbym przywiózł psa? — zagadnął Jarek z miażdżącą, jak mu się zdawało, ironią.

— Musiałyby się o niego troszczyć — odpowiedziała spokojnie. — Tylko że pies nie mógłby im przecież wydawać poleceń... Gdyby jednak jakimś cudem przemówił i kazał im na przykład podrapać się za uchem, zrobiłyby to, czego sobie życzy...

Wizja automatu składającego się w dziesięcioro, by osiągnąć którymś z metalowych czułek psiego ucha, zrobiła na Jarku jak najlepsze wrażenie. Rozchmurzył się i aż uniół w fotelu.

— Więc musicie mnie słuchać? — postanowił się upewnić.

— Tak.

— To pokaż mi któryś z waszych filmów... — powtórzył z uporem.

— Niestety, nie mogę — odpowiedziała natychmiast. — Mówiłam już. Żałuję...

Aha. To tak jak w domu. W domu wszystko człowiekowi wolno, ale niezupełnie.

— Dlaczego robisz ze mnie idiotę? — zagadnął rzeczowo. — Pytam, skąd jesteście, a ty: „żałuję...” Nudzi mi się, więc proszę o film, nawiasem mówiąc sama o nich wspomniałaś, i natychmiast słyszę o jakimś „blokowaniu”. Do jedzenia dajecie mi stare, rozgotowane kaptcie. Ale poza tym: proszę bardzo, tylko czekacie na każde moje skinienie...

— Komputer nie przyjmie polecenia, którego wykonanie mogłoby zaszkodzić ludziom — wyjaśniła dziewczyna z miłym uśmiechem. — Nie chcemy, aby ktoś przed czasem dowiedział się zbyt wiele o naszej cywilizacji, i dlatego uczeni wprowadzili w programy komputera odpowiednie blokady. Poczuj się, że sytuacja byłaby identyczna, gdyby tego rodzaju polecenie wyszło nie od ciebie, a od kogoś z naszych, kto nie posiada specjalnego upoważnienia Centrali...

— Wobec tego — Jarek poczuł się dostatecznie „pocieszony”, żeby próbować dalej — chcę zwiedzić bazę.

Sola skinęła krótko głową.

— Polecenie przyjęte — oznajmiła oficjalnym tonem. — Zwiedzanie bazy jutro o dowolnej porze...

— Dlaczego znowu jutro?! — uniół się Jarek.

— Powietrze — rzuciła lakonicznie. — Teraz tylko w kilku pomieszczeniach mamy tutaj sztuczną atmosferę — wyjaśniła. — Automaty jej nie potrzebują, a produkcja jest skomplikowana... wiesz, pod stacją ciągnie się taki szyb, gdzie między innymi wytwarzamy atmosferę, przez uwalnianie tlenu zawartego w różnych minerałach i wodzie krystalicznej. To trwa bardzo długo... w każdym razie w tej chwili możesz zobaczyć tylko te pomieszczenia, którymi szedłeś wczoraj... to znaczy te, które przygotowaliśmy specjalnie dla ciebie.

— I dopiero jutro możecie zrobić tyle tego tlenu, ile trzeba dla całej stacji?...

— Tak. Dałoby się wprawdzie przyspieszyć nieco produkcję, ale wymagałoby to zaangażowania niemal wszystkich urządzeń, jakie dostarczają bazie energii.

A tego nie możemy zrobić, bo prowadzimy teraz statek z Centrali i...

— Statek?!

Uśmiechnęła się szerzej. Znowu była miła, jak przedtem.

— Tak, statek. Będziesz miał towarzysza. Żywego...

Chłopiec osłupiał. Statek? Towarzysza?...

— Przybędzie dziś wieczór — postawiła kropkę nad „i”. — Mówiłam ci o czasie i szybkości... pamiętasz?

O czasie? Co o czasie?... A cóż go teraz obchodzą ten jej czas i szybkość, skoro... skoro...

— Kto?... — zdołał tylko wykrztusić. — Kto to?...

— Jeden z naszych uczonych, historyk — rzuciła zdawkowym tonem.

Przez dłuższą chwilę Jarek gorączkowo formułował w myślach pytania, jakie powinien jej teraz postawić, i te, na które musi sobie sam odpowiedzieć, zanim stanie twarzą w twarz z wysłannikiem innej gwiazdnej cywilizacji. Licho wie, co z takiego spotkania może wyniknąć... i na co właściwie liczy ten „historyk” osobiście puszczając się w podróż do bazy, gdzie, jak widać na załączonym obrazku, Sola i komputer ze swoimi wszystkimi przystawkami doskonale dają sobie radę bez niego. Przecież ta jakaś „Centrala” jest informowana o wszystkich co się tutaj dzieje, przekazują jej każde słowo „gościa” z Ziemi, ba, nawet jego myśli, mogą stamtąd, od siebie wydawać rozkazy i dyspozycje... więc po co?...

A potem uspokoił się. Zadźwięczały mu w uszach jej słowa „...chcemy wykorzystać szansę...” I to wszystko, co mówiła o jego powrocie... nie, stanowczo nie ma powodu do obaw. Jakież cel mogliby mieć w tym, żeby go oszukiwać?...

Dobrze. Proszę bardzo, niech obcy wykorzysta tę swoją „szansę”. Ostatecznie dla Ziemianina spotkanie z nim też będzie gratką nie do pogardzenia. Proszę bardzo — powtórzył sobie w duchu. — A potem... do domu...

Wyprostował ramiona i przeciągnął się, aż mu w stawach zatrzeszczało. Na przykład — do jeziora!

Wyobraził sobie, jak się zanurza w chłodnej, krystalicznie czystej wodzie... co to ona mówiła o jakiejś „wodzie krystalicznej?”... Niechby przyszła do obozu... ba, ale przecież ona tam właśnie jest. Cholerna historia...

Poczuł na skórze przyjemne, kłujące tysiącami drobnusieńkich szpileczek zimno i odruchowo poruszył ramionami, jakby pływał. Szum drzew i gderanie ptaków w sitowiacach. Słońce przenika zimną jeszcze po nocy ziemię. Tuż nad gładką powierzchnią jeziora unosi się cieniutki baranek mgły. A on płynie...

Pomyślał czule o Ziemi. Równocześnie jednak musiał zatroszczyć się o coś, co, trzeba przyznać, dziwnie długo nie przychodziło mu na myśl.

— Macie tu łazienkę? — zagadnął, dodając sobie otuchy szorstkim tonem.

Przez moment na twarzy Soli pojawił się jakiś nieokreślony grymas, jakby próbowała przytrzymać sobie zębami wewnętrzną stronę policzków, żeby nie parsknąć śmiechem. Ale był to zaledwie ułamek sekundy. Może zresztą Jarkowi tylko się tak wydało. Mniejsza z tym. Dość, że kiedy się odezwała, jej głos brzmiał poważnie. Co najwyżej odrobinę zbyt poważnie.

— Ależ proszę...

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom, które, jak to leżało w ich zwyczaju, otwały się przed nią na całą swoją szerokość. Kiedy była już w korytarzu, dobiegł go jej głos:

— No chodź, chodź...

Potrząsnął głową i z miną, jakby wyruszał na podbój Cesarstwa Bizantyjskiego w czasach jego największej potęgi, podążył w jej ślady.

— Wyjdź stąd — burknął, kiedy wprowadziła go do lśniącego czystością pomieszczenia, którego urządzenie nie pozwalało wątpić o jego przeznaczeniu. Było trochę inne, niż to, do którego przywykł, ale tylko trochę. Powiedzmy, że odzwyczytał się na obozie.

— Słucham? — nie zrozumiała Sola.

Spojrzał na nią niepewnie, a równocześnie niecierpliwie.

— Przecież nie będę... nie będę... — zająknął się.

— Wyjdź stąd, nie rozumiesz?! — zezłościł się nagle.

Wreszcie dotarło do niej, o co chodzi. Z jej twarzą przez ułamek sekundy znowu poczęło się dziać coś niedobrego, a w każdym razie coś, co Jarkowi niezbyt się spodobało, po czym jednak uśmiechnęła się przepraszająco i cicho zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając go sam na sam z tym, od czego odwykł.

Czekała w korytarzu tuż przy drzwiach, dokładnie tak, jak się spodziewał. Na jego widok uśmiechnęła się znowu i zrobiła gest, jakby chciała poprawić na sobie bluzeczkę. Powstrzymała się jednak.

— Dokąd teraz pójdziemy? — spytała patrząc w głąb korytarza.

Jarek podążył za jej wzrokiem. Tak, to była jego wczorajsza droga. Do drzwi, z których właśnie wyszedł i sąsiednich, położonych najbliżej sali z panoramiczną ścianą, już wtedy nie zaglądał. Pamiętał jednak, że wszystkie poprzednie odstraszały go tym jakimś pomarańczowym światłem.

— A dokąd możemy iść? — spytał wzruszając ramionami. — Skoro, jak mówisz, nigdzie nie ma tlenu...

— No... — zatoczyła dłonią szeroki łuk. Następnie pomyślała chwilę i powiedziała:

— Możemy pójść dalej — wskazała brodą perspektywę korytarza — a potem wyjechać na górę, do dyspozytorni — dodała jakby z wahaniem. — Tam zawsze jest powietrze...

— A tutaj? — spytał chłopiec wskazując drzwi, położone naprzeciw wejścia do łazienki.

— To są kabiny gościnne — wyjaśniła. — Niestety, teraz puste. Tam nie możesz wejść...

Nie możesz i nie możesz. Ale poza tym baza jest do twojej dyspozycji. Nie pomylił się ani trochę. Dokładnie jak w domu.

— To chodźmy — mruknął, prostując się. Ruszył z miejsca dziarskim krokiem, jakby naprawdę miał do przebycia doskonale znaną sobie drogę, u której kresu czekała go nie cierpiąca zwłoki sprawa. Sola była jednak szybsza. Nie przeszedł nawet pięciu metrów, kiedy ujrzał ją znowu przed sobą. Zrobiła to tak, że nie zauważył, kiedy go mijała.

Przeszli w milczeniu korytarz i dotarli do półokrągłej salki gdzie chłopiec wczoraj po raz pierwszy zetknął się z pomarańczowymi straszakami. Następnie przekroczyli jeszcze jedne drzwi i nagle znaleźli się w hali, przeciętej na niewiadomej wysokości stalowym pomostem.

Dzisiaj ten pomost dzieliło od podłogi nie więcej niż dziesięć metrów. Pod stopami Jarka widniało dno, zarzucone płataniną grubych przewodów. Cała hala przypominała szeroką, płytką studnię. Nie była ani w setnej części tak wielka, jak wydawało się wczoraj.

Ale wczoraj zalegał ją mrok. Dziś natomiast było tu widno. Potężne reflektory umieszczone pod kopulastym dachem pluły silnym, rozpraszającym się po całym wnętrzu światłem.

W samym środku studni, na jednej stalowej łapie, przypominającej podstawkę pod tort, stał jajowaty pojazd. I on sprawił dziś daleko mniej imponujące wrażenie niż wtedy, na polance z trzema bunkrami. Ot, takie sobie wielkie, latające jajo. Do jego wnętrza wiodły owalne drzwi, otwarte teraz na przestrzał. Do miejsca, gdzie stali, biegł od nich opatrzony poręczą, dość szeroki pomost. Tyle, że kończył się w powietrzu... półtora metra przed nie zabezpieczoną krawędzią platformki, na

poziomie korytarza, którym tylko co przyszli z głębi bazy, z pomieszczeń przeznaczonych dla jej żywych mieszkańców.

Jarek przyjrzał się ponuro pomostowi, tej półtorametrowej przerwie, przypominającej umyślnie zastawioną pułapkę i przypomniał sobie swoje wczorajsze wyczyny, kiedy za sprawą tej jakiejś powietrznej poduszki z tak miernym powodzeniem usiłował naśladować ptaka. Mimo woli poruszył palcami obu dłoni, pamiętając, jak kurczowo zaciskał wtedy te palce na krawędzi platformki. Półtora metra! Ba, żeby to wiedział... przecież potrafił skoczyć dwa razy dalej...

Postanowił to natychmiast udowodnić. Odbił się i... zawisł w powietrzu, znowu w objęciach jakiejś niewidzialnej sieci. Chociaż to, co go krępowało, przypominało raczej gęstą maź aniżeli sieć. Nie czuł dotknięcia żadnego konkretnego przedmiotu, choćby najbardziej delikatnej tkaniny. Całe ciało chłopca oblepiła tylko szczelnie jakaś substancja... miękka, elastyczna ale równocześnie całkowicie odbierająca swobodę ruchów. Sekundę, może dwie, wisiał tak, raczej zły na siebie, że znowu dał się nabrać obcym automatom, aniżeli zaskoczony, po czym to coś, co go pochwytiło, odstawiło go ponownie, miękko i delikatnie, na podłogę korytarza, dokładnie w to samo miejsce, z którego przed chwilą odbił się do skoku.

— To idiotyczne — stwierdził, unikając wzroku Soli — dlaczego teraz nie mogę spokojnie przeskoczyć tego kawałeczka, a wczoraj pozwoliliście mi spaść z pomostu... po ciemku i tak, że nie wiedziałem, co się ze mną dzieje?

— Aparatura nie była przygotowana na to, że nie znasz sposobu poruszania się wewnątrz tej hali — usłyszał obok siebie jej spokojny głos. — Wystarczy iść normalnie dalej... i nic się nie stanie. Ale dzisiaj to wczorajsze wydarzenie jest już zapisane w przystawce pamięciowej komputera. Może trochę przesadziliśmy w ostrożności... ale chyba nie będziesz miał o to pretensji?...

Pretensji? Zostawmy to lepiej...

Nie odpowiedział. Pobiegł wzrokiem wzdłuż pomostu aż do jajowatych drzwi po przeciwnej stronie i ogarnęła go nagła niechęć do tego wehikułu, który z tego miejsca lata sobie jakby nigdy nic na Ziemię, gdzie ni stąd, ni z owad ukazuje się ludziom, szukającym czegoś najzupełniej innego. Dość już nasiedział się w jego różowych ścianach. A jeśli naprawdę mają zamiar odesłać go z powrotem, to i tak prędzej czy później przejdzie znowu przez te otwarte zachęcająco drzwi, by oddać się pod opiekę komputerowi scalającemu numer zero jeden... i tak dalej.

Uniósł głowę i powiódł wzrokiem po sklepieniu hali. Mrużąc oczy, rażone światłem reflektorów, odgadywał raczej, niż dostrzegał, podtrzymujące kopułę konstrukcje, służące zapewne do rozsuwania dachu, kiedy trzeba przepuścić startujące statki. Ściany hali były gładkie i nieciekawe. Na podłodze istne kłębowisko kabli i przewodów, które miejscami rozdymały się w podłużne, ogórkowate wałki, opatrzone mikroskopijnymi kolorowymi lampkami. Pośrodku tylko ta jedna wysoka łapa, jak sterczący pionowo zderzak wagonu kolejowego, podtrzymująca pojazd.

— Chodźmy stąd — mruknął niechętnie, odwracając się. — Mówiłaś coś o dyspozytorni?... — dodał po krótkim namyśle.

Sola spojrzała na niego.

— Do dyspozytorni?... — powtórzyła z wahaniem. — Dobrze...

Na moment przymknęła oczy, jak człowiek, który coś próbuje sobie przypomnieć. Ale nie odnalazła widać tym razem w pamięci komputera, którego reprezentowała, żadnej „blokady”, bo nagle uśmiechnęła się i zawróciła z powrotem w stronę korytarza. Jarek obrzucił ostatnim, niezyczliwym spojrzeniem jajowaty wehikuł i ruszył za nią.

Tuż przed salą z panoramiczną ścianą, którą tak niedawno opuścili, dziewczyna skręciła, znikając w drzwiach obok łazienki. Jak się okazało, było tam wejście do

windy.

Jechali kilkanaście sekund. Kabina windy była całkiem zwyczajna. Prostokątna klatka, co najwyżej odrobinę niższa niż ta, którą Jarek jeździł na swoje dziesiąte piętro, w jednym z bloków nowego osiedla, na dawnym przedmieściu Szczecina. No i poruszała się bez najmniejszego szmeru.

Kiedy drzwi ponownie stanęły przed nimi otworem, chłopiec ujrzał wewnątrz dużej sali, nie tak dużej jak ta granatowa, ale za to zupełnie okrągłej. Zamiast ścian miała tylko dach, który tworząc pośrodku łagodną kopułę spływał na boki regularnymi łukami.

Ściany jak ściany. Znacznie ciekawsze było to, co znajdowało się pomiędzy nimi. Jarek stał chwilę jak urzeczony, po czym nie wiedząc kiedy opuścił kabinę windy i wolnym krokiem ruszył przed siebie.

Środek sali zajmował szeroki pierścień, a raczej jakiś wielopoziomowy stół w kształcie pierścienia, którego zewnętrzne ścianki dzieliły się na różnej wielkości prostokąty. Te prostokąty to były ekrany. Zaledwie dwa lub trzy z nich pozostawały nieruchome i ciemne.

Wszystkie inne przypominały okna, przez które ktoś znajdujący się wewnątrz domu może wieczorem oglądać pobliski lunapark, z jego diabelskimi kołami, krzywymi zwierciadłami, ogniami sztucznymi, popisami wędrownych zonglerów i karuzelami. Roilo się tam od ruchliwych, wielobarwnych kół, kółek, serpentyn oraz zachodzących na siebie, to znowu oddalających się, fantazyjnie wyciętych płaszczyzn.

— Proszę niczego nie dotykać — zabrzmiał nagle nie wiadomo skąd gruby, męski głos, jakby odrobinę przestraszony.

Jarek stanął jak wryty, mimo woli szukając spojrzeniem Soli. Była blisko. Zatrzymała się tuż za nim.

— Nie dotykaj niczego... — powtórzyła, podkreślając wagę tych słów ostrzegawczym ruchem głowy.— Tu są urządzenia zabezpieczające...

— Pole?... — mruknął, odruchowo cofając się do tyłu.

— Coś w tym rodzaju... — głos Soli wzniósł się i opadł, co miało mu dać szczególnie tajemnicze brzmienie. — Wiesz — ciągnęła — stąd można sterować wszystkimi automatami, można otworzyć bazę i wpuścić do jej wnętrza trującą atmosferę, lub nawet spowodować wybuch, który ją zniszczy. Stąd także kierowane są urządzenia łączności, które teraz na przykład prowadzą ku nam statek z Centrali. Nie dziw się... — nie dokończyła.

Nie musiała kończyć. Jarek od dawna nie dziwił się już niczemu. Zresztą w tej chwili myślał o czymś zupełnie innym.

Pozornie wydawać by się mogło, że chodzi o coś najbardziej banalnego pod słońcem. O fotel. Jarek, cofając się na dźwięk głosu komputera, stanął tuż obok jednego z szerokich, niskich foteli, tutaj wcale nie wyglądających na to, żeby można je chować pod podłogą.

Ręka chłopca odruchowo zacisnęła się na elastycznym oparciu. I wtedy ponownie uwiadomił sobie, jak bardzo znajome, mimo wszystkich różnic dotyczących techniki, wydają się przybyszowi z Ziemi kształty urządzeń stanowiących wyposażenie bazy. Przecież to były fotele dla ludzi. Dla ludzi było to siedzisko, które wczoraj wyskoczyło spod jego stóp, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, a potem rozłożyło się, tworząc, trzeba przyznać, wcale wygodne posłanie. A ten... a ta łazienka?

— Jacy jesteście? — spytał nagle bez zastanowienia.

— Proszę?...

Jarek machnął niecierpliwie ręką.

— No, czy jestem podobny do waszych... na przykład, uczonych? Z postaci,

twarży, ruchów?

Uśmiechnęła się. Miała na podorędziu więcej tych uśmiechów, niż wszystkie ziemskie dziewczyny razem wzięte. Ale w pewnych sytuacjach nie wystarcza się uśmiechać. I ziemskie dziewczyny na ogół bardzo dobrze o tym wiedzą.

— Nie rozumiesz? — parsknął Jarek. — A może ogłuchłaś?!

— Informacja blokowana — odpowiedziała. Tym razem jej twarz zachowała wyraz anielskiej pogody.

I ani na sekundę nie przestała się uśmiechać.

— Żałuję... — wyszczał chłopiec. — Zapomniałaś dodać: „żałuję”!

— Żałuję — odezwała się jak echo Sola.

Tego było już Jarkowi za wiele.

— I tak wiem! — zarechotał całkiem jak jedna z tych wiedźm, tam nad jeziorem.

— Macie zielone brzuchy, tłuste, trzęsące się, i wozicie je przed sobą na taczkach! Nóżki jak zapałki, ale za to z gumowymi przyssawkami. Jak chodzicie, to robicie tak: — pochylił się i wyciągnął wargi w ryjek — fsss... cap! Fsss... cap! Fsss... cap! Fsss...

— Przepraszam... — zaczęła Sola lodowatym tonem, ale nie pozwolił sobie przerwać.

— Macie maleńkie, włochate główki, z sześcioma oślimi uszami! — wołał, wymachując rękami. — I po jednym oku, ale za to z tyłu. I długi, łysy jak kolano ogon, zimny i śliski! Widzisz?! — wrzasnął tryumfalnie. — Myślałaś, że nie wiem?! „Blokowana!” — zrobił niewinną minę i próbował naśladować jej ton. „Żałuję...” Pewnie, że żałujesz... — ciągnął już swoim normalnym głosem, lekko zdyszany — każdy by żałował... Blokowana... blokowana... — urwał dla zaczerpnięcia tchu. Następnie wyprostował się powoli, spojrzął na Solę i umilkł.

Dobre pół minuty panowała cisza. Wreszcie dziewczyna potrząsnęła głową i zamruczała coś niezrozumiale, zupełnie jak człowiek, któremu przypomniła się jakaś paskudna chwila, kiedy to palnął okrutne, piramidalne głupstwo, i to w dodatku tak, że wszyscy widzieli. Co wcale nie znaczy, że to ona akurat miała na sumieniu coś w tym rodzaju.

— Czy chcesz, żeby ci objaśnić działanie urządzeń dyspozytorni? — spytała po chwili spokojnie, przechodząc do porządku nad tym, co usłyszała. I to było jeszcze gorsze, niż gdyby wybrała się z wyrzutami. Albo po prostu powiedziała szczerze, co myśli o jego zachowaniu.

Jarek odwrócił głowę. Po drodze ku ekranom jego wzrok prześliznął się po oparciu wielkiego fotela, mimowolnego sprawcy niedawnej sceny. Twarz chłopca przybrała wyraz obrażonej dumy. Tak bywa, kiedy człowiek... ale to przecież wszyscy wiemy...

Sola skinęła głową. Milczenie chłopca potraktowała widać jako odpowiedź twierdzącą na swoje pytanie.

— To jest obraz kontrolny pracy systemów energetycznych — zaczęła wskazując prostokątną tarczę, na której przesłakiwały liczby opatrzone jakimiś niezrozumiałymi znaczkami. — Paliwem są minerały — ciągnęła, sunąc dłonią po klawiaturze pulpitu sterowniczego. Już, już miał zamiar krzyknąć „co robisz?!” czy coś w tym rodzaju, kiedy ujrzał, że koniuszki jej palców zagłębiają się we wnętrzu urządzenia. Do licha — zachnął się w duchu. — Ciągle zapominam...

— Głównie granit i rudy uranu — rozwijało swoją myśl bezcielesne uosobienie komputera, któremu ten dał kształty miłej ziemskiej dziewczyny. — Oczywiście, nie w naturalnej postaci. Mamy specjalne reaktory, tak zwane powielające i w nich ten granit i uran przekształcamy w pluton, a także inny uran... który już naprawdę jest paliwem... Czy coś z tego rozumiesz? — zlekła się nagle. Trzeba przyznać, że ten lęk

nie był pozbawiony odrobiny słuszności. Co zresztą niezwłocznie się okazało. Jarek bowiem niezwłocznie pośpieszył ją uspokoić.

— Eee... dlaczego?... — bąknął mianowicie. Ten jego głos musiał jemu samemu sprawić wiele przyjemności, bo nagle wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak serdecznie, że aż się zachłysnął i przez dłuższą chwilę walczył o odzyskanie tchu. W końcu uspokoił się, otarł palcami kąciki oczu i niespodziewanie dla siebie samego powiedział:

— Przepraszam...

Mówiąc to spoważniał już do reszty. A nawet, gdybyśmy mieli pozostawać w zupełnej zgodzie z prawdą, odwrócił oczy.

Tym razem Sola stanęła na wysokości zadania.

Zrozumiała od razu.

— Nie szkodzi — powiedziała z uśmiechem. Po czym dodała:

— Widzisz, my bardzo byśmy nie chcieli dotknąć czymś ludzi...

Chłopiec poczuł, że jego policzki stają się gorące.

— Nie chciałem... — wybąkał. — Przecież ty nie jesteś,, to znaczy, ty jesteś taka jak my... — brnął coraz bardziej rozpaczliwie. W końcu zakaszłał jeszcze raz i umilkł.

— Myślisz, że nie powinnam się czuć urażona, bo nie jestem żywym człowiekiem... z brzuchem na taczkach?

— No... — wykrztusił.

— Ale mówię w imieniu żywych ludzi — położyła kropkę nad „i”, po czym zmieniając ton rzekła wesoło: — A tu widzisz kawałek Ganimeda... — jej dłoń zrobiła ruch w stronę sąsiedniego ekranu. — Teraz kamera jest nieruchoma, ale kiedy ktoś wychodzi na zewnątrz bazy, podąża za nim, żeby dyspozytor mógł go stale widzieć i w razie czego pośpieszyć z pomocą...

Jarek przemógł się i utkwiał wzrok w ekranie.

Tak, to właśnie widział przez panoramiczną ścianą w wielkiej sali. Granatowy półmrok, równina, skały... Tylko tutaj nie było gwiazd. Nie zmieściły się w niewielkim wycinku ganimedzkiego łądu, przekazywanym przez obiektyw kamery. Nie było także grzebienia dzikich, iglastych szczytów na horyzoncie. Za to pośrodku obrazu widniały odcisnięte w powierzchniowej warstwie gruntu jakieś ślady... Wyteżył wzrok. Tak, coś tam było. A poza tym tuż nad dolną krawędzią ekranu złociła się jakaś tasiemka... może odsłonięty przypadkiem fragment złotej żyły...

— Chciałbym tam pójść — rzucił bez zastanowienia. Po czym nadal nie myśląc o tym, co robi, wpatrzony w fascynujący, obcy krajobraz podszedł szybko do stojącego przed ekranem fotela i rozsiadł się w nim bezceremonialnie, jak u siebie w domu.

— Nie dotykaj — warknęły grubym głosem głośniki.

— Nie ruszaj niczego — zawtórowała im Sola. Nie siedź tam — dodała jeszcze tonem, który nawet nie bacząc na treść wypowiedzianych przez nią słów trudno było uznać za uprzejmy.

— Przecież nic nie robię — Jarek oderwał wreszcie wzrok od ekranu i obejrzał się. Widać zajął miejsce przeznaczone dla gospodarza... ale co to oni mówili o uprawnieniach „żywej istoty”, każdej, która znajdzie się w ich bazie?...

Powtórzył to ostatnie pytanie na głos.

— Proszę wstać i wyjść z dyspozytorni — powiedział dobitnie chrapliwy baryton wybiegający jakby z wnętrza ścian.

— My cię tylko prosimy — złagodziła wypowiedź komputera nieistniejąca dziewczyna, stworzona dla lepszego nawiązania kontaktu z Ziemiąninem.

Jarek wzburzył się w duchu. Wstać? Oczywiście, że wstanie. Ale muszą poczekać... ostatecznie, siedzi jak trusia, a poza tym ten fotel jest naprawdę tak

wygodny i... solidny.

W tym momencie poczuł, że „solidny” fotel, wykonuje z nim razem pół obrotu. Próbował odnaleźć twarz Soli i raptem ujrzał nad sobą, nie dalej niż o dwadzieścia centymetrów od czubka własnego nosa, monstrualną poczwagę. Fotel był niski, chłopiec odniósł wrażenie, że to, co weszło do nawigatorni tak cicho, jakby sunęło powietrzem, zawisło nad nim, wyrażając ostateczną, nieodwracalną groźbę. Wyobraźcie sobie tylko pająkowatą konstrukcję, zlepioną z puszek i rurek, wyposażoną w pięć czy sześć ruchomych wysięgników, zakończonych potężnymi chwytymi kleszczami. A nad tym wszystkim coś podobnego do dzbana z powycinanymi w nim dziurami, przez które prześwieca błękitne światło. Ten dzban, mimo woli kojarzący się z trupa czaszką wyrzeźbioną przez jakiegoś bardzo nowoczesnego artystę, znajdował się właśnie dokładnie nad pobladałą twarzą Jarka.

— Co?... — chciał krzyknąć „co to ma znaczyć”, czy też jakoś inaczej wyrazić swoje oburzenie niespodziewaną „wizytą”, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Byłby się z pewnością zerwał z miejsca, jak sobie tego życzyli komputer i Sola, cóż, kiedy to monstrum dokładnie zagrażało mu drogę.

Przywołał cały pozostały mu zapas trzeźwego rozsądku i przyjrzał się lepiej metalowemu upiorowi. Teraz dopiero zauważył, że na jego wysięgniku, jakby łapie, wyciągniętej do przodu, wisi coś przypominającego biały, gruby worek. Nie, to... tak, to żaden worek. Worek nie ma przecież ramion jak supermodna narciarska bluza. Chłopiec poczuł, że z jego krtani ustępuje ta jakaś przeszkoda, która nie pozwoliła mu przed chwilą wydobyć głosu. Mechaniczne ramię poczwary podaje mu po prostu ubranie... nawet w geście chwytanego wysięgnika jest jakaś... jakby to powiedzieć... usłużność. Tak, usłużność.

— Co to znaczy? — wychrypiał.

— Usiadłeś w fotelu dyspozytora bez skafandra — wyjaśniła natychmiast Sola — więc jeden z roboczych automatów przyniósł ci go zgodnie z programem. W czasie dyżuru w nawigatorni ludzie zawsze mają na sobie skafandry... nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, a dyżurny musi być przygotowany na każdą ewentualność...

— Niech on to zabierze — głos Jarka zabrzmiał już odrobinę jaśniej.

— Wstań — poradziła dziewczyna — a on natychmiast sobie pójdzie...

Wstać? Chłopiec zerknął w górę i wzdrygnął się. Być może, że ten dziwoląg cofnie się, kiedy tylko ujrzy, że siedzący w fotelu człowiek poruszył nogami... rzecz w tym, że dobrze byłoby mieć pewność, że tak właśnie zrobi. Inaczej...

— A czemu nie podaje mi tego skafandra? — spytał, w dalszym ciągu nie ruszając się z miejsca.

— Czeka, aż go weźmiesz — wyjaśniła Sola — ale nie rób tego...

Ta ostatnia rada okazała się jednak spóźniona. Chłopiec bowiem trzymał już w palcach koniec zwisającego rękawa ubioru, przerzuconego przez mechaniczne ramię. I w tym momencie skamieniał. Nie, nic się nie stało. Po prostu ponownie został obezwładniony przez jakąś siłę, której dotyku nie sposób było wyczuć. Całkiem jak w tej hali, tam, gdzie skończył się pomost...

— Co to znowu?! — wrzasnął.

— Nie ruszaj — zirytował się komputer.

— Nie dotykaj — zawołała Sola.

— Natychmiast przywróćcie mi swobodę ruchów — odpowiedział podniesionym głosem, nie bardzo wiedząc, co mówi. I, o dziwo, krępująca go siła ustąpiła. „Musimy cię słuchać”... zabrzmiały Jarkowi w uszach słowa Soli. A więc to tak?...

— Nie dotykaj!!! — głośnikom odpowiedziało wysokie, metaliczne echo.

Jarek zmiął w palcach skrawek materiału, z którego sporządzono skafander. Był elastyczny, gruby i sprawiał wrażenie jakby ogrzanego...

— Kurs o zero, zero, jeden, zero... — zaczął głośnik i Jarek zastygł w bezruchu. Chwilę trwała cisza, po czym nagle kabinę zwaną dyspozytornią wypełnił jazgot zmieszanych głosów.

Jakieś trzaski, jakby gdzieś blisko szalała burza z piorunami, jakieś pikanie, podobne do tego w jajowatym statku, który wioził go z Ziemi, coś przypominającego kaszel, szczekanie psa, brzęczenie napiętych do ostateczności strun...

— Sola! — zawołał, jakby chcąc się upewnić, że ona tu jeszcze jest. Wolał się nie odwracać i nie spuszczać wzroku z mechanicznego monstrum, w dalszym ciągu wiszącego nad jego głową. Na wszelki wypadek cofnął jednak rękę, puszczając rękaw skafandra. W kabinie natychmiast nastąpiła martwa cisza.

Chłopiec odczekał chwilę, a widząc, że nic się nie dzieje, spytał:

— Co się stało?

— Uruchomiłeś łączność między bazą a naszym statkiem z Centrali — powiedziała Sola. W jej głosie brzmiał wyrzut. — To znaczy, nie uruchomiłeś, ale włączyłeś fonię. Gdybyś dotknął innego guzika, mógłbyś tę łączność przerwać... albo zmienić kurs statku.

Dopiero teraz Jarek spostrzegł, że na rękawie skafandra, w miejscu gdzie przed chwilą znajdowały się jego własne palce, umieszczono jakąś miniaturową tabliczkę z jeszcze bardziej miniaturowymi guziczkami. To dlatego tak krzyczeli... — przeszło mu przez myśl.

— Dlaczego puściliście mnie, kiedy tego zażądałem? — spytał, chociaż znał już przecież odpowiedź. I nie pomylił się.

— Bo automaty muszą być posłuszne żywej istocie — wyjaśniła zgodnie z jego oczekiwaniami Sola.

— Niech więc wyjdzie ten automat, który przyniósł skafander — powiedział Jarek i bez śladu zdziwienia odnotował reakcję potwora na jego słowa. Tak samo bezszelestnie jak się pojawił, automat opuścił nawigatnię. Wtedy dopiero chłopiec wstał i przeciągnął się odruchowo. Następnie na wszelki wypadek skwapliwie oddalił się od tego tak „solidnego” i zapraszającego fotela.

— Przepraszam... — bąknął, notując w myśli, że się powtarza. Co robić, skoro... skoro... a, mniejsza z tym.

Przez chwilę wewnątrz dyspozytorni panowało milczenie. Jarek rozejrzał się raz jeszcze po migocących światełkami aparatach, po czym jego wzrok padł ponownie na ekran przekazujący obraz Ganimeda.

— To co — przypomniał sobie — mogę tam wyjść?

— Gdzie? — Sola jakby się zdziwiła. — Na zewnątrz?

— Tak. Pójdiesz ze mną?

Przez jej twarz przebiegł nikły uśmieszek, który natychmiast ustąpił miejsca wyrazowi powagi.

— Jeśli ty pójdiesz, to i ja także... ale... — przerwała ściągając wargi i znieruchomiła tak na kilka sekund. Wreszcie poruszyła głowę, jakby komuś ustępując, i rozłożyła ręce. Jarek nie musiał o nic pytać, żeby wiedzieć, że „naradziła się” ze swoimi przystawkami.

— Dobrze... — powiedziała. — Może byłoby lepiej, żebyś czekał na przedstawiciela Centrali, ale skoro chcesz...

— Chcę — uciął niezbyt uprzejmie.

— No to chodź — chłopcu wydało się, że pochwycił ulatujące pod sufit lekkie jak mgiełka westchnienie.

Na jednym z niższych pięter bazy, dokąd zwiozła ich winda, panowały egipskie ciemności. Z największym trudem udało się Jarkowi wypatrzeć nikłe kontury drzwi.

Minęli ciasny pozbawiony jakichkolwiek sprzętów przedsionek i stanęli przed następnymi drzwiami. Te były zupełnie inne. Gruba, stalowa płyta przylegała ciasno do szerokiej framugi, w którą wbudowano jakieś przyciski, uchwyty, rączki i gałki, a także kilkanaście różnokolorowych lampek. Z tych paliła się tylko jedna. Oczywiście, błękitna. A może: na szczęście błękitna. W każdym razie nie stali tu długo. Rozległ się cichy szmer, jakby przesypywanego piasku i ciężka kłapa powolutku ruszyła w ich stronę.

Te „drzwi” zamykały się w dość osobliwy sposób. Nie miały zawiasów, klamek, zatrasków ani niczego podobnego. Kłapę dociskało do ściany osiem cudacznym wysięgników, po dwa z każdego boku. Przypominały nogi jakichś monstrualnych, metalowych chrząszczy i tak też się poruszały, zginając w kilku równocześnie stalowych stawach.

Kiedy tylko między kłapą drzwi a framugą powstał dostatecznie duży prześwit, Sola skinęła na Jarka, żeby wszedł do środka. Chłopiec przekroczył wysoki, gruby próg, po czym pajęczne konstrukcje rozpoczęły wędrówkę w powrotnym kierunku. Kiedy kłapa z jakimś nieprzyjemnym mlaśnięciem przywarła krawędziami do ściany, przybyszowi z Ziemi, co tu ukrywać, zrobiło się nieco nieswojo. Tym bardziej, że Sola swoim zwyczajem nie śpieszyła się z przejściem przez próg, aby zrobić to, jak na człowieka przystało, tylko czekała, aż między drzwiami a ścianą pozostanie szczelina, przez którą mysz precyzyjnie się z największym trudem, po czym wniknęła do środka, przepływając, całym ciałem, poza jedną ręką i kawałkiem głowy, przez pancerną płytę. Trzeba przyznać, że istotnie nie był to zbyt budujący widok. Ale dość o tym.

Zaledwie uchwyty drzwi zakończyły swoją pracę, wewnątrz kabiny rozjaśniło się różowawym światłem, takim samym, jakie umiłało Jarkowi podróż z Ziemi na pokładzie latającego jaja. Ale kształty, które tutaj to światło wydobyło z mroku, były czymś zupełnie nowym.

Wzdłuż obu bocznych ścian kabiny, a raczej śluzy, bo w rzeczywistości była to komora śluzy, wisały wielkie, białe manekiny, budzące respekt samym swoim wyglądem. Szczelnie zapięte, pobłyskujące klamrami i zapinkami, obficie zaopatrzone w jakieś małe i większe pudełka, z których wystawały końce przewodów i miniaturowe tabliczki z klawiszami, sprawiały wrażenie gromady dziwacznie poubieranych wisielców.

Jarek pomyślał, że tak właśnie będzie za chwilę wyglądał i podszedł do najbliższej wiszącej postaci, żeby dokładnie jej się przyjrzeć. Wtedy manekin ożył...

Wpaść w łapy stworów z innego świata i pozwolić im się uprowadzić tam, gdzie diabeł dobranoc mówi, przy czym rzecz nie dotyczy w najmniejszym bodaj stopniu pocziwego, ziemskiego diabła, to jeszcze nic takiego. Zbudzić się w stanie radosnego upojenia nie wiadomo czym, następnie gawędzić z komputerem posługującym się glosami mamy taty i wszystkich ciotek naraz, by w końcu stanąć twarzą w twarz z dziewczyną z Ziemi, która jednak nie jest wcale dziewczyną z Ziemi, tylko jej bezcielesnym sobowtórem, czyż to nie może zdarzyć się każdemu? Tak samo jak spać na wyrosłym spod podłogi łóżku czy też zajadać kosmiczną papkę, podziwiając panoramę obcego globu i umilając sobie równocześnie posiłek słuchaniem opowieści o czekającej nas podróży w czasie. Wszystko to są sprawy zwykłe i proste, wobec których żaden szanujący się Wąż nie mrugnie nawet okiem. Ale żeby nagle w zatrzaśniętej pancerną kłapą pułapce wielki, biały wisielec wyciągał do człowieka ręce w niedwuznacznym zamiarze uściskania go za szyję, obracając się przy tym wokół własnej osi i obniżając na sznurze, na którym dynda? O, nie! Co to, to nie...

Toteż w kabinie wszczął się nagle gorączkowy ruch. Stalowe drzwi aż jęły pod

plecami Jarka, po czym ciszę rozdarł przeraźliwy okrzyk, który brzmiał mniej więcej tak:

— Ooeaaauuu... euu... oauuu...

Zaledwie ściany szczelnie zamkniętego pomieszczenia zdołały wchłonąć ten zdumiewający dźwięk. I nastąpiła krótka, niemniej wysoce interesująca rozmowa:

Sola: co się stało?!

Jarek: on... on...

Sola: kto?

Jarek: on...

Sola: co, skafander?...

Nastąpiło milczenie.

Wreszcie po dobrej minucie, albo i dwóch, rozległo się ciężkie, grobowe westchnienie.

— Źle się czujesz? — zainteresowała się Sola.

Jarek nie odpowiedział. Pytanie mogło być najniewinniejsze w świecie. Tylko że każde pytanie podające w wątpliwość stan jego zdrowia musiało teraz w jego uszach zabrzmieć jak szczególnie perfidna prowokacja.

— Co ci jest? — Komputerowa dziewczyna była najwyraźniej zaniepokojona.

— Nic... — zdołał wreszcie wychrypieć. Odchrząknął i powtórzył już bardziej normalnym głosem:

— Nic... co by miało być?...

Rzeczywiście.

— Nie chcesz już wyjść?...

A to niby dlaczego? Wyjść? Jarek jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie chciał wyjść jak właśnie teraz.

— Chcę... — odparł krótko.

— No to pozwól, żeby cię ubrał... — w głosie Soli pojawiła się nutka zniecierpliwienia. — Podejdź do któregoś ze skafandrów...

Jarek zamknął oczy i ruszył w stronę pierwszego z brzegu wisielca.

— Odwróć się teraz tyłem — zarządziła.

Ustuchał. Uniósł powieki i zacisnął zęby. Stał bez drgnienia kiedy za jego plecami coś zaczęło się dziać.

A także i potem, na widok dwóch wypełzających mu spod nóg białych, ogromnych buciorów, za którymi podążały równie białe i wielkie jak wory nogawki.

Nagle przestało go interesować, co ten skafander tam jeszcze zrobi. Pojął w końcu, że nie będzie musiał ruszyć palcem, aby go włożyć. Automaty najpierw opuszczają skórę wisielca pod podłogę, potem ją otworzą, jak strączek grochu, a wreszcie cały interes ruszy powoli w górę, przyoblekając ciało delikwenta w szczelny, bezpieczny pancerz. Swoją drogą co za kretyński zwyczaj, pakować wszystko co się da w podłogę, i to tak, że na jej powierzchni nie sposób wypatrzeć choćby najcieńszej rysy.

— Przestraszyłem się — mruknął od niechcienia.

— Taak?... — zdziwiła się uprzejmie Sola.

Nie powiedział już nic. Nie pisnął też słówkiem przez następnych kilka minut, kiedy automaty naciągały na niego skafander. Wystarczyło podnieść odrobinę stopy, najpierw jedną, potem drugą. Dalej wszystko szło już samo. Niewidoczne, delikatne łapy umieściły jego ramiona w rękawach bluzy i ściągnęły mu ją na piersi. Na jego biodrach spoczął szeroki, elastyczny pas z wieloma wypchanymi kieszeniami. Wreszcie przyszła kolej na kask. Był wielki. Miał panoramiczną szybę przed całą twarzą i długi daszek, z którego zwisały jakieś sztywne tasiemki, zakończone miniaturowymi szklanymi kulkami. Plecy chłopca ugięły się pod ciężarem płaskiego pojemnika, podobnego do dużej, wojskowej menażki, w której można przynieść zupe

dla całej drużyny. Mimo woli pomyślał o gęstej pachnącej boczkiem obozowej grochówce i szybko musiał przełknąć ślinę.

Kask był duży, ale dziwnie lekki. Obejmował kark szerokim, miękkim kołnierzem, spływającym aż na ramiona i w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał poruszać głową. Jarek dałby wiele, żeby móc przejrzeć się teraz w lustrze. Po raz pierwszy pomyślał z żalem, że jego wypróbowany start ze świeżo założonym filmem został na półeczce w namiocie i że gdyby go był zabrał, zyskałby jedyną szansę opowiedzenia swojej historii, bez narażania się na pobyt w domu wariatów. Chociaż... pewnie i lak nie pozwoliliby tu niczego sfotografować. „Żałuję” — zabrzmiał mu w uszach głos Soli. — „Informacja blokowana”...

Naprawdę jednak w tej akurat chwili dziewczyna powiedziała coś zupełnie innego.

— Jesteś gotowy? No to idziemy — rzuciła ruszając w stronę drzwi znajdujących się naprzeciw zamkniętego kłapa otworu, przez który weszli do służby.

To znaczy przez który dostał się tu Jarek.

Zawahał się. Gotowy? On tak, ale...

— Nie wiem, czy mam dobrze zapięty skafander... — mruknął, odruchowo sunąc dłonią po szwach bluzy i klapach wielkich kieszeni na piersi.

Uśmiechnęła się. Znowu.

— O to możesz się nie martwić — skwitowała jego obawy machnięciem ręki. — Automat nie pozwoliłby ci odejść, gdyby coś było nie w porządku. Sprawdził wszystko... ale poczekaj...

Zawróciła ku niemu i stanęła tak blisko, że przestraszył się, czy znowu nie wejdzie w niego jakąś częścią swego „ciała”. Nie lubił, kiedy zapominała, że udaje człowieka. Nie lubił i już. Co, nie wolno czegoś nie lubić?...

— Podnieś lewą rękę... nie tak — powstrzymała go, widząc, że unosi ramię, jakby chciał sięgnąć do zwisającego z góry uchwytu. — Zegnij łokieć i zobacz, co masz na rękawie...

Na rękawie widniała wszyta w materiał, z którego sporządzono skafander, płaska tarcza wielkości tabliczki czekolady. Sterczały z niej raz... dwa... trzy... sześć przycisków, sześć dzwoneczków. Przy każdym umieszczono niewielki kwadracik. Ich powierzchnia przypominała białe, matowe szkiełko.

— Zapamiętaj sobie kolejność przycisków — mówiła Sola, wskazując palcem pierwszy guziczek — to jest lornetka. Naciśnij ten klawisz, kiedy będziesz chciał obejrzeć coś położonego bardzo daleko. Na szybę kasku nasunie się szkło optyczne, które przybliży obraz mniej więcej dwudziestokrotnie. Ten drugi — przeszła do sąsiedniego przycisku — to jedzenie. Pod okapem hełmu masz ustnik... — Jarek odruchowo wznosił oczy. Rzeczywiście, tuż przy kąciku warg sterczał jakiś smoczek, kończący cienką rurkę, która wybiegała skądś z tyłu głowy. — Trzeci klawisz — palec dziewczyny odbył drogę do następnego guziczka — uruchamia dodatkowe ogniwa zasilające łączność radiową. Gdyby na przykład wystąpiły jakieś zakłócenia albo gdybyś oddalił się od bazy czy od innych ludzi... Czwarty i piąty nie będą ci potrzebne — stwierdziła potrząsając głową. — Służą wyłącznie kosmonautom, którzy wychodzą ze statku w próżnię. A ostatni, to wezwanie o pomoc...

Przy tym przycisku widniał naniesiony na kwadratową szybę rysunek rozchodzących się kółeczek, od najmniejszego, wielkości główki szpilki, do większych.

Kółka były przekreślone jakimś węzłem, podobnym trochę do błyskawicy lub, jak kto woli, błyskawicą przypominającą węza.

— Mam nadzieję, że ten szósty przycisk nigdy nie będzie ci potrzebny... — dodała Sola z rozbrajającym uśmiechem. Jarek odruchowo zagryzł wargi. Pomyślał, że pozostaje mu tylko dzielić z nią tę nadzieję. Zresztą nie spodziewał się przykrych

niespodzianek. Te wszystkie automaty, zabezpieczenia, bezbłędnie funkcjonująca łączność... wreszcie obecność Soli. Nie, wycieczka zapowiadała się aż zbyt bezpiecznie. Tak. Tak właśnie wtedy pomyślał...

— To tyle, jeśli chodzi o przyciski... — zawyrokowała ta, której obecność zapewniała stuprocentowe bezpieczeństwo, cofając się z powrotem ku drzwiom.

— Poza tym nad oczami masz sygnalizację świetlną...

— Te frędzelki?... — mruknął Jarek, znowu zezując ku górze.

— To są lampki — wyjaśniła. — Zielone zaczyna migać, kiedy ktoś się do ciebie zbliża. Masz tam jeszcze niebieską, żółtą i pomarańczową. Pierwsza oznacza że kończy ci się zapas tlenu. Od chwili, kiedy zauważysz niebieskie światełko, możesz pozostawać poza bazą najwyżej trzydzieści minut. Pomarańczowe to alarm. Zapala się tylko wtedy, kiedy człowiekowi grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo. Wtedy trzeba brać nogi za pas... najszybciej jak tylko potrafisz. To chyba wszystko... — rozglądnęła się wokół siebie jak ktoś, kto opuszcza dom przed wyjazdem na dłuższy urlop i to ostatnie, gospodarskie spojrzenie ma go upewnić, że o niczym nie zapomniał.

Chłopiec opuścił ramię, wyprostował się odruchowo i odetchnął głęboko. Wszystko, to wszystko...

— Uważaj — Sola stała już przy drzwiach. — Za chwilę nie będzie tu powietrza...

Nad wyjściem zapaliło się błękitne światło. Sekundę, najwyżej dwie, płonęło równo żywym, wesołym blaskiem, po czym zaczęło migotać. Równocześnie obok niego pojawiło się drugie, pomarańczowe, kłujące wzrok raptownymi rozbłyskami. Kłapa drzwi, zawieszona na identycznych jak przy wejściu z korytarza pajęczych przewodnicach, poczęła się wolno odmykać. Chwilę później zakończyła swoją wędrówkę. Jarek stanął w progu i po raz pierwszy powiódł wzrokiem po obszarach obcego świata, od którego nie dzieliła go już warstwa pancernej ściany, choćby nawet przezroczystej jak szkło.

Granatowa przestrzeń pozostała nadal granatowa. Tylko miejsce, gdzie teren zaczynał się wznosić, za otaczającą bazę równiną, przybliżyło się jakby o kilka kilometrów. Pojedyncze szpiczaste skały jeszcze bardziej przypominały wieże kościołów, a widoczne za nimi szczyty gór były jeszcze odrobinę bardziej dzikie.

Od progu w dół prowadziła pochyła kładka z poprzecznymi prętami tworzącymi stopnie. Wyjście, znajdowało się zaledwie dwa, trzy metry nad poziomem gruntu.

Sola była już na dole. Zatrzymała się kilka kroków od miejsca, do którego sięgała kładka, i spoglądała na niego zachęcająco. Ponownie nabrał w płuca powietrza, potrząsnął głową, jakby chciał sprawdzić, czy kask pewnie siedzi mu na karku i nie odpadnie przy pierwszym kroku, po czym ostrożnie stawiając stopy wstąpił na pomost. W połowie jego długości obejrzał się... Wejście pozostało otwarte. Wysoko uniesiona ciężka, pancerna płyta zdawała się zapraszać do środka.

Jarek odruchowo poprawił ciężący mu na plecach pojemnik z tlenem, po czym odwrócił się i szybko zbiegł na dół.

— Dokąd chcesz iść? — spytała Sola, kiedy znalazł się obok niej.

Wzruszył ramionami. W kasku coś cicho zachrobotać. Uświadomił sobie, że ten ruch jego ramion musiał pozostać niezauważony. Skafander, to jednak nie treningowa koszulka...

— Tam... — burknął wykonując nieokreślony ruch ręką. Dziwnie było patrzeć na młodziutką dziewczynę, w białej bluzeczce i szortach, pośrodku tej granatowej nocy, pełnej gwiazd, kiedy samemu tkwiło się wewnątrz wielkiego, szczelnego kokona i oddychało tlenem z butli. No cóż. To nie była przecież dziewczyna, tylko „kontakt”. Jego, Jarka, kontakt z obcymi. Mniejsza z tym. Ważne, że jest tutaj, przy nim...

Nie oglądając się już, ruszył prosto przed siebie. Przeszedłszy kilka kroków,

przystanął, pochylił się, po czym tupnął mocno raz i drugi. Grunt był pewny, twardy. Pokrywała go cieniutka warstwa drobnego, ubitego pyłu, pod którą rozciągała się zapewne płaska powierzchnia skały.

Odetchnął i ruszył w dalszą drogę, już nieco szybciej. Postanowił dotrzeć dzisiaj przynajmniej do tych pojedynczych skałek, sterczących jak ości jakiejś gigantycznej ryby, którą burza wyrzuciła na ląd kilka tysięcy lat temu, kiedy ta równina stanowiła jeszcze dno oceanu. Ale w rzeczywistości pewnie nigdy nie było tu wody...

Szli nie odzywając się, około dziesięciu minut. W pewnej chwili Jarek, prostując się dla nabrania tchu, wznosił oczy ku niebu i ujrzał tkwiący we wszechobecnej kryształowej masie ciemnego granatu, wielki, bladoczerwony rodzynek. Tuż nad nim świeciła jakaś niezwykle jasna gwiazda, wyraźnie większa od innych, widocznych w tej części firmamentu. Zatrzymał się i wskazując palcem ów rodzynek spytał:

— Co to jest? Jowisz?

Sola zrównała się z nim i przystanęła również. Spojrzała tam, gdzie celował jego palec i uśmiechnęła się. Chłopcu przeszło przez myśl, że już dobre kilka minut nie widział jej uśmiechu. Najwyższy czas...

— Jowisz jest po przeciwnej stronie — powiedziała kręcąc głową. — To, na co patrzysz, to jest czwarty księżyc, Kalisto. My jesteśmy na trzecim...

— A ta gwiazda? — spytał przenosząc wzrok wyżej. Tym razem nie musiała podążać za jego palcem.

Jej uśmiech stał się szerszy.

— Ta gwiazda?... — powtórzyła, jakby się drocząc.

— No, pomyśl...

— Co mam myśleć — zniecierpliwził się. — Jak czegoś nie wiem, to nie wiem...

— Jarku... — szepnęła niemal tkliwie i chłopiec z wielkim zdumieniem stwierdził, że pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu. — Przecież to wasza gwiazda... — powiedziała miękko... — nie poznajesz? Słońce...

Jarek zdębiał. Co? To ma być słońce? Ta gwiazda, po prostu gwiazda, jedna z milionów, nawet jeśli o tyle jaśniejsza od innych?... Cóż to znowu? Żarty?...

— Jak to, słońce?... — wykrztusił wreszcie. — Nasze słońce?...

Zaśmiała się głośno.

— Wasze własne, rodzone słońce. Świeci tutaj dwadzieścia siedem razy słabiej niż na Ziemi i wydaje się pięć razy mniejsze. A teraz odwróć się...

Chłopiec niechętnie oderwał wzrok od najjaśniejszej z gwiazd, w którą przekształciła się tutaj najpotężniejsza ziemska kwarcówka do opalania i po raz drugi oniemiał z wrażenia.

Oddalili się już od bazy o kilkaset metrów i jej gładkie, kopulaste sklepienie rysowało się na tle wzgórz i granatowego nieba jak na obrazku. Taka sobie głęboka odwrócona miska, pociągnięta matową, srebrną farbą. Wszystkie otaczające budowlę konstrukcje, dźwigary, zwieńczenia anten, nie mówiąc już o otworze wjazdu, stały się niemal niedostrzegalne. Tym bardziej nierzeczywiste wrażenie sprawiała sama stacja, samotna półkula, w bezmiarze bezludnej przestrzeni, wypełnionej kryształową, mroczną nocą, ukazującą jednak każdy szczegół krajobrazu, każde wzniesienie i załamanie terenu, jakby kontury wszystkiego, co znajdowało się na tym globie, zaznaczono specjalnie grubą, czarną kreską.

Ale było tu jeszcze coś, co przykuwało uwagę bez porównania silniej niż widok srebrzystego sklepienia stacji. Otóż dokładnie nad bazą, dotykając niemal szczytu jej kopuły, stało na niebie wielkie, posępne koło, którego powierzchnię pokrywały brudnoszare i czerwone smugi, jakie pozostają na niedbale pozamiatanym podwórku. Jego tarcza była ogromna, zakrywała sporą część nieba i trzeba było unieść głowę, żeby dotrzeć wzrokiem do jej górnego krańca.

— Jowisz... — wyszeptał Jarek.

Sola skinęła głową.

— Jowisz. Największa z waszych planet... właściwie — rozłożyła dłonie — trochę planeta, a trochę gwiazda. To przez swoją budowę. Jest bardzo szczegółna... jak na planetę oczywiście. Potężny, co?

Potężny. Oto właściwe słowo. Potężny, choć nieprzyjemny. Jarek wiedział od ojca, że Jowisz ma jakąś szczególnie paskudną dla człowieka atmosferę, bodajże wodór, metan i jeszcze jakieś kryształki amoniaku, a także że tą atmosferą wstrząsają potworne huragany, przy których burze druzgocące ziemskie miasta, na przykład w Japonii, są oddechem śpiącego niemowlęcia. Tak, potężny. Trudno to lepiej wyrazić...

— Popatrz teraz wyżej... — głos Soli brzmiał znowu podejrzanie czule i serdecznie — widzisz ten jasny punkcik po lewej stronie nad tarczą Jowisza?... Tam gdzie pokazuję?...

Jarek powędrował wzrokiem w rejon wszechświata, ku któremu zmierzał wyciągnięty palec dziewczyny.

— No, widzisz?... — ponagliła. — Wiesz, co to jest?

— Nie widzę... — mruknął. — Jaki punkcik?

Przybliżyła się i stanawszy za chłopcem, wyciągnęła rękę nad jego ramieniem.

— O, tam... — umieściła wyprostowany palec przed jego oczami. — Widzisz teraz?...

— Ta gwiazdka?... — Jarek odruchowo dołączył swój palec do palca Soli.

— Tak — ucieszyła się. — Tylko że to nie jest żadna gwiazdka. Nie domyślasz się?...

Chłopiec przełknął ślinę.

— Tak, Jarku — powiedziała poważniejąc. — To jest Ziemia...

Sam na Ganimedzie...

— Kiedyś tu także wybuchały wulkany — powiedziała Sola — i płynęły masy rozżarzonej, czerwonej lawy...

Pod ich stopami rozpościerał się osobliwy dywan.

Stanowiła go płyta skały, podobnej do skamieniałej gąbki. Znaczyły ją tysiące drobniutkich dziurek, okrągłych i nieregularnych, o ostrych, poszarpanych krawędziach. Wszystko tu było granatowe, ale kiedy stojąc na tej płycie patrzyło się pod nogi, przez granat przebijała głęboka czerwień, jakby lekko przydymiona.

— To są skały z grupy gabra — wyjaśniła fachowo dziewczyna, po czym podzieliła się z Jarkiem refleksją na temat wulkanów, które kiedyś wybuchały i tutaj.

— A to? — spytał wskazując miejsce, obok którego stała. Wyzierało tam z gruntu coś na kształt spłaszczonej głowy hipopotama. Wielka, okrągława bryła, lekko wysadzona i wyraźnie odbijająca od otaczającej ją gąbki.

— Lakolit — odpowiedziała natychmiast Sola. Macie takie i u siebie — dodała. — Także magma, tylko zastygła tak, że tworzy w ziemi rodzaj wielkiego grzyba...

Mamy u siebie — powtórzył w duchu chłopiec.

Czyli nie wypada nie wiedzieć... to pewnie chciała powiedzieć... Już otwierał usta, żeby poinformować ją co myśli o grzybach, skalnych i innych, ale ubiegła go i tym razem.

— Popatrz tutaj — zawołała.

Mimo woli podążył za jej wzrokiem i trafił na stojącą nieco dalej maczugę skalną, zwężoną w połowie wysokości, co czyniło ją podobną do kukły żołnierza mocno ściągniętego paskiem. Tam właśnie, w tym przewężeniu jaśniała jakaś biegnąca niemal pionowo w górę jasnożółta wstążka.

— Złoto?! — zawołał, chwilowo przynajmniej zapominając o grzybach.

Uśmiechnęła się. Tym razem jednak ten jej uśmiech był odrobinę mniej sympatyczny.

— Nie — odparła krótko. — Monacyt. Fosforan ziem rzadkich. Taki minerał... — wyjaśniła, jakby to rzeczywiście coś wyjaśniało.

Jarek zagryzł wargi i postanowił, że nie odezwie się więcej słowem. Przynajmniej na temat skalnych gąbek, fałszywych szlachetnych metali i w ogóle niczego, co przypomina kamień.

Baza została dwa, a może trzy kilometry za nimi. Od dobrych kilku minut szli już przez ten niesamowity las, w którym miejsce drzew zajęły pojedyncze, smukłe i poszczerbione głązy. Większość nie przekraczała trzech metrów wysokości, ale zdarzały się pomiędzy nimi prawdziwe skalne obeliski, przywodzące na myśl wieże gotyckich katedr. Granatowy mrok spowijający tę cudzą, czy raczej niczyją ziemię — jako że jej prawowici gospodarze jeszcze tu nie dotarli, a goście nawiedzali ją raczej dyskretnie — jakby zgęstniał. Góry były coraz bliżej, ich przerażające ogromem, rozdarte na tysiące postrzępionych iglic szczyty, sięgały do połowy nieboskłonu. W pewnym momencie zasłoniły słońce i chłopcu wydało się, że jeszcze bardziej pociemniało, chociaż to słońce nie świeciło tutaj przecież tak, żeby jego nieobecność mogła spowodować w granacie dnia lub też w granacie nocy jakąkolwiek różnicę.

Równocześnie jednak te góry, z daleka jednolite, podzieliły się na poszczególne grzebienie i pasma. Niska stosunkowo odnoga najbliższego z nich zataczała szeroki łuk i spływała stromym językiem przypominającym zębaty grzbiet przedpotopowego gada, dokładnie na wprost miejsca, gdzie znajdowali się w tej chwili Sola i Jarek.

Chłopiec dawno już upatrzył sobie tę właśnie grań, a nawet wybrał niewielką przełęcz widoczną pomiędzy dwoma skalnymi czubami. Tam właśnie postanowił dojść. Próbować zapuścić się jeszcze dalej byłoby i ryzykowne i pozbawione sensu, ponieważ widok z jakiegokolwiek innego miejsca nie mógł się bardzo różnić od tego, który zapowiadała już ta właśnie najbliższa przełęcz. Tak czy owak kierowali się właśnie do niej i Jarek, całkiem zresztą słusznie, uważał, że jeśli tylko zdołają osiągnąć jej rozwarłe pod ostrym kątem siodelko, to jak na pierwszy spacer najzupełniej wystarczy.

— Popatrz — odezwała się Sola, przystając raptownie.

— Znowu jakaś magma? — nie wytrzymał. Posłusznie spojrział jednak we wskazanym przez nią kierunku. I nie pożałował tego.

Na lewo, daleko od punktu, do którego zmierzali, pomiędzy dwoma masywami gór widniała prawdziwa, wielka przełęcz, a raczej ogromne skalne wrota. W samym ich środku, na tle skrawka ciemnego nieba ukazała się tarcza jakiegoś globu. Jowisz nadal patrzył im w plecy, jego czwarty księżyc Kalisto, schował się przed nimi za góry, podobnie jak słońce, a więc musiało to być coś, czego jeszcze tutaj nie widział.

— Popatrz uważnie — nalegała dziewczyna.

W ostatniej chwili powstrzymał się, żeby ponownie nie spróbować wzruszyć ramionami. Przecież patrzy.

Niezbyt wielka, jajowata tarcza, znacznie mniejsza od Jowisza... zaraz... zaraz...

— Tam są dwie! — wykrzyknął nagle. — To znaczy chyba dwa... — poprawił się niemal natychmiast.

— Dwa księżyce... — dodał.

Sola spojrzała na niego z uznaniem. Tak, to nie mogło być nic innego. Chodzi o uznanie w oczach Soli, oczywiście. Ale i o księżyce także.

— Zaćmienie Io... — powiedziała, zniżając głos.

— Co?...

— Io...

— Io?... — wykrzywił się, wydając z siebie ten cudaczny dźwięk.

— Tak, Io...

— Co za „Io”?...

— Io, no... pierwszego księżycyca... — Sola jakby się obruszyła, że ktoś może nie wiedzieć czegoś tak oczywistego. — Z Jowisza — dodała — wydaje się kilka razy większy niż wasz Księżyc oglądany z Ziemi...

Jarek przyjął tę wiadomość bez entuzjazmu. Większy? To co z tego. Wrona też jest większa niż słowik...

— Szkoda tylko — warknął — że tam nie ma lunatyków. Dopiero byłby ubaw...

Dziewczyna zaśmiała się, może na myśl o lunatykach na Jowiszu.

— Tam w ogóle nie ma nikogo — powiedziała wesołym tonem. — A co do lunatyków, masz rację. Tym bardziej, że mieliby do wyboru aż dwanaście księżyców. Tyle ich ma ten wielki glob...

To na odmianę Jarek wiedział.

— Wiem — stwierdził z pewnością człowieka który wie coś naprawdę. Zmierzył wzrokiem bladoczerwoną tarczę, na której coraz wyraźniej odcinał się sierpowaty cień jakiegoś przedstawiciela pozostałej księżycowej jedenastki, kroczącego mozolnie drogą pomiędzy numerem jeden a słońcem. — Więc to jest zaćmienie Io... — mruknął.

— Tak — potwierdziła Sola. — Nie myśl tylko, że masz wyjątkowe szczęście, trafiając tu akurat na taki widok. Przy tej ilości księżyców, przeciętnie co dwanaście godzin mamy tu jakieś zaćmienie... to nie Ziemia...

Tak, to nie Ziemia. Wśród wszystkich rzeczy pewnych, których nie naliczyłoby się

tutaj tak znowu bardzo wiele, ta jedna przynajmniej prawda była nie do podważenia.

Odwrócił się i utkwiał wzrok w wielkiej tarczy Jowisza. Siała jak kilkanaście minut temu, dokładnie nad bazą. Na jej powierzchni zaszły jednak pewne zmiany. Pierzaste smugi ustąpiły miejsca szerokim, jasnym i ciemnym na przemian pasom, układającym się niemal regularnie jeden na drugim.

— Ogrom... — wyrwało się chłopcu mimo woli.

— Ogrom — przytaknęła jego towarzysza. — Ma masę trzysta osiemnaście razy większą niż Ziemia. Pomyśl tylko. To jest dwa i pół razy więcej, niż liczy masa wszystkich pozostałych planet waszego układu słonecznego razem wziętych. Poza nim, oczywiście.

Jarek spochmurniał. Nic dziwnego, że stojąc na jednym z księżyców tego giganta, musi aż kręcić głową, żeby przemierzyć wzrokiem jego pasiastą tarczę wzdłuż i wszerz.

— Ali Baba — mruknął — Ali Baba i dwunastu rozbójników...

— Nie rozumiem?... — Sola spojrzała na niego z nagłym zainteresowaniem.

— Nic, nic... — burknął pośpiesznie. — Idziemy?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył w dalszą drogę. Przez jakiś czas szli w milczeniu obok siebie. Kształty mijanych gładów stawały się coraz bardziej wymyślne i fantazyjne. W pewnym momencie chłopiec musiał skrócić, żeby obejść sterczącą z gruntu skalną kolumnę, której średnica, u podstawy, nie mogła liczyć więcej niż pół metra. Wyżej natomiast rozszerzała się tworząc nieforemną bułę, po czym śmigła w górę ostrym, zwężającym się ostrosłupem, który zamiast szpicem, kończył się wielkim, jakby sztucznie dolepionym kogucim grzebieniem. Czysty obłęd. Świat do góry nogami...

Zaledwie to pomyślał, pod jego stopami coś brzydsko zachrobotało. Następnie chrobot przeszedł w ostry trzask, jakby pękającego suchego drewna i Jarek poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. A żeby to!

W pierwszym, instynktownym odruchu rzucił się do przodu. I kiedy pękła pod nim cieniutka warstwa skały, pokrywająca w tym miejscu rozpadlinę w kształcie pionowej studni, nad powstałym nagle otworem znalazła się akurat jego twarz z rozszerzonymi w panicznym strachu oczami. Tak więc należałoby raczej powiedzieć, że ziemia usunęła mu się spod głowy.

Zresztą, mniejsza o słowa. Dość, że sekundę później tkwił w zupełnie odwrotnej pozycji pionowej szczelnie wpasowany w ściany wąskiego skalnego szybu, głębokości jakichś trzech metrów, i czuł, że wszelkie usiłowania poruszenia ręką czy nogą są z góry skazane na niepowodzenie. Krew napłynęła mu do twarzy, usiłował wykręcić ją tak, żeby przynajmniej ujrzeć w górze skrawek granatowego nieba, ale i ta próba spaliła na panewce.

— Jesteś tam? — usłyszał dochodzące z wielkiej odległości i, jak to ocenił, szczególnie błyskotliwe pytanie Soli. Udało mu się bohatersko stłumić okrzyk, o który aż się prosiło w tej sytuacji. Ba, do tego stopnia zapanował nad sobą, że mógł odpowiedzieć głosem, jak mu się zdawało, nie pozbawionym godności:

— Nie...

Sola zamruczała coś, czego nie zrozumiał, bo raz, że zrobiła to za cicho, a dwa, zajęty był właśnie sprawdzaniem stanu własnych unieruchomionych kończyn. Stwierdziwszy, że nie czuje bólu, poza drobnymi dolegliwościami wynikającymi z twardości skały, zatroszczył się o powietrze, którym oddychał. Na pozór wszystko było w porządku. Czyli że butle z tlenem ocalały. Gorzej było z oczami. Człowiek ostatecznie nie jest stworzony po to, żeby stać na głowie. Są specjaliści, którzy to potrafią, ale Jarek jakoś dotąd nie interesował się jogą. A każdy przyzna, że co innego przejść na rękach od drzwi klasy do swojej ławki, a co innego tkwić nogami do góry

w głębokiej, ciasnej studni i nie mieć zielonego pojęcia, czy wróci się kiedyś do normalnej pozycji, a jeśli tak, to kiedy. Toteż nic dziwnego, że Jarkowi w pewnej chwili wydało się, że przestaje widzieć. Zaraz jednak przekonał się o swojej pomyłce. Zobaczył bowiem. Tyle że to, co zobaczył, było cudaczne, bardzo cudaczne... na dobrą sprawę mogły to już być przedśmiertne majaczenia...

Tuż obok siebie ujrzał bowiem zgrabne, opalone nogi Soli. Tuż obok siebie. Jak inaczej powiedzieć... chociaż przecież obok niego nie było miejsca nie tylko na nogi dziewczyny, żeby nie wiem jak zgrabne, ale bodaj na wetknięcie palca. No więc te nogi po prostu tkwiły sobie w skale. I najspokojniej poruszały się w niej, jakby ta skała była ciepłą wodą jakiegoś sympatycznego basenu. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do świadomości chłopca, że jego opiekunka postanowiła nie opuścić go w sytuacji, w jakiej się znalazł. Tyle że zrobiła to po swojemu. Przecież skała, metal, beton — wszystko to dla kogoś, kogo naprawdę nie ma, znaczyło tyle co powietrze.

— Butle z tlenem są nie uszkodzone — usłyszał dobiegający z góry jej głos. — Poczekaj cierpliwie, zaraz cię wyciągniemy...

Poczekaj cierpliwie... Tak. Jeszcze jedna dobra rada.

— Stań tak jak ja — burknął — skoro już chcesz mi towarzyszyć.

Minęła sekunda i nagle nogi dziewczyny znikły.

Zamiast nich w skale poruszyła się uśmiechnięta twarzyczka okolona puszystymi włosami... nie, wszystko, tylko nie to!

— Idź sobie — wrzasnął. Idź i poczekaj na górze... a przede wszystkim wyciągnij mnie stąd. Zaraz!

Nie było odpowiedzi. Obraz Soli zniknął i pozostała ciemna jak noc studnia.

— Jesteś tam? — spytał chłopiec, odczekawszy chwilę.

Cisza.

— No?! — w jego głosie oprócz irytacji pojawiła się jeszcze jakaś inna nutka...

Mijały sekundy. Z sekund robiły się minuty, z minut godziny, dni, noce, tygodnie...

Nie przesadzajmy. Ale gdyby tak spytać Jarka, jak długo tkwił w tej zdradzieckiej skalnej szczelinie, odpowiedziałby z pewnością, że co najmniej pół godziny. W każdym razie zdążył pożałować że tak zdecydowanie odprawił na górę dziewczynę. Przynajmniej coś by mówiła...

Nagle poczuł, że na jego stopach zaciskają się jakieś obręcze. Próbował nimi poruszyć, ale bezskutecznie. W pierwszej chwili przeraził się, że studnię pokryły warstwy ziemi czy kamieni, które obsunęły się z powierzchni, natychmiast jednak te obręcze zaczęły go ciągnąć w górę. Zazgrzytały butle, trąc o chropawą skałę, o jego kask uderzył jakiś spadający niewielki kamyk i nagle przed nim zrobiło się znowu jasno. To znaczy granatowo, co tu wychodziło na jedno. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że otwór studni stopniowo zaczął pozostawać coraz bardziej w dole, a on sam jechał coraz wyżej, jak zawieszony na haku ciężar, przed załadowaniem na statek.

— Hej! — krzyknął zduszonym głosem. — Dosyć tego!...

W tym momencie ujrzał Solę. Stała na ziemi, uśmiechała się i spoglądała w miejsce za jego plecami. Jarek z wysiłkiem odwrócił głowę i ujrzał znaną sobie mechaniczną poczwagę. Tak, nie mógł się mylić. Ten sam roboczy automat, który w nawigatorni pełnił funkcję kamerdynera, przynosząc ludziom ubrania, tutaj pośpieszył mu na ratunek, używając trzech ze swoich pięciu czy sześciu wysięgników. Jarek przestał wznosić się wyżej. I zaraz potem poczuł, że jakieś inne mechanizmy automatu obejmują delikatnie jego kibić i odwracają go nogami w dół. Po czym bez żadnych przeszkód zjechał już na powierzchnię gruntu, w bezpiecznej odległości od czerniejącej opodal jamy.

— Musiałam go wezwać z bazy — tłumaczyła się Sola. — Dlatego kazałam ci czekać...

Jarek zmarszczył się i już miał zamiar coś odburknąć, ale zrezygnował. Pomyślał chwilę, po czym powiedział z powagą:

— Dziękuję...

Mówiąc to, mimo woli odwrócił się, szukając wzrokiem automatu, który przyszedł mu na ratunek. Ale ten był już daleko. Wracał do bazy, biegnąc szybko na trzech pająkowatych nogach, uginających się zabawnie w stalowych stawach.

Chłopiec wyprostował się, podciągnął pasy stelaża z butlami i obrzucił spojrzeniem skafander. Stwierdziwszy, że wszystko jest w największym porządku, spojrzął przed siebie, kierując wzrok ku drodze, jaką upatrzył sobie wychodząc z bazy.

— Co, idziemy? — mruknął, przechodząc do porządku dziennego nad swoją kolejną przygodą i nad kolejnym dowodem troski obcych o jego bezpieczeństwo.

Ruszyli. Tym razem Sola wyprzedziła chłopca i idąc, starannie przypatrywała się mijanym przez nich formacjom skalnym. A także powierzchni gruntu.

Nie opuścili jeszcze rejonu skalnego lasu. Przyglądając się jego osobliwym kształtom, Jarek stopniowo naprawdę zapomniał o tym, co przed chwilą przeżył.

Tak, do tego krajobrazu rzeczywiście trudno się przyzwyczaić. I zapewne muszą minąć lata, by mógł on człowiekowi spowszednieć...

Następna skała, którą mijali, z kolei kształtu ogromnej zastygłej kropli, tyle że odwróconej, zwróciła uwagę chłopca okrągłym czarnym otworem położonym akurat na wysokości jego oczu. Chyba tylko dlatego przechodząc zerknął do wnętrza tej jakiejś miniaturowej groty. Natychmiast zatrzymał się i przystąpił bliżej skały.

— Popatrz! — zawołał nie odwracając się. — Coś fantastycznego.

Sola podeszła bliżej.

— Tak... ładne... — powiedziała bez przekonania.

Ale to było naprawdę ładne. Ze stropu skalnej wnęki celowały w dół ostre, graniaste szpice wydłużonych kryształowych lasek, pięknej, żółtoniebieskawej barwy. Padające z zewnątrz nikiel, granatowe światło krzeszało w ich wnętrzach delikatne ogniki, zapalające się i gasnące przy najlżejszym poruszeniu głowy. Natomiast w głębi i u podstawy niszy kotłowały się jakby nitki makaronu. Ale nie podanego na talerz, tylko takiego, jaki wyjmuje się z pudełka, przed ugotowaniem. Szttywne, poskręcane niemilosiernie, białawe i na pozór tak kruche, jakby czekały na jedno z przytknięcie palcem, by rozsypać się na proszek. Kiedy jednak Jarek sięgnął po nie dłonią, uzbrojoną w wielką, szorstką rękawicę, stały mu niespodziewany opór. Próżno naciskał z całej siły zewnętrzne sploty kamiennego kłębowiska, próżno też próbował chwycić poszczególne skalne nitki. Nic z tego. W końcu dał spokój, cofnął rękę i przyglądał się tylko, zbliżając głowę do otworu i oddalając ją, żeby nacieszyć oczy grą światła w kryształach.

— To chryzoberyl — powiedziała Sola.

Ta informacja nie wywarła na Jarku spodziewanego wrażenia. Chryzo... coś tam czy nie „chryzo”, co za różnica. O tych płasających wewnątrz skały ognikach i tak nie sposób powiedzieć inaczej, niż że są po prostu piękne.

— A te nitki na dole — nie dawała za wygraną Sola — to aragonit. To są oczywiście wasze nazwy... — dodała, jakby przypuszczając, że sprawi tym chłopcu przyjemność. I to przypuszczenie okazało się jednak chybione. Nasze. A jakżeżby miały być?...

Zaraz... Nasze?...

Chłopiec powoli odwrócił głowę i spojrzął dziewczynie w oczy.

— Skąd właściwie — zaczął niewinnym tonem znacie te „nasze” nazwy?...

Wiecie, jak nazywamy minerały, pierwiastki, planety i tak dalej?... Rozumiem, że przylatujecie na Ziemię, bo interesuje was, co się tam dzieje. Ale czy mimo wszystko nie wiecie odrobinę za dużo?... Jak ci się zdaje?...

Sola odpowiedziała na jego podejrzliwy wzrok jednym ze swoich chyba najbardziej ujmujących uśmiechów.

— Czy to coś złego?... — spytała, z nutą przekory w głosie. — Jeśli chce się kogoś poznać, to przede wszystkim trzeba zrozumieć stosunek tego kogoś, do wszystkiego, co go otacza. Bez nazw nie zrobilibyśmy nawet pierwszego kroku na tej drodze. Czyż nie tak postępują wasi uczeni? W ogóle wy wszyscy? A jeśli chodzi o minerały, to przecież badając nieznaną kład zawsze zaczyna się od pierwiastków... Co wy robiliście na przykład po pierwszych wyprawach na Księżyc?

Te próbki, które wędrowały u was przez wszystkie kraje? Zresztą — dodała, jakby jej było pilno zakończyć tę sprawę — wszystko co wiemy, to przecież od was samych... oczywiście, jeśli chodzi o język...

— Od nas?... — rozbudzona na nowo nieufność w dalszym ciągu podsuwała Jarkowi niezbyt miłe dla Ziemiaków obrazy. — Jak to od nas? Powiedziałaś przecież że nie rozmawialiście z ludźmi?...

— A radio? — spytała, nie przestając się uśmiechać. — Telewizja? Wszystkie wasze audycje oświatowe, publicystyczne, wykłady, najrozmaitsze kursy?... Wasze filmy?...

— Podśłuchujecie!... — parsknął chłopiec.

— Co chcesz — roześmiała się. — Podśłuchiwanie to nie tylko nasza specjalność. Zresztą chyba nie jesteś sprawiedliwy, nazywając to w ten sposób. Powiedz sam, czy istnieje lepsze źródło informacji o jakiegokolwiek cywilizacji?... Uważasz może, że lepiej byłoby porwać z obcych planet zamieszkujące je istoty, żeby od nich dopiero dowiedzieć się czegoś o ich wiedzy, zwyczajach, poglądach i tak dalej?...

— A ja co tu robię?... — mimo woli burknął chłopiec.

Sola posmutniała.

— Dobrze wiesz, że to był wypadek — powiedziała z wyrzutem. — A poza tym jeśli chodzi o zdobywanie informacji, to raczej nie ja wypyuję ciebie, jak to czy tamto wygląda na Ziemi... —

— Ale nie odpowiadasz, kiedy chodzi o coś naprawdę ważnego — nie ustępował Jarek. — Wy na przykład oglądacie sobie nasze filmy... —

Dziewczyna rozłożyła ręce.

— Trudno — powiedziała kręcąc głową. — Mamy nad wami przewagę wieku... niezbyt wielką, co prawda. Zaledwie około piętnastu tysięcy lat. Ale to my przyłecieliśmy do was, a nie na odwrót. Kiedy będziecie starsi... — zaczęła i nagle parsknęła śmiechem.

— Jak na komputer — zauważył cierpko chłopiec — masz nader silnie rozwinięte poczucie humoru... —

— Bo chciałam powiedzieć zdanie, którego bardzo nie lubisz — wyjaśniła przepraszającym tonem. — Powiem je jednak, pomimo wszystko. Ty też nie oglądasz jeszcze wszystkich filmów, które robi się na Ziemi. Dorośli mówią ci: „zaczekaj, aż będziesz starszy...”. No więc, coś takiego właśnie można by powiedzieć o was i o nas. Kiedyś i wy będziecie latać do nieznanymi układów słonecznych i poznawać istniejące tam cywilizacje. Ale musicie poczekać. No a my to czekanie mamy już za sobą... oto cała różnica — zakończyła.

Cała, jak cała. Ale w jednym miała rację. Prowadzić tę dyskusję dalej, znaczyłoby mniej więcej to samo, co próbować przekonać rodziców, kiedy mówią: „poczekaj, aż będziesz starszy”. Nie. Tylko nie to.

— Chodźmy! — rzucił ze złością. Odwracając się w kierunku dalszej drogi, nie

odmówił sobie jednak ostatniego spojrzenia w głąb skalnej kieszeni, wypełnionej skarbami tutejszej ziemi. Choć jeśli Sola posługiwała się ludzkimi nazwami, mówiąc o tych połyskujących tak pięknie minerałach, musiały one istnieć także na prawdziwej Ziemi. Jak to było?... Chryzobeton... Chryzo... Nie. Nic z tego. Szkoda. Niezłe byłoby spytać ojca, kiedy będzie mu opowiadać...

Myśl o ojcu wprawiła Jarka w lepszy humor. Na obozie oczywiście ani mru mru. W szkole także. Ale ojciec? Mniejsza, czy uwierzy. Jednego można być pewnym. Że jego opowieść nie zostanie skwitowana wzruszeniem ramion. Że w każdym razie dojdzie właśnie do rozmowy. To coś znaczy, jeśli można tak powiedzieć o perspektywie spotkania bądź co bądź z rodzicem. A poza tym, do licha, nie zdarza się, żeby własny ojciec pakował człowieka do domu wariatów, nawet jeśli podejrzewa, że jego „oczko w głowie” mówi cokolwiek od rzeczy...

Skalny las zostawał powoli za nimi. Jeszcze dwie, trzy brunatne maczugi, niższe już i bardziej przysadziste, a pod ich stopami, to znaczy, ściśle mówiąc, pod stopami Jarka, zachręściły leżące luzem kamienie. Tuż przed nimi stok wznosił się ostro, przechodząc dalej w stromą skalną ścianę. W miejscu, do którego zmierzali, jej pionowa niemal płyta była przecięta, głęboką rysą, prowadzącą prosto do upatrzonej przez chłopca przełęczy. Zaścielał ją kamienisty piarg, który spływał aż tutaj, na zbocze, gdzie zatrzymał się pochód tych jakichś skalnych pielgrzymów, jakby doszli do wniosku, że dalej jest już dla nich za stromo.

Jarek pochylił się, odruchowo wsunął dłonie pod pasy przytrzymujące pojemnik na jego plecach i nie zwalniając tempa marszu zaczął mozolnie pięć się pod górę.

Przełęcz była tuż. Żleb zwążał się w tym miejscu, przechodząc w wąską, skalną rynnę, o ścianach tak .. gładkich, że nawet szorstkie, chwytne rękawice, w jakie zaopatrzony był skafander, nie znajdowały na niej najmniejszego punktu zaczepienia. Był to z pewnością najmniej przyjemny odcinek drogi. W dodatku dno rynny zalegały tutaj większe, kanciaste głazy, które uciekały spod nóg i z rosnącą szybkością pomykały w dół, napełniając zamkniętą skalną przestrzeń groźnym rumorem spadającej lawiny.

W końcu jednak i ta część żlebu została za nimi. Sola stale trzymała się kilka kroków przed chłopcem, płynąc raczej, aniżeli wspinając się z nim razem. Był taki moment, kiedy Jarek już, już miał na nią krzyknąć, żeby szła za nim, bo nie może dłużej patrzeć, z jaką nieładną, właśnie: nieładną łatwością pokonuje drogę, która jemu wyciska ostatni pot z czoła. Powstrzymał się jednak. Nie wiadomo, co gorsze. Tak przynajmniej ma ją przed sobą, zamiast żeby to ona świdrowała mu plecy tymi swoimi niebieściutkimi oczkami i uśmiechała się, widząc jak gramoli się z kamienia na kamień.

Pod samym siodłem przełęczy stromizna złagodniała. Ściany z lewej i prawej strony rozstały się i po kilku minutach szli już niemal poziomą skalną płytą, niezbyt nawet śliską, a w każdym razie dającą mocne oparcie stopom, uzbrojonym w elastyczne, dobrze przylegające do podłoża buty. Kiedy wreszcie osiągnęli szczyt przełęczy, Jarek oddychał już niemal normalnie, czując tylko, że do jego płuc dostaje się jakby czystsze powietrze niż na początku drogi i że tego powietrza jest jak gdyby więcej. Domyślił się od razu że to aparatura zainstalowana w skafandrze automatycznie dozjuje dopływ tlenu, w zależności od wysiłku fizycznego, jaki pokonuje oddychający tym tlenem człowiek.

Stał na szczycie i wyprostował się. Tak, jak na pierwszy spacer, wystarczy. Wystarczyłoby nawet, gdyby miał to być równocześnie ostatni spacer przed odlotem na Ziemię. Człowiek ma ograniczoną możliwość przyjmowania wrażeń. Każdy człowiek. Nie tylko mężczyzna w piętnastym roku życia, któremu przyszło

reprezentować swoją macierzystą planetę wobec przybyszów z gwiazd.

A wrażenia, jakich w tej chwili doznawał, były co się zowie potężne... tak, potężne. Patrząc z przełęczą w stronę przeciwną od bazy, człowiek odnajdywał się nagle w sercu najbliższych gór świata. A raczej znowu należałoby powiedzieć: światów. Jakby ktoś w lśniącym, granatowym papierze wykroił ostre, szpiczaste zęby, odsłaniające czarne jak sadza tło. A nad tym takie same zęby. I jeszcze jedno. I jeszcze. Aż po kres horyzontu, wszędzie, gdzie spojrzeć, tylko te bodące niebo szczyty, na pozór lekkie przez swą strzelistość, ale w rzeczywistości gigantyczne i złowrogie. Niektóre jakby łamały się pod wierzchołkami, tworząc niedostępne skalne okapy, inne wyciągały w stronę sąsiadów cieniutkie z tej odległości odnogi, podobne do zawieszonych w powietrzu, niedokończonych mostów. Wśród mrowia gwiazd, było wiele takich, które stojąc nisko na firmamencie, dotykały grani, ozdabiając je jakby girlandami karnawałowych lampek.

Jarek dobrą chwilę stał bez ruchu, chłonąc to aż zbyt piękne i aż zbyt oszałamiające widowisko, zanim jego błądzący po szczytach wzrok nie napotkał tuż nad jednym z nich nowej osobliwości. Było to ciało niebieskie, niewiele mniejsze od czwartego księżyca Jowisza oglądanego spod bazy, ale dziwnie kolorowe, jakby opasane wszystkimi barwami tęczy. Mogło się zdawać, że jakieś dziecko, bawiące się w głębi tych niedostępnych gór, wypuściło kolorowy, świecący balonik.

Mimo woli odwrócił głowę i poszukał wzrokiem Soli. Stała już za nim, jakby nie chcąc przesłaniać sobą widoku.

— Widzisz to?... — mruknął, unosząc ramię.

— Proszę?... — dziewczyna w pierwszej chwili nie połąpała się, dokąd właściwie celuje wyciągnięta dłoń Jarka. — Aa... — w jej głosie zabrzmiała ulga zmieszana z nutką zdziwienia — to przecież najbliższy sąsiad Jowisza... jeśli chodzi o planety, rzecz prosta, a nie o księżyce. Saturn. Musiałeś widzieć jego fotografie?...

Pytanie. Saturn. Saturn z jego kolorowymi pierścieniami. Pamiętał nawet, jak ktoś mu kiedyś w planetarium tłumaczył, że te pierścienie to szczątki jednego z księżyców, który nieopatrznie zbliżył się do swojej macierzystej planety, przekraczając dozwoloną strefę. A poza tą strefą z przyzwoitego, wielkiego księżyca zawsze zostają już tylko takie właśnie kolorowe kamyczki, krążące potem wokół globu i udające barwną tęczę. Ta strefa jakoś się nazywała... mniejsza z tym. Saturn. Oczywiście, że Saturn.

— Tak — powiedział nieco naiwnie. — Tylko u nas jest trochę mniejszy...

— Myśle!... — roześmiała się głośno Sola.

Odwrócił się i przemierzył wzrokiem drogę, która przywiodła ich w to miejsce. Z góry kamienny las wyglądał dość niewinnie. Ot, porozrzucane bez ładu i składu kamienie, niezbyt wielkie i niczym szczególnym nie przyciągające uwagi. Poza tym „lasem” ciągnęła się gładka jak stół równina, z obu stron ginąca za horyzontem. Dalej na wprost znowu pas skalistych pagórków, przypominających piaszczyste wydmy. Przynajmniej jeśli chodzi o łagodny rysunek ich zboczy, bo pod każdym innym względem trudno chyba mówić o granatowych wydmach. Tam, na tle jednego z najbliższych położonych wzgórz, rysowała się wyraźnie maleńka kopuła bazy. Wyglądała jak zepsuta piłka, leżąca na tej części swojej wypukłości, która na skutek wyroków losu stała się w pewnym momencie wklęsłością.

Daleko do domu... — przeszło Jarkowi przez myśl. Stwierdzenie to nie było może odkrywcze, ale z pewnością głęboko słuszne, nawet jeśli nie zostało powiedziane, czy tym domem ma być ta obca i służąca obcy kopuła, czy też chodzi o dom, który jest jeszcze dalej niż tylko daleko. Obcy... No cóż. Mimo wszystko byli przecież żywymi, rozumnymi istotami. To co, że w tej chwili bawią gdzieś we wszechświecie. Tę bazę zbudowali dla siebie, dla żywych. Żywych. To wielkie słowo, jeśli się nad nim

zastanowić. Tym bardziej tutaj. Zresztą nie tylko tutaj, wszędzie, gdzie to życie staje się czymś niezwykłym, czymś najdziwniejszym w świecie, w nieskończonym, mrocznym świecie, w którym światło latami biegnie od jednej skalnej kruszyny do drugiej... Świecie, który jest martwy...

— Będziemy chyba wracać — powiedziała z wahaniem Sola i chłopcu wydało się, że to nie istniejące w rzeczywistości stworzenie, które było zaledwie uzupełnieniem głosu komputera, pomyślało teraz to samo co on. Niedorzeczność...

— Poczekaj — mruknął. Oderwał wzrok od majaczącej w dali kopuły bazy i spojrzał w górę.

Nad wzgórzami ciągle stała nieruchoma, majestatycznie wielka tarcza Jowisza. Ale nie ona była tym, czego szukał. I co wreszcie odnalazł. Mały, maleńki, złotawy punkcik w bezmiernej, granatowoczarnej otchłani. Tak mały, że aż śmiesznie przyznać przed sobą samym, że tam się urodziło i że kiedy człowiek już tam jest, to ta nieskończenie drobna kruszyna wydaje się całym światem, zbyt dużym, aby starczyło życia na poznanie wszystkich jego łądów i mórz, krajów oraz ludów, ich obyczajów, języków, tylu języków!...

Zabawne. Naprawdę zabawne, kiedy tak patrzeć stąd, ze świata planet wciąż jeszcze tego samego słońca i zastanawiać się nad wielkimi i mniej wielkimi sprawami mieszkańców tego złotawego ognika, pozbawionego nawet wymiarów, jak pierwszy lepszy punkt, pomyślany tylko w czasie i w przestrzeni. Śmieszne, że ci mieszkańcy nie mogą nawet swobodnie przenosić się z jednego mikropunkcika tego swojego punktu w drugi mikropunkcik. Że muszą zabiegać o jakieś paszporty, wizy, starać się o pieniądze... właśnie, pieniądze...

Niespodziewanie Jarkowi przyszła na myśl mama. Jej rozmowy z ojcem, jej stroskana mina, kiedy wraca ze sklepu, dźwigając wypchane siatki, jej częste przestrogi, że trzeba się liczyć z groszem, oszczędzać, że ojciec i ona ciężko pracują... no pewnie, że ciężko... chociaż, z drugiej strony nie zarabiają wcale źle. Ojciec w Instytucie, a mama jako ekonomista w swojej ukochanej stoczni. Ważne sprawy... Ważne, pewnie, ale stąd wyglądają jakoś inaczej. Zresztą, pieniądze... przecież nie chodzi o te banknoty, które przynoszą do domu ojciec i mama. Jarek nieraz już miał okazję słyszeć i czytać, co ludzie są w stanie zrobić dla pieniędzy, nawet tacy, którzy i tak mają ich znacznie więcej niż inni. A także, co niektórzy ludzie pozwalają z sobą robić, kiedy ich właśnie nie mają...

Pieniądze, granice, języki... ba, żeby to już było wszystko. A te bunkry, które tak zaciekawiły obcych? I wszystko, co sobą reprezentują? A ludzie, umierający z głodu... podczas gdy inni tylko podnoszą ceny zboża i żywności?... „Mamy nad wami przewagę wieku...” zadźwięczały chłopcu w uszach słowa Soli. Mają ją naprawdę. Latają sobie po obcych gwiazdach i planetach jakby nigdy nic. A przecież i oni... jeśli wierzyć temu komputerowi... tak, nawet oni wciąż jeszcze mają u siebie sprawy, z którymi woleliby siedzieć cicho i nie chwalić się nimi, na przykład przed mieszkańcami Ziemi. Widać łatwiej jest sięgnąć do gwiazd, niż zrobić prawdziwy porządek na własnym podwórku. No dobrze, ale jeśli ktoś przyzwyczajony do bałaganu na tym właśnie podwórku, zechce te swoje przyzwyczajenia przenieść na kontakty z obcymi? Co wtedy? Czym to pachnie? I czy wtedy wystarczą bunkry, podobne do tych, jakie budowali hitlerowcy, postanawiając do ostatniego żołnierza bronić Wału Pomorskiego, gdzie teraz rezydują sobie w najlepsze Węże?

Jarek westchnął głęboko. W tej chwili dopiero zaświtało mu, co naprawdę miała na myśli Sola, mówiąc o tym, że istoty, które zbudowały tutaj tę bazę, nie życzą sobie odwiedzin obcych, nie przygotowanych do kontaktu z innymi...

Postanowił jej to powiedzieć. Odwrócił się... i nie znalazł jej tam, gdzie była jeszcze kilka minut temu, to znaczy na szczycie przełęczy. Rozejrzał się, najpierw

spokojnie, potem coraz bardziej gorączkowo.

— Co u licha... — mruknął półgłosem, czując jednak, że serce podchodzi mu pod gardło. — Sola! — zawołał niezbyt głośno.

Nic. Cisza.

— Sola!

Milczenie. Granatowa pustka, rozdarta sięgającymi gwiazd czarnymi kominami gór. Przepaście i pionowe, niedostępne ściany. Piarzysty żleb, spływający do dziwacznych skałek, pomiędzy którymi prowadzi droga do...

Nonsens. Zupełny nonsens. Ma halucynacje. Zmęczył się po prostu bardziej, niż jeszcze chwilę temu mu się zdawało. Trzeba tylko zamknąć na moment oczy... tak... teraz otworzyć je znowu i...

Nic się nie zmieniło. Niewzruszona tarcza Jowisza, jak wielka, gasnąca latarnia. Pasma wzgórz, sięgające niemal jej dolnej krawędzi. I na tle tego pasma, a raczej najbliższego pagórka...

Nie. Tam nie ma nic. Nic.

— Sola!!!

Od wysiłku włożonego w ten krzyk pociemniało Jarkowi w oczach.

I nie tylko od krzyku. Tam, właśnie tam, gdzie tak niedawno patrzył, snując myśli o domu, teraz nie ma nic. Siadu zepsutej piłki. Srebrzystej kopuły stacji, zbudowanej przez obcych. Bazy, do której musi wrócić, jeśli kiedykolwiek w życiu ma jeszcze zobaczyć Ziemię...

— Sooola!

Cisza. Cisza, w której z sekundy na sekundę narasta coś niepojęcie groźnego, jakby cały ten i tak wystarczająco dziki, martwy świat, miał zapaść się w nicość, zginąć, pochłaniając go wraz z sobą lub też pozostawiając w postaci mikroskopijnego, skamieniałego okrucha zawieszzonego w próżni kosmosu. Zresztą czy nie wystarcza to, że w tym właśnie świecie, nawet jeśli pozostanie takim, jakim jest, znalazł się sam? Sam?! Sam?!

— Soo... — zaczął i głos uwiązł mu w krtani. Nie ma sensu wołać. Gdyby mogła lub chciała usłyszeć, odezwałaby się już dawno. Nie opuszczała go przecież ani na krok. Była z nim wszędzie... kiedy jadł, spał, nawet kiedy zaprowadziła go do tej ich... łazienki.

Wielkimi, rozpaczliwymi susami, nie patrząc pod nogi, zbiegł nad krawędź przełęczy i gorączkowo zaczął przebiegać wzrokiem zbocza skalnej rynn, która ich tu przywiodła. Nic. Pusto i cicho. Tak cicho...

Zakreśliło mu się w głowie. Przez moment szukał na oślep wokół siebie jakiegoś oparcia, choćby wystającego ze ściany głazu, wreszcie usiadł ciężko, uderzając przymocowanym do pleców pojemnikiem o skałę.

Tlen — przebiegło mu przez myśl. Nie ma bazy...

Odruchowo wciągnął głębiej w płuca powietrza, jakby chciał sprawdzić, czy nie uleciało wraz z Solą i jej bazą. Ten oddech go otrzeźwił. Przynajmniej na tyle, że mógł ponownie stanąć na nogach i jeszcze raz przeczesać wzrokiem każdy załom, każdą szczelinę, w której mogła się skryć jego towarzyska. Ale nie spodziewał się już, że ją odnajdzie. I nie pomylił się.

Usiadł znowu, tym razem powoli, mimo woli garbiąc plecy, żeby osłonić ich cenny ładunek przed jeszcze jednym uderzeniem o skałę. Spokój. Spokój. Zachować spokój. Pomyśleć. Starać się przynajmniej skupić myśli. Jeśli nawet wydaje się, że nic, absolutnie nic nie można już poradzić...

Siedział jak skamieniały, z nisko zawieszoną głową i zaciśniętymi z całej siły powiekami, jakby od tego, czy do jego oczu nie przedostanie się bodaj jeden odprysk granatowego światła, zależało teraz dosłownie wszystko. Wbrew powziętemu

postanowieniu nie myślał o niczym. W jego podświadomości ciągle jeszcze kołatała nadzieja, że wszystko, co się stało, polega na jakimś wielkim nieporozumieniu. Że to nie może być nic innego, jak tylko majaczenia przeciążonego wrażeniami mózgu. Kto wie poza tym, czy to ich powietrze, które ma w butlach, jest dokładnie takie, jakim oddychał od dziecka? Może zawiera domieszkę jakiegoś gazu, który w normalnym stężeniu nie powoduje w organizmie człowieka żadnych niepożądanych objawów, ale sprężony w pojemniku, zaczyna płać niespodzianki? Tak, to halucynacje. Majaczenia...

Bardzo powoli Jarek uniósł wreszcie głowę. Zanim spojrział, odruchowo spróbował przetrzeć sobie oczy, jak to robi człowiek, pragnący szybko otrząsnąć się ze snu. Jego palce uderzyły w szybę kasku i znieruchomiały. Halucynacje?...

Szeroko rozwarł powieki i raz jeszcze poszybował wzrokiem ku niskim wzgórzom na horyzoncie, gdzie tuż pod pasiastą tarczą Jowisza jeszcze kilka minut temu widniała regularna kopuła bazy. Nadal jednak nie było tam nic. Nie, nie ma co się dłużej łudzić.

Żadne halucynacje. Baza po prostu znikła. Nie ma jej.

Nie ma jedynego miejsca, gdzie na tym niczym księżycu, dla którego Słońce było zaledwie jedną z gwiazd, mogła znaleźć schronienie żywa istota. Był sam. Był sam, w trującej atmosferze, na wymarłym, zimnym jak lód globie, pod granatowym, rozgwieżdżonym niebem, tak samo granatowym i tak samo kryształowo czystym w dzień, jak i w nocy.

— Sola — powiedział. Właśnie: powiedział. Nie krzyczał już. Nie było to nawet wołanie, choćby najcichsze. Wiedział, że stacja zniknęła, a wraz z nią zniknęła ta, która przybrawszy wyczarowaną z jego pamięci postać ziemskiej dziewczyny, stwarzała mu jedyną szansę powrotu do jej istniejącego naprawdę pierwowzoru, do rodziców, kolegów, do zielonych lasów, błękitnych jezior i błękitnego nieba.

— Sola — szepnął po raz ostatni, tak cicho, że nie usłyszał nawet własnego głosu. Odpowiedziało milczenie.

— Nie macie dość? — spytał Jarek, przerywając nagle swoją opowieść w takim momencie, w jakim żaden przywoity człowiek nie przerywa żadnej opowieści. Ktoś mógłby pomyśleć, że zrobił to specjalnie, żeby tym bardziej podkreślić swoje małe, prywatne zwycięstwo nad Wężami. Znaleźli w nim kozła ofiarnego, wystawili go jak pies kaczkę, a teraz proszę, żadnemu z nich nie drgnie nawet palec. Siedzą i mają mu za złe, że przerwał. Koń by się uśmieł!...

Ale ktoś, komu przyszłoby na myśl, że Jarek umyślnie wykorzystuje sytuację, przerywając swoją opowieść w najciekawszym miejscu, żeby zmusić kolegów do okazania skruchy, popełniłby błąd. Przede wszystkim, jak już powiedzieliśmy, chłopcu było wprawdzie przykro, że Węże źle o nim myślą, ale w gruncie rzeczy rozumiał, że nie może mieć do nich o to pretensji. A poza tym, snując swoją historię, już po kilku minutach po prostu zapomniiał, w jakich okolicznościach rozpoczął to opowiadanie. W jego pamięci odżyły obrazy sprzed trzech dni, tak, tak, to zaledwie trzy dni temu... nie do wiary — i na nowo widział przed sobą granatowy przestwór, martwe, dzikie góry, kolorowe ekrany obcej stacji, a także twarz dziewczyny.

Uśmiechnął się. Zabawne pomyśleć, że ona siedzi teraz tutaj i słucha, co mu się „śniło”. A jej koleżanki, nie tylko trzy wiemy, ale wszystkie zazdrośnice z obozu, teraz dopiero będą miały pożywkę dla swych języczków. Proszę. Nie tylko zabrał się do szorowania jej garnków, i to od pierwszej chwili, jak tylko mignęły mu przed oczami jej wścibski nosek, kasztanowe włosy i niebieskie oczy, ale zaraz potem spotyka ją we śnie. I to jakim śnie... Sam na sam wśród gwiazd...

Nie szkodzi. Niech gadają. Mężczyzna w piętnastym roku życia, który coś niecoś

w ciągu tych lat widział i o czymś poważnie myślał, nie może przejmować się babskim gadaniem. Bo babskie gadanie to wcale nie jest to, co mówią dziewczęta. Oczywiście, może nim być, jak na przykład w wypadku tych trzech straszdeł, wtedy nad jeziorem. Ale nie musi. Natomiast z równym powodzeniem, jeśli można tak powiedzieć, zdarza się uprawiać babskie gadanie także osobnikom płci męskiej. Ba, któż może wiedzieć o tym lepiej niż oni sami. To jest po prostu taki rodzaj gadania, który niczemu nie służy i z którego nic nie wynika. Babskie gadanie. Obojętnie, jakim głosem, sopranem, altem, barytonem czy rycerskim, zdawałoby się, basem.

Ktoś wykorzystał zrobioną przez Jarka przerwę, żeby rzucić na ognisko jeszcze jedną, potężną porcję chrustu. Znowu zadymiło, po czym wysoko w górę strzelił wesoły, złoty płomień. Ciemne sylwetki wokół paleniska poruszyły się. Poruszył się i Jarek, chłonąc przyjemne ciepło bijące od ognia.

Nikt nie odpowiedział na jego pytanie. Było przecież aż nadto jasne, że żadna odpowiedź nie jest potrzebna. Mimo to chłopiec milczał. Odruchowo skierował wzrok w stronę, gdzie tuż za ogniskiem ciemniała workowata bryła Oliko–drużynowej. Ma czego chciał — przebiegło mu przez myśl. Przypomniał sobie, z jaką „wielkodusznością” przyjął drużynowy „propozycję” Węży, kiedy okazało się, że na skutek obżarstwa małego Piotrusia zapowiedziana na wieczór atrakcja, w postaci złotoustego nadleśniczego, spaliła na panewce. No i co? Siedzą jak trusie, chociaż pewnie dawno minęła północ, a wszystkie, nawet najciekawsze z dotychczasowych gawęd, kończyły się najpóźniej o dziesiątej.

— Nie macie dość? — powtórzył nieco głośniejszym głosem, niż należało.

Jedna z głów, ozdobiona zaróżowioną od ognia furażerką, poruszyła się trochę żywiej.

— Mów dalej... — zabrzmiał zachrypnięty damski głosik, od którego serce Jarka stanęło w płomieniach, całkiem jak to ognisko, na które Jacek znowu rzucił suchą, świerkową gałąź.

Ktoś zachichotał. Był to z kolei najwstrętniejszy chichot, jaki może się przytrafić istocie z kształtów podobnej do człowieka. Chłopiec westchnął. Życie nie jest sielanką. Nie ma takiej miłej chwili, której nie potrafiłaby spaskudzić czyjaś głupota. Nawet jeśli człowiek niewiele sobie z tego robi, przykro pomyśleć, że ktoś drugi, siedzący przy tym samym ognisku, niby słucha, co się do niego mówi, a w gruncie rzeczy słyszy tylko to, co może mu posłużyć do wydania z siebie takiego idiotycznego chichotu. Przecież dopiero co powiedział, jakie myśli nachodzą człowieka, kiedy patrzy z daleka na Ziemię, taką małą, maleńką, mniejszą od gwiazd na niebie. Czy naprawdę trzeba się znaleźć dopiero tam, aby do końca zrozumieć pewne sprawy? Mówił niby o dojrzałości ludzi i obcych, o różnicach, podobieństwach i tak dalej, dzielił się z nimi myślami, które nasunęła mu ona... to znaczy, ten obcy komputer. Ale przecież w gruncie rzeczy nie chodziło tylko o wojny, pogoń za pieniędzmi i sprzętami, których ktoś chce mieć więcej niż inni... Także o takie rzeczy jak choćby ten chichot. Głupstwo? Pewnie że głupstwo. Tylko że od takich głupstw zaczynają się różne historie, które potem w efekcie sprawiają, że ludziom tak trudno porozumieć się nawzajem. Nie dogadać ze sobą, a właśnie zrozumieć, jeden drugiego...

— No mów, mów... — zabrzmiał zza ognia lekko zniecierpliwiony głos Olika. Niewesołe myśli Jarka od razu pierzchły jak zające. Poprawił się na swoim kretowisku, westchnął i wrócił do przerwanej opowieści.

S. O. S.

Kamienie uciekały Jarkowi spod nóg jak żywe. Jakby miały skrzydła i zwinęły je tylko na moment, przysiadając w stromym żlebie, gdzie czekały na najłżejsze muśnięcie jego stopy, by ulecieć w przepaść. Spadając pociągały za sobą inne i tak płynął z przełęczą ten skalny potok, unosząc chłopca, który zresztą w tej chwili najmniej dbał o to, co dzieje się pod jego nogami. Szczerze mówiąc, nie dbał o nic. Biegł lub spadał, tracił równowagę, siadał, pokonując część drogi na spodniach skafandra, wstawał czepiając się rozpaczliwie skalnych poręczy żlebu i szedł dalej czy spadał dalej, nie myśląc o niczym. Szyba jego kasku zasnuła się obłoczkiem pary, chwilami przestawał widzieć, pot spływał mu na oczy i pod kołnierz, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Szedł po prostu, jakby tylko od tego, czy dojdzie na czas, zależało także i to czy w ogóle ma dokąd iść. A przecież nie miał. Przecież biegł jedynie w stronę miejsca, gdzie kiedyś była baza, z jej wszystkimi komputerami, ekranami i urządzeniami sprzyjającymi człowiekowi, z tlenem, żywnością, jakkolwiek by była i... Solą...

Wpadł z rozpędu pomiędzy skalne igły kamiennego lasu i biegł dalej aż do momentu, kiedy na jego drodze wyrósł szerszy od innych gład, którego już w żaden sposób nie udało mu się ominąć. W ostatniej chwili zamortyzował uderzenie wyrzucając przed siebie ramiona, po czym przyłgnął twarzą i klatką piersiową do chropawej skały, znieruchomiał na moment i w końcu osunął się na ziemię, padając jak źle wypchany worek.

— No tak — powiedział na głos. — No tak... powtórzył już ciszej. — A więc jestem u celu...

Mogła to być prawda. Jeżeli w ogóle miał przed sobą jakiś cel, to, tak przynajmniej można by sądzić, stanowiła go równie dobrze ta właśnie skalna maczuga, pod którą siedział, jak na przykład najwyższy szczyt na drugiej półkuli Ganimeda. Byłaby to jednak prawda najgorsza z możliwych. A taką ewentualność należy zawsze rozpatrywać na ostatku. Bo co pozostaje człowiekowi, który dojdzie do wniosku, że nie ma przed sobą żadnego celu? Siąść i płakać. Na to zawsze jest czas...

Jarek podciągnął nogi w kolanach i unosząc się na rękach przesunął odrobinę w prawo, tak, żeby skały nie zasłaniały mu sobą tego miejsca pod tarczą Jowisza, gdzie powinna być baza. I nie tylko powinna, ale i była. Niespełna pół godziny temu. Pół godziny...

Spokój... Tylko spokój... Co się właściwie mogło stać? Odlecieli? Cała stacja zamieniła się w statek kosmiczny i wystartowała? Niemożliwe. Tkwiła w skorupie globu zamurowana na amen, ba, można powiedzieć zakorzeniona, właśnie zakorzeniona, sięgającymi głęboko szybami... nie, nonsens. Człowiek stojąc przed jakąś budowlą wie, czy to, na co patrzy, może się unieść w powietrze czy nie. Nawet jeśli to coś jest zrobione przez obcych i kryje w sobie przeróżne niespodzianki... choćby wyskakujące spod podłogi talerze z gorącą papką.

Więc nie. Dobrze. Czyli co? Zapadła się pod ziemię? Tak sobie, bez żadnego wstrząsu dyskretnie i bezszmerowo, jak łódź podwodna, której kapitanowi znużył się widok nieba? Czy można tak po prostu wsiąknąć w solidną, grubą skałę? Załóżmy, że obcy potrafią i to. W takim razie jednak trzeba by sobie postawić pytanie, po co właściwie mieli to robić. Żeby się pozbyć kłopotliwego gościa? Bzdura. Wystarczyło zamknąć mu przed nosem drzwi, kiedy będzie wracał. Zresztą nie przesadzajmy. Ten „gość” nie jest znowu aż tak ważny żeby mieli bawić się w krety tylko po to, żeby zniknąć mu z oczu. A może ta potężna kopuła uniosła się nagle jak poduszkowiec,

wystawiła sto krzywych, kosmatych nówek i odmaszerowała na nich w daleki, granatowy świat?

— Tylko tak dalej... — mruknął chłopiec. — Tylko tak dalej, a zaraz zacznie widzieć białe myszki i to na długo przedtem, zanim skończy mi się tlen.

Te białe myszki, to było coś, z czym zdaniem ojca Jarka nieustannie obcował ich sąsiad, pan Kułuszka z czwartego piętra, odznaczający się charakterystycznym, niezmiennym zimą czy latem, zapachem i nie mniej charakterystycznym sposobem chodzenia, od jednej ściany do drugiej. Jarek nie bardzo wiedział, co właściwie jest z tymi myszkami, aż kiedyś, kiedy szli we troje razem z mamą i natknęli się na pana Kułuszkę, sunącego właśnie dziwnie pośpiesznym krokiem ku najbliższej latarni, ojciec nagle szturchnął mamę łokciem i wskazując chodnik za plecami nieszczęsnego biegacza zawołał scenicznym szeptem: „Popatrz, popatrz! Widzisz, jak za nim biegną?!...”

O, jedna, druga, trzecia... — palec ojca najwyraźniej nie mógł nadażyć z liczeniem biegnących za Kułuszką myszek. Toteż tata wkrótce dał za wygraną, wyprostował się, odwrócił i rzucił w przestrzeń swoje sakramentalne: „głupi jak podogonie...”.

„Głupi jak podogonie...” Ich rodzinne powiedzonko, którym powitał go komputer na pokładzie latającego jaja. Komputer chciał jak najlepiej. Aby dać dowód, że pragnie się z nim porozumieć, wybrał z pamięci chłopca pierwsze lepsze słowa, zapisane tam nieco wyraźniej niż wiele innych. Tak samo postąpił potem, wybierając twarz... a nawet całą postać, jako dodatek do swojego głosu. Chcieli jak najlepiej. Troszczyli się o niego. Obiecali odesłać go na Ziemię. Powiedzieli mu mnóstwo ciekawych rzeczy... dlaczego? Przecież nie musieli tego robić. Mogli go zostawić na polanie, porażonego i odlecieć jakby nigdy nic. Jeden ziemski chłopiec, wielkie mi rzeczy. Więc dlaczego, u licha, teraz?...

Jarek wyprostował się nagle. Chwilę mrugał oczami, jakby właśnie ocknął się z najgłębszego snu i usiłował dociec, gdzie jest i dlaczego właśnie tutaj.

Następnie zerwał się na równe nogi.

Polana! Jajowaty pojazd, który najpierw był, a potem przestał być, chociaż w rzeczywistości ani na sekundę nie opuścił placyku pomiędzy bunkrami. Pole ochronne...

Spokojnie. Pomyślmy... To był niewielki pojazd. Czy jest możliwe, aby potrafili otoczyć takim samym polem całą bazę? A dlaczegoż by nie? To tylko kwestia nieco większych urządzeń. Nawet kształt podobny...

No więc co? Czy ta stacja jest tam dalej, czy jej nie ma? Jest. Oczywiście, że jest. Bo gdyby miało jej nie być, to naprawdę pozostanie mu już tylko sięść i płakać. Do chwili, kiedy skończy się zapas tlenu... A więc postępujemy tak, jakby baza była nadal tam gdzie przedtem, tylko zasłonięta tajemniczą pokrywką, przez którą widać wszystko, co znajduje się poza nią, chociaż ona sama pozostaje niewidoczna.

Jarek przestał się wahać. Nabrał powietrza w płuca i ruszył przed siebie szybkim, równym krokiem. Do miejsca gdzie zostawił bazę, pozostało nie więcej niż półtora kilometra. Dziesięć minut marszu. Potem...

Zatrzymał się raptownie. Pole ochronne? Powiedzmy. Założmy, że ta kopuła stoi tam sobie spokojnie jak zawsze, a tylko on nie może jej zobaczyć. Ale w takim razie po co ta cała zabawa w ciuciubabkę?

Rozejrzał się bacznie po czerniejącym na wprost niego paśmie wzgórz, potem na lewo i na prawo, aż po zamykające widnokrąg szczyty. Następnie odwrócił się i przez chwilę badał okolice, które dopiero co opuścił. Na próżno jednak wysiłał wzrok. Nigdzie, jak ta przestrzeń długa i szeroka, nie udało mu się wypatrzeć śladu najmniejszej zmiany w krajobrazie.

Co wobec tego skłoniło automaty obcych, żeby schroniły się wraz z całą stacją pod

tym swoim niewidzialnym parasolem? Co mogło ich aż tak przestraszyć, że ściągnęli mu sprzed oczu ten ich „kontakt”, czyli obraz Soli, bez jednego słowa, jednego bodaj gestu ostrzeżenia? Czy to wszystko znaczy, że jednak chodzi o niego i tylko o niego? Że na przykład ci w „Centrali” nagle zmienili zdanie i postanowili przestać interesować się jego losem? Nie zrobią mu nic złego, skądże znowu... Nie tkną go palcem. Zostawią go po prostu w tej martwej pustce bez żywności i powietrza... bez szansy już nie tylko powrotu, ale i przeżycia... Kto wie? Może komputer podzielił się z nim mimo wszystko jakąś informacją „blokowaną”, tak dla nich ważną, że nie mogą dopuścić, aby przedostała się do wiadomości mieszkańców Ziemi...

Spod pasa w górę, po plecach Jarka ponownie ruszyły mrówki. Szły w zwartym szyku, szeroką ławą i wydawało się, że nie ma takiej siły, która mogłaby je powstrzymać.

Trzeba przyznać, że ich obecność była aż nadto usprawiedliwiona. Co do mnie, nie zdziwiłbym się, gdyby w ślad za mrówkami pojawiły się także inne stwory, nie wyłączając białych myszek. I zapewniam was, że nikt nie miałby wówczas prawa powiedzieć Jarkowi: „głupi jak podogonie”, jak to miało miejsce w wypadku pana Kułuszki. Chociaż i za Kułuszką te myszki biegły nie bez kozery...

Ciekawe, co ten czy ów z nas zrobiłby z tymi owadami na plecach? Bo takie mrówki mają to do siebie, że jeśli się ich w porę nie zatrzyma, mijają kark, zaczynają wchodzić na głowę, a potem jakimś sobie tylko wiadomym sposobem przenikają do jej wnętrza. I wtedy człowiek jest ugotowany. Ani ręką, ani nogą. A co najgorsze, głową. Bo kiedy są już tam, w środku, zmieniają się nagle w... a tak, tak. Nie w co innego, jak właśnie w białe myszki. Swoją drogą, trudno odgadnąć, dlaczego ludzie uwzięli się na te sympatyczne skądinąd zwierzątka i przypisują je wszystkim, u których zauważą objawy fiksum-dyrdum...

Może się to wydawać dziwne, ale Jarek zamiast ulec panice, co w tej sytuacji byłoby w pełni usprawiedliwione, odwołał się do swego rozumu. On sam, kiedy potem rozmyślał o tych chwilach, przypisywał swoją zimną krew przeciągającemu się działaniu środków, jakimi uraczyli go obcy jeszcze w czasie lotu z Ziemi. Takie tłumaczenie, trzeba przyznać, świadczy o Jarku co najmniej równie dobrze jak samo jego zachowanie w krytycznym momencie.

Tak czy owak, ruszył w dalszą drogę, kierując się wprost na zawieszoną nad niskimi wzgórzami, ogromną, pociętą na jasne i ciemne pasy tarczę Jowisza.

I tym razem jednak nie uszedł daleko. Zaledwie wynurzył się z lasu skalnych wieżyczek i wkroczył na gładką, jakby wywalcowaną płytę równiny, zaświtała mu nowa myśl. I widać znowu była to jedna z tych myśli, które wymagają spokoju i skupienia, bo nagle zaczął zwalniać, zwalniać, jakiś czas jeszcze jego nogi same wznosiły się i opadały, jak części maszyny, której silnik już wyłączono, aż wreszcie stanęły.

Powiedzmy, że baza stoi tam, gdzie stała. W takim razie znajdzie się pod nią za kilka minut. O zabłądzeniu nie ma mowy, nawet gdyby w czasie, kiedy szedł na przełęcz i z powrotem, tarcza Jowisza przesunęła się na niebie, zapamiętał kształt niewielkiego wzgórza, do którego przylegała przeciwległa część kopuły. A więc stanie u jej stóp i... właśnie. Zbyt dobrze utkwiał mu w pamięci moment, kiedy ujrzał płomień na końcu swego kija, gdy ten trafił w pole ochronne latającego jaja. Gdyby nie ten kij, nie pomogłyby zapewne nawet najwspanialsze „stymulatory” najwspanialszych istot z najwspanialszej planety. A teraz ręce Jarka są puste. O jakimkolwiek kiju nie ma co nawet marzyć. Ten glob od początku świata nie widział kawałka uczciwego drewna. Skały? Może, kto wie. Gdyby mieć na przykład młotek, jakiego używają geolodzy, pewnie w końcu dałoby się odłupać kawałek jakiejś maczugi lub gotyckiej wieży, dostatecznie długi, żeby użyć go w charakterze szpady i

dziabnąć nim w odpowiedniej chwili to ich zakichane „pole”.

Chwileczkę... skały?... Odruchowo pomacał swoje , kieszenie na piersi, po czym, nie przerywając marszu, mocował się chwilę z ich cudacznym zapęciem. Kiedy w końcu udało mu się otworzyć klapy, wsunął do kieszeni po jednym palcu i z zadowoleniem stwierdził, że są wystarczająco obszerne dla jego celów. To znaczy kieszenie, a nie palce.

Po kilku dalszych minutach znalazł się na granicy skalnego lasu, u stóp zasłanego piarżyskiem żlebu.

Stanął, następnie uklęknął i począł zgarniać do kieszeni kamienie, których tu było pełno, wybierając niezbyt duże, ale i nie za małe. Słowem takie, żeby można wziąć ich jak najwięcej, ale równocześnie żeby trafiając w niewidoczne pole ochronne, zapalały się dostatecznie jasnym płomieniem.

Jeżeli dotychczas nie przyszło mu na myśl, by zamiast bóść kijem, kiedy znajdzie się w pobliżu bazy, rzucać przed siebie kamieniami, to tylko dlatego, że... powiedzmy, że jego myśli były zajęte czym innym.

Tak czy inaczej, pomysł był dobry, a sprawa ważna. Iść w kierunku bazy mógł bowiem tylko do pewnego miejsca, tak długo, jak długo był pewny, że nie zaryje nosem w niewidzialną osłonę, czyniąc z tego nosa pochodnię. Przecież przed sobą będzie miał tylko czyste pole, granatową pustkę, nad nią wzgórze, a nad wzgórzami Jowisza. Tam gdzie należało się już spodziewać podnóża kopuły, a nie mógł wiedzieć, czy to będzie metr bliżej czy dalej, trochę bardziej na lewo czy na prawo, tam musi się zatrzymać. I co wtedy?

Ano właśnie, kamienie. Ciskając je przed siebie, aż do chwili kiedy zaczną płonąć w powietrzu, co będzie oznaczać, że trafiają już w niewidoczną przeszkodę, zbliży się bezpiecznie do samej granicy ochronnego pola, obejdzie bazę i postara się, aby ci tam, wewnątrz, zauważyli jego obecność. Może zawstydzą się i wpuszczą go do środka?

Widok dla kogoś patrzącego z boku, naturalnie gdyby ktoś taki mógł istnieć, musiał być w równym stopniu niezrozumiały, co fascynujący.

Wyobraźcie sobie wielką płaszczyznę, zalaną kryształowo czystym ni to mrokiem, ni światłem. Po jednej stronie widnokregu łagodne garby niskich wzgórz. Po przeciwnej — las stojących luzem skalnych wież, a za nim, wysoko w górze, poszarpane szczyty gór. Nad pagórkami — wielka, brudnozłota tarcza największej z planet. Nad górami — księżyc, jeden, drugi i trzeci... Wśród niepojętej liczby złotych pyłków na niezmiennie czarnogranatowym niebie, jeden nieco większy, zwracający uwagę białozłotym światłem. To nasze słońce. Jest także Ziemia, okruch niemal niewidoczny, mały, niewyobrażalnie mały punkcik, zawieszony w nieskończonej próżni wszechświata.

W tej scenerii pojawia się człowiek, mieszkaniec tej dalekiej okruszyny, mężczyzna w piętnastym roku życia. Wokół żywego ducha, żadnego śladu po obecnych lub dawnych istotach zaludniających ten nieprzytulny, obcy i martwy glob. Zupełna pustka. Chłopiec jednak idzie tak, jakby w okolicy roiło się od czyhających na niego zbirów. Wysoko unosi nogi, stąpając ostrożnie i na palcach. Nieustannie rozgląda się na lewo i na prawo, gotów w każdej sekundzie przypaść do ziemi albo przeciwnie, rzucić się w pościg za kimś, kto już, już ma się wynurzyć z granatowej nocy, tylko nie wiadomo, od strony gór, pagórków czy też na tle nieba, pośrodku równiny. Mało tego. Co chwilę przystaje, pochyla się do przodu, jakiś czas patrzy pilnie, po czym nagle sięga do piersi i rzuca w pustkę przed sobą wydobyty z kieszeni kamieniem. Wariat? Kosmiczny wariat?

Tak, widok to był co się zowie, niezwykły. Ale my wiemy, że w tym szaleństwie chłopca, kryła się metoda. Nie najgorsza, jakby się ktoś pytał.

Bo nagle któryś z kolejnych kamieni ciśniętych na oślepa nie opadł na skalną płytę i nie potoczył się jak inne, a stanął w powietrzu, zawisł, utknął w jakiejś niewidocznej masie. W następnym ułamku sekundy błysnął jak pękająca petarda, oślepił patrzącego i spłonął, bez śladu, bez jednej choćby drobin popiołu, jednego płatka sadzy.

Jarek stanął. Pomyślał chwilę po czym powtórzył eksperyment. Z takim samym wynikiem jak przed chwilą.

A więc pierwszy etap powrotu miał za sobą. Jego przypuszczenia okazały się prawdziwe. Baza ani nie zapadła się pod ziemię, ani nie wzleciała, tylko stoi, jak stała osłonięta polem ochronnym. To dobrze. Szkopuł teraz w tym, żeby się do niej dostać. Bo inaczej niewiele mu przyjdzie z jej istnienia.

Przed wszystkim warto sprawdzić, czy przypadkiem w ochronnej czapie zawieszanej nad kopułą nie ma gdzieś jakiejś luki czy przejścia. Możliwość nader nikła, ale trzeba mieć pewność.

Ruszył skręcając od razu pod kątem prostym i szedł powoli, co kilkanaście sekund próbując szczęścia kolejnym kamieniem. Trwało to dość długo. Baza nie była mała, jej obwód u podstawy musiał liczyć, lekko biorąc, te dwieście pięćdziesiąt metrów. Tylko że teraz chłopcu przestało się już śpieszyć. Ma czas. Przynajmniej tyle, na ile wystarczy mu tlenu...

Okrzyżował wreszcie całą budowlę i wrócił w to samo miejsce, z którego rozpoczął ten ostatni etap swojej wędrówki. Zatrzymał się tu ponownie, pomyślał chwilę, po czym energicznie potrząsnął głową. Widać pomogło, bo niemal natychmiast odwrócił się, omiół wzrokiem grunt za swoimi piętami, następnie usiadł ciężko na gładkiej płycie i wyciągnął przed siebie nogi na całą ich długość. Uniósł zgiętą w łokciu rękę i podsunął sobie pod oczy tabliczkę z sześcioma przyciskami. Jak to było? Ten, to lornetka... po lichu mu teraz lornetka — zachnął się w duchu. Jedzenie... brrr... Na samą myśl o pożywej papce poczuł skurcz w gardle. Zresztą choćby mu w tej chwili podsunęto wzorowo wysmażony befszyk z polędwicy, z papryką i pieczarkami, jego gardło zareagowałoby na ten skądinąd ponętny widok identycznym odruchem. Nie, stanowczo nie był głodny...

Łączność, w jakichś szczególnych okolicznościach... Aha, kiedy są zakłócenia. Tak, to może się przydać. Ale zacznijmy od najważniejszego. Ten pierwszy guzik z lewej strony to alarm. Wezwanie pomocy. SOS...

Zaledwie dotknął tabliczki i musnął gładką powierzchnię miniaturowego przycisku, uderzyło go w oczy ostre, żółte światło. Jedna z lampek, umieszczonych pod okapem kasku, nagle ożyła.

— A to co znowu? ... — burknął półgłosem Jarek, nie zdejmując palca z alarmowego guziczka.

Światelko w dalszym ciągu błyszczało równym, żółtawym ognikiem niemal tuż nad powieką jego prawego oka. Co to ma znaczyć? Że ktoś odbiera jego wezwanie? Że aparatura skafandra funkcjonuje normalnie? Nieważne. Dopóki dookoła niego nie zacznie się coś dziać i tak może tylko siedzieć i dusić ten przycisk, jakby go chciał wbić sobie w ramię.

A w otoczeniu w dalszym ciągu nie działo się nic. Baza nadal była tuż i nadal tak samo niedostępna, jakby znajdowała się na najdalszej z planet. Choćby na tym Jowiszu, który najspokojniej wisi nad Jarkiem, pokazuje mu swoją wielką, pochmurną gębę i nawet się nie uśmiechnie. Duży glob. Duży, ale niezbyt sympatyczny.

Mijały minuty. Chłopiec nie liczył tych minut, ale upłynęło ich co najmniej dziesięć. Wciąż tkwił bez ruchu, siedząc na kamiennej płycie i wciskając palec w przycisk, który miał sprowadzić pomoc. A pomoc wciąż nie przychodziła.

Wreszcie zdecydował się. Nie ma na co liczyć. Tak niczego tu nie wysiedzi.

Najwyżej nabawi się odcisków.

Wstał i odjął palec od sygnalizacyjnej tabliczki.

Przyjrzał się ze złością temu przyciskowi, który tak haniebnie zawiódł jego nadzieje. Klawisz nie odskoczył w ślad za palcem. Pozostał wduszony, jakby wiedząc, że nie wykonał jeszcze tego, co do niego należało.

— Uhm... — mruknął chłopiec. — Pewnie skoro raz się go przyciśnie, pozostaje tak, aż przyjdzie sygnał, że ktoś już podaża z pomocą. Albo wyłączy się go inaczej. Dużo mi z tego przyjdzie...

Znowu sięgnął do kieszeni na piersi, wydobyl kamyk i cisnął nim przed siebie. Pocisk podzielił los swoich poprzedników. Błysk i tylko błysk, jakby iskra przeleciała przez zerwane przewody.

Powoli, ciągle mierząc pozostałą mu jeszcze przestrzeń odległością tych błysków, Jarek zbliżył się do niewidzialnej ściany, otaczającej bazę. Wreszcie nie mógł już postąpić ani kroku dalej bez narażenia się na zetknięcie z ochronnym polem.

Zatrzymał się. Bez pośpiechu ponownie uniósł łokieć i wdusił przycisk, który uruchamiał te jakieś dodatkowe ogniwa łączności radiowej, gdy przeszkadzały w niej zakłócenia.

Tym razem jego palec sam odskoczył od guziczka, zaledwie tylko go dotknął. I to wcale nie dlatego, że poprzedni pozostał tam, gdzie był, nawet wtedy, kiedy przestał go już naciskać. Powód był całkiem gdzie indziej. Mianowicie w głowie. A ściślej mówiąc, w uszach.

Głośniczki w jego kasku zamieniły się nagle w zepsute organy, w które wpuszczono najsroższy z jowiszowych tajfunów. Przeciągłe wycie tłumiło jakieś trzaski, wybuchy, strzępy głosów, które od biedy mogły należeć do ludzi, ale krzyczących w głębokiej, metalowej studni.

— Hrrgurufiiii... wła... rrrr wła... rrr bliżennnniiiiii.

Jarek odruchowo cofnął się krok do tyłu. Hałas natychmiast przycichł, jednak niezrozumiały bełkot zmieszanych dźwięków nie stał się przez to ani odrobinę bardziej zrozumiały.

— Wrrraaiiiii... bliżeuufff... włarrsss... bli... uuuu...

Chłopiec zamknął oczy. Przecież to niemożliwe, żeby ta idiotyczna wrzawa oznaczała, że ktoś chce się z nim porozumieć, tylko coś mu w tym przeszkadza. A jeśli?...

— Co?!!! — wrzasnął ile sił w piersi.

— Bli...żej... włarrriii...hrrr... bliżeuuu... włazu... owaiirr... właz... otwarrfff...yyy...

— Bliżej?!!! — Jarek nie wierzył, żeby zrozumiałe okrucy wyrazów przebijające z piekielnego jazgotu mogły oznaczać coś więcej niż przypadkowe podobieństwo, niemniej chwycił się i tej nikłej szansy.

— Bliżej? — powtórzył. — Czego bliżej? Nie mogę bliżej!

— Właz... rrr... otwar... tyyyysss... iii...

— Właz?...

Nagle Jarek zrozumiał. Właz otwarty. Otwarty?

— Gdzie?!!! — ryknął.

— Bliżeuufffff... rrr... hrr... bliżej...

Bądź tu mądry. Bliżej była niewidzialna przegroda, czekająca tylko, aby postąpić z Jarkiem tak, jak postąpiła z rzucanymi przez niego kamieniami, a przedtem jeszcze z końcem kija. Ale dobrze. Bliżej, to bliżej.

Postąpił pół kroku do przodu. Potem jeszcze pół kroku. Głośniki zareagowały wzmożonym jazgotem.

Pole ochronne było tuż. Chłopiec zacisnął pięści i jeszcze posunął się w jego

stronę. Ćwierć kroku... ćwierć kroku... cóż za szatańskie wycie!...

— Idź wzdłużuu... hrr... czekaj... wła...rrr... hssss...

Ba, żeby tylko wiedzieć, w którym miejscu jest ten przeklęty właz! Jeżeli rzeczywiście w tym całym harmidrze jest coś więcej niż właśnie sam harmider.

Powoli, nie odrywając podeszew butów od skalnego podłoża, zaczął sunąć wzdłuż kopuły, starając się odnaleźć kształt łuku, jaki ona zataczała. Przeszedł może dwa metry, zanim ponownie rzucił kamień, żeby zmierzyć, czy zachował odpowiednią odległość od niebezpiecznej ściany. Błysnęło tak blisko, że przez następne kilkanaście sekund widział tylko migające mu pod powiekami kolorowe płatki. Kiedy przejrzał, ruszył dalej, posuwając się dokładnie w taki sam sposób jak przedtem. Jeszcze dwa metry i jeszcze dwa...

Raptem tuż przed nim ukazała się twarz Soli. Poznał ją od razu, chociaż teraz nie przypominała już w niczym ziemskiej dziewczyny, spotkanej nad jeziorem.

Ziemska dziewczyna nie mogłaby przecież mieć tylko twarzy, pozbawionej szyi i tułowia, a ponadto wykrzywionej gorzej, niż to się widuje w wesołym miasteczku, w gabinecie krzywych luster. Przy czym obraz tej twarzy pływał, jak na zepsutym telewizorze, jej broda raz stawała się monstrualnie długa i uciekała gdzieś w bok, to znowu wracała, kurczyła się, a za to nos Soli wyrastał ponad czoło i zaczynał przybierać kształt korkociągu.

— Chodź tutaj, do mnie... — zabrzmiało w głośniku, i to nie mogło już być złudzeniem.

Jarek stanął jak wryty. Iść?...

— Chodź szybko — powiedziała Sola, ukazując część lewego ramienia, równocześnie jednak tracąc prawą połowę twarzy, która przesunęła się ku górze, jak odłupany kawałek kamiennego chodnika. — Ale kieruj się prosto na mnie — przestrzegła cofając się.

W tym samym momencie, jak tylko znalazła się odrobinę dalej od Jarka czy raczej odrobinę głębiej we włazie, w którym stała, wskazując go chłopcu, jej postać zyskała znowu wygląd prawdziwej dziewczyny.

W tej sytuacji pozostało tylko skorzystać z zaproszenia. I Jarek tak właśnie zrobił. Przedtem jednak, żeby się upewnić, rzucił w dziewczynę kamieniem. Zgoda, że nie brzmi to zbyt ładnie. Ale w tym konkretnym wypadku nikt na świecie, nie wyłączając żywej Soli, nie mógłby wziąć mu tego za złe.

Kamień przeleciał przez osóbkę w białej bluzeczce, na której nie wywarło to oczywiście żadnego wrażenia, ale nie zapłonął jak tamte. A więc wejście było czyste. Żadnej niewidzialnej zasłony. Żadnego pola.

Jarek dał krok do przodu i nagle ujrzał przed sobą masywną, lekko wypukłą ścianę bazy z otwartym na oścież włazem. Spod jego nóg biegła w górę stalowa kładka. Mniej więcej w połowie jej wysokości zwrócona do niego twarzą stała Sola.

Zatrzymał się i spojrzał za siebie. Nic. Pusta, granatowa przestrzeń, granatowy ład Ganimeda i granatowe niebo. Jak wtedy kiedy po raz pierwszy trafił do sali ze szklaną ścianą.

Ponownie odwrócił się w stronę drzwi, wstąpił na pomost i idąc bez pośpiechu pod górę, rzucił bez zastanowienia:

— Chciałaś się mnie pozbyć...

W uszach zadźwięczały mu jego własne słowa dziwnie zniekształcone i wypowiedziane jakimś nieprzyjemnym, ostrym głosem. Poza tym chociaż ten ogłuszający jazgot, który pojawił się po naciśnięciu wzmacniacza łączności, pozostał z tamtej strony ochronnego pola, to jednak w słuchawkach nadal rozbrzmiewało nieco tylko przytłumione, wysokie, zawodzące wycie.

— Nie rozumiem?... — powiedziała Sola, nie przestając cofać się tyłem do

wejścia. — Chodź prędzej dodała. — Potem ci wszystko wyjaśnię...

Wyjaśni. Dobrze. Niech spróbuje...

Przyśpieszył. Poczuł jakiś dziwny szum w głowie, jakby ktoś nagle przyłożył mu do uszu dwie wielkie muszle, wyłowione z morza. W jego skroniach wznosiły się i opadały drewniane młotki. To pewnie te zniekształcenia — pomyślał leniwie. Trzeba by jej o tym powiedzieć...

Nie powiedział jednak. Odechciało mu się mówić, pytać, słuchać jej wyjaśnień... Skafander zaciążył mu nagle, jakby materiałem, z którego był uszyty, przemienił się w czysty ołów. Jego ruchy stawały się coraz wolniejsze i kosztowały go coraz więcej wysiłku. Szedł jednak, poruszał się, wykonując jak automat wszystkie czynności, które musiał wykonać, aby przebrnąć przez służę i trafić na powrót do swojej granatowej sali...

Kiedy pająkowate wysięgniki docisnęły za nim pancerną klapę włazu, Jarek odruchowo sięgnął do zapięcia bluzy, jak to robi człowiek, kiedy w upalny dzień znajdzie się wreszcie w domu i pragnie natychmiast zrzucić z siebie ubranie, zanim wskoczy pod zimny prysznic.

— Poczekaj — zawołała Sola. — Tu nie ma powietrza...

Nie ma. Pewnie, że nie ma. Przecież drzwi były cały czas otwarte. Cały czas?...

Głos dziewczyny także brzmiał tak, jakby musiała przekrzyczeć wycie wiatru w stalowych linach. Dalekie trzaski zagłuszyły na moment w słuchawkach dźwięk zepsutej syreny. Ale tylko na moment. Zaraz potem odezwała się znowu.

Uśmiechnęła się. Patrzcie, już się uśmiecha. No pewnie. Co jej tam...

— Wyłącz to — powiedziała celując palcem w jego własny rękaw. Spojrzał w wskazane miejsce i skrzywił się mimo woli. Tabliczka czekolady. Tabliczka z przyciskami, które nie przyniosły mu nic prócz rozczarowania. To nie ich zasługa, że jest tutaj znowu...

Nagle zrozumiał. Więc to dlatego?

Wolnym ruchem uniosł prawą rękę, po czym dotknął jednego i drugiego guzika, które wciąż jeszcze pozostawały wduszone, jakby nadal wzywał pomocy, a równocześnie miał kłopoty z łącznością. Jękliwe wycie ucichło jak nożem uciął. Głos Soli natychmiast odzyskał swoje normalne brzmienie. Miły, dźwięczny głos dziewczyny, która lubi się pośmiać. Tym razem jednak była poważna. Może nawet trochę za poważna, jak na obowiązki, które na siebie przyjęła. Powinna się cieszyć, że „gość” jest tutaj znowu, cały i zdrowy.

— Dostaliśmy się w strumień promieniowania — zaczęła. — Gdzieś w kosmosie musiała nastąpić eksplozja... kto wie, może całej galaktyki... w każdym razie to promieniowanie dotarło spoza granic waszego układu słonecznego — tłumaczyła. — Inaczej nasze czujniki w porę dałyby nam znać. A tak — rozłożyła ręce tym swoim ruchem, który tak mocno wrył mu się w pamięć — łączność ustała nagle, w ułamku sekundy. Oczywiście, ponieważ mój obraz był przy tobie dzięki projektorowi, który wysyła fale podobne do radiowych, musiałam ci zniknąć z oczu. Bardzo mi przykro... pewnie się... to znaczy — zrobiła króciutką pauzę pewnie było ci nieprzyjemnie...

Nieprzyjemnie, to słowo, które nie brzmi tak, żeby f nie można się z tym pogodzić. W porządku. Nieprzyjemnie.

Przyszło mu na myśl, że powinien coś powiedzieć. Że ona na to czeka.

— No, a baza? — spytał.

— Co baza?... — nie rozumiała w pierwszej chwili. — Aha, pole? To było konieczne — powiedziała z przekonaniem. — Strumień promieniowania powodował zakłócenia łączności także wewnątrz... nie wiem, czy dobrze rozumiesz?...

— Co, nie mogłaś sobie pogadać z komputerem?... — Jarek ocknął się na moment, po to tylko, by tchnąć w swój głos tyle zjadliwej ironii, że starczyłoby jej dla

tysiąca bezcielesnych istot, które pozostając pod jednym dachem z równie bezcielesnymi komputerami, cierpią z powodu braku możliwości nawiązania przyjacielskiej pogawędki.

— Jednak nie rozumiesz — stwierdziła bez gniewu Sola. — Ten strumień promieniowania... nawiasem mówiąc — wtrąciła — on dlatego jest taki silny, że gdzieś właśnie w tym rejonie jego fala czołowa zderza się z promieniowaniem biegnącym z Jowisza, w którego atmosferze też jak na złość akurat teraz miało miejsce jakieś potężne wyładowanie... otóż ten strumień powoduje niespotykane zaburzenia w łączności... praktycznie wygasza wszystkie fale. Gdybyśmy mu pozwolili przeniknąć do wnętrza bazy, zakłóciłby nie nasze rozmowy, jak mówisz, bo przecież — uśmiechnęła się znowu — nie musimy rozmawiać... ale obieg informacji pomiędzy poszczególnymi urządzeniami stacji... nie wszystkie płyną kablami.

— Informacji?... powtórzył bezwiednie Jarek. Jego chwilowe ożywienie zgasło. Szum w jego skroniach przybrał nieco na sile.

— To znaczy sygnałów, impulsów i tak dalej... podjęła dziewczyna. — Wiesz, wszystkiego, co sprawia, że w danym momencie jakiś automat robi to, co powinien. Przecież musi „wiedzieć” co i kiedy. Każdy z takich impulsów coś znaczy, a więc jest informacją... prawda?

Chłopiec już otwierał usta, aby powiedzieć, że na ogół biorąc, ziemianin w piętnastym roku życia wie już, co to jest informacja, ale w tym właśnie momencie aparatura zakończyła wymianę atmosfery wewnątrz komory śluzy. Nad wyjściem do korytarza zgasło pomarańczowe światło, a błękitne przestało migotać i zapłonęło równym, matowym blaskiem. Zaraz potem drzwi drgnęły i zaczęły się otwierać, sunąc posłusznie za stalowymi mackami.

Jarek przypomniał sobie scenę sprzed... ile właściwie czasu to wszystko trwało? Mniejsza z tym. Czas nie ma tutaj znaczenia. W każdym razie posłusznie ustawił się plecami do pustego miejsca w rzędzie wiszących pod ścianą skafandrów i nie drgnął nawet, kiedy automat obłupił go z białawej powłoki. Tylko kiedy było już po wszystkim, odwrócił się nagle i sięgnął dłonią do wciąż jeszcze otwartej kieszeni na piersi swojego dyndającego już pod sufitem skafandra. Coś z niej wydobył i szybkim, dyskretnym ruchem przeniósł to coś do tylnej kieszeni dzinsów. Zaciągnął starannie zamek błyskawiczny, po czym dopiero zwrócił się do Soli.

— Chodź już — powiedziała nagłym tonem. Mamy kłopoty...

To ostatnie znowu zabrzmiało odrobinę zbyt poważnie jak na jego gust.

— Kłopoty? — bąknął — Jakie kłopoty?...

— Później... — Sola przekroczyła już próg, swoim zwyczajem przenikając połową ciała przez pancerną płytę.

Znowu jechali windą, która wyniosła ich na poziom granatowej sali i znowu szli potem korytarzem w stronę przeciwną do tej sali, aż minęli półokrągłą salkę, pomost i znaleźli się wewnątrz jajowatego pojazdu.

Tam Jarek jeszcze raz znalazł się w różowawej kabinie, gdzie, jak było do przewidzenia, natychmiast kazano mu zająć miejsce na płaskiej leżance. A następnie ponownie umieszczono mu głowę w wydrążonej dyni, która wychyłała zza wezłowania, gdzie, na ludzki rozum biorąc, nie powinna się zmieścić nawet tenisowa piłeczka.

Tym razem jednak nie spędził tu więcej niż pięć minut. Poczuł, że baniasty hełm odsuwa się znad jego głowy, i usłyszał głos Soli w którym brzmiała jakby ulga:

— Wstawaj — rzuciła niemal wesoło. — Nic ci nie jest...

Nic mu nie jest. Nic, to nic. Tylko ten szum w głowie...

— Pewnie, że nic mi nie jest... — burknął ponuro.

— Teraz i my to wiemy — odparła. — Mimo wszystko wchłonąłeś jednak potężną

dawkę promieniowania. Tam jest wszystko, co kto chce... — zaakcentowała to „tam”, jakby specjalnie podkreślając wyśmienite warunki panujące „tutaj”. — To znaczy w tym strumieniu... — dodała. — Protony, zjonizowane jądra atomów metali cząstki promieniowania twardego... mniejsza z tym...

— Mniejsza z tym... — powtórzył jak echo chłopiec.

Uśmiechnęła się.

— W każdym razie — powiedziała — ta dawka, jaką przyjąłeś, jest jeszcze nieszkodliwa. Nic ci nie grozi. Muszę ci powiedzieć, że byliśmy trochę niespokojni...

Proszę. „Trochę” niespokojni. Aż tyle?

— No to jakie macie jeszcze kłopoty? — spytał leniwie, gramoląc się z leżanki. — Coś się zepsuło?...

Sola spoważniała natychmiast.

— Człowiek, który leci tutaj z... — Jarek odniósł wrażenie, że niewiele brakowało, a padłaby wreszcie nazwa tego gwiazdozbioru, układu słonecznego, czy może nawet planety, z której pochodzą obcy.. Nie padła jednak.

— ...z Centrali — dokończyła Sola — znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. W tej chwili wszystkie sekcje naszej aparatury pracują, żeby przywrócić łączność między jego statkiem a nami. Ale jak dotąd, bez rezultatu... wiesz, on znalazł się w tym samym strumieniu, który zdmuchnął mnie wtedy z przelęczy...

— Zdmuchnął?... — chłopiec poczuł nagle, że dzieje się z nim coś dziwnego. Kto właściwie jest w niebezpieczeństwie? Obcy? Jaki obcy?...

Zatoczył się. Przeszło mu jeszcze przez myśl, że nie ma mowy o żadnym niebezpieczeństwie, skoro dotarł wreszcie tutaj, pod kopułę bazy, skoro zbadali go i orzekli, że nic mu nie jest, no i wreszcie, jeżeli jest przy nim ona...

Ściana, której usiłował się przytrzymać, uciekła nagle w górę, natomiast podłoga ruszyła w kierunku jego głowy, szybko, zbyt szybko, żeby można spróbować jakoś temu zaradzić... zresztą, po co właściwie?... położy się tylko na chwilę...

Zatoczył się jeszcze raz i grzmotnął na ziemię jak długi. Sola przyglądała się temu spokojnie. Odczekała chwilę, zanim jednym krótkim gestem wy wabiła zza wezłowia leżanki wiadomy przedmiot, pękaty i podobny do dyni, po czym przypatrywała się już bez ruchu, jak to coś pełźnie w stronę głowy Jarka, rozwijając za sobą cieniutkie, różnobarwne przewody. Nie musiała czekać na orzeczenie aparatury diagnostycznej. Wiedziała, że chłopiec po prostu i najzwyczajniej w świecie zemdłał. Miał do tego niezaprzeczalne prawo. I to właśnie teraz, kiedy było już po wszystkim. Kiedy po wysiłku fizycznym i tym... jak to było?... aha, „nieprzyjemnym uczuciu”, poczuł się wreszcie bezpieczny. To znaczy tylko teraz. Wcześniej nie mógł sobie na to pozwolić. A później? No cóż, później, przynajmniej sami, nie miałyby to już doprawdy żadnego sensu...

Gdzieś w kosmosie...

— Właz był cały czas otwarty — powtórzyła Sola, opierając się o ścianę. Tym razem udało jej się pozostać plecami na jej powierzchni.

Jarek nie odpowiedział. Przeżuł ostatni kęs gorącej papki i utkwiał wzrok w talerzu, żeby nie przeoczyć momentu, kiedy niewidzialne dłonie sprzątną go ze stołu. Nie czekał długo. Ruch jednak był szybki jak myśl. Talerz po prostu zniknął, przez ułamek sekundy zaledwie pozostawiając w powietrzu jakby nikłą smugę dymu, taką jaką kreśli się za samochodami, które na naszym rysunku mają pędzić z największą szybkością.

Chłopiec westchnął, poprawił się w fotelu i unióśł głowę.

Czuł się już dobrze. Mięśnie jego nóg przechowały wprawdzie pamięć tych kilku czy kilkunastu kilometrów drogi, przede wszystkim, co zrozumiałe, drogi powrotnej z gór, ale on sam zapomniał już, że kiedyś, na moment, stracił przytomność. A może aparatura medyczna stacji wykorzystała sytuację, że znowu znalazł się pod jej opieką i zaaplikowała mu świeżą porcję tych jakichś „stymulatorów”?

Nieważne. Dość że czuł się dobrze i wcale nie zamierzał przyjmować tego, co mu powiedzą z uległością człowieka, który zgodzi się ze wszystkimi, byle tylko mieć spokój.

— Obszedłem całą bazę dookoła — burknął ponuro. — Nie jestem ślepy...

Sola pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć że na upór nie ma lekarstwa.

— Właz był otwarty — oświadczyła z naciskiem. — Nie wolno zamykać bazy, kiedy ktoś jest na zewnątrz. Takie są przepisy i automaty nie mogły postąpić inaczej, nawet gdyby ktoś im dał polecenie. Mają blokadę...

Aha — przemknęło Jarkowi przez myśl. Blokadę. Dawno już nie padło tutaj to słówko...

Dziewczyna milczała chwilę, jakby odbiegła myślami gdzieś bardzo daleko. Wreszcie wykonała nieokreślony ruch głową i powiedziała cicho:

— Ludzie nie mają blokady... On właśnie zapomniał o tym przepisie... a teraz... — nie dokończyła.

— Kto? — podchwycił Jarek. — O czym ty mówisz?...

Czy komputer może popaść w najzwyczajniejsze, ludzkie zamyślenie? Raczej chyba nie. A jeśli już, to w każdym razie na bardzo krótko.

— Właz był otwarty — Sola powtórzyła szybko raz jeszcze, po czym mówiła dalej, już swoim normalnym głosem:

— Nie widziałeś go, bo ściany pola zachodzą tam na siebie, tak że trzeba obejść narożnik jednej, a potem tam stać do śmierci. I to dosłownie, bo tlen, jaki to znaczy, nasi...

— Ale ja nie wiedziałem — mruknął Jarek. — Mogłem tam stać do śmierci. I to dosłownie, bo tlen, jaki miałem w butlach, prędzej czy później musiał się przecież skończyć...

— Miałeś zapas tlenu na dwadzieścia cztery godziny — odparła jego zarzut dziewczyna. — Do tego czasu ten strumień promieniowania kosmicznego z pewnością byłby już daleko poza waszym układem. Wtedy wyszłabym po ciebie, nawet gdybyś nie stał pod bazą, tylko czekał dalej na tej przełęczy... nawiasem mówiąc, myślałam, że tak właśnie zrobisz. Tak byłoby bezpieczniej...

Bezpieczniej! Może i bezpieczniej. Z całą pewnością natomiast, mądrzej. Pod warunkiem, że o tym by się wiedziało...

Powiedział jej to.

— Zachowałeś się bardzo dzielnie — odrzekła natychmiast.
— Dobrze, dobrze... — mruknął z udanym lekceważeniem.
Zaśmiała się krótko, po czym natychmiast jej twarz wróciła do swojego poważnego, zbyt poważnego jak na nią, wyrazu.
— Niestety, to nie zawsze pomaga... — szepnęła zagadkowo, znowu jakby do siebie. Zagryzła wargi, po czym utkwiała wzrok w jakimś jednym punkcie ganimedzkiego krajobrazu za szybą i powiedziała smutnym głosem:
— Od kiedy wyszliśmy z bazy, minęło sześć godzin... dzień powoli się kończy. Za dwie godziny miał być tutaj...
Jarek uniósł się w fotelu. Zaczęło mu świtać, o czym ona mówi.
— Co się stało? — spytał. — Ten ktoś z... Centrali?...
Skinęła głową.
— Popełnił błąd — szepnęła. — Jeden jedyny błąd... w sytuacji, kiedy nie spodziewał się żadnego niebezpieczeństwa. Ale człowiekowi w przestrzeni nie wolno ulegać złudzeniu bezpieczeństwa... nie wiem, co będzie... — zakończyła, już tak cicho, że chłopiec nie był pewien, czy dobrze zrozumiał te jej ostatnie słowa.

Statek kosmiczny mknie z gwiazdy szybciej niż światło i szybciej niż czas. Co, że z tym czasem to niemożliwe? Chwileczkę. Po pierwsze — chodzi o to, co my między sobą nazywamy czasem, czym zwykliśmy mierzyć nasze codzienne życie, części roku, miesiące i doby, a także odległości z kraju do kraju i miasta do miasta, w zależności od tego, czy podróżuje się statkiem, pociągiem czy samolotem. Po drugie — wyobraźcie sobie tylko, jeśli potraficie, że ta przestrzeń, którą widzimy przed sobą i za sobą, i wszędzie dookoła a więc i nasza droga w tej przestrzeni, ta droga, którą biegną także promienie światła na przykład z jednej gwiazdy do drugiej, otóż że ta przestrzeń wcale nie jest prosta, jak to nam się zdaje, tylko... zakrzywiona.

Że tworzy, na przykład, coś w rodzaju wielkiego, bezwymiarowego łuku. Zrozumieć można to tylko wtedy, kiedy rozmawia się językiem nieskończenie wielkich liczb i nieskończenie skomplikowanych wzorów matematycznych...

— Dlaczego? — nie wytrzymał w tym miejscu Jarek. — Przecież to dziecinnie proste...

Jego miażdżąca ironia i tym razem jednak trafiła w próżnię.

— Przecież nie chcę, żebyś to wszystko rozumiał — powiedziała Sola swoim dźwięcznym, przyciszonym głosem, który wsiąkał w ściany granatowej sali nie powodując najmniejszego echa. — Proponuję tylko dodała z naciskiem — żebyś to sobie spróbował wyobrazić...

— Próbuję... — burknął.

Przez jej twarz przebiegł nikły uśmiezek.

— Kiedyś to ci się przyda — oświadczyła obiecującym tonem. — Bo tę „zakrzywioną przestrzeń” wymyślił już także na Ziemi jeden z waszych największych uczonych. Nazywał się Albert Einstein. A jeśli chodzi o rozumienie, to właśnie on powiedział kiedyś, że jak dotąd, urodził się tylko jeden człowiek, któremu chwilami wydaje się, że wie, o co chodzi z tą zakrzywioną przestrzenią. Oczywiście, miał na myśli siebie samego... Więc naprawdę nie musisz starać się zrozumieć...

Dobrze, że to powiedziała. Inaczej gwiazda Einsteina zaczęłaby zapewne bardzo szybko błędnąć...

— Mimo że tak sądził — podjęła po chwili dziewczyna — znaleźli się tacy, którzy zrozumieli, o czym myślał, a nawet dorzucili do jego teorii własne spostrzeżenia. Ale nie przerywaj — upomniała Jarka tym samym łagodnym tonem. — Przecież nie mówię o matematyce i teoriach naukowych w ogóle, tylko o tym jednym, konkretnym statku, który teraz zbliża się ku nam z szybkością większą niż czas...

Spróbujcie więc sobie wyobrazić, że ten statek porusza się nie w tej zakrzywionej łukowato przestrzeni, jaką widzimy przed sobą, ale po cięciwie łuku, jaki ona tworzy. Każdy łuk ma przecież cięciwę, inaczej nie sposób byłoby wypuścić z niego strzały do słomianej tarczy, a jeszcze lepiej do wstrętnej bladej twarzy, należącej, na przykład, do... zresztą, każdy z nas zna jakąś jedną przynajmniej „bladą twarz” i nie chcę Wam niczego narzucać. Ale dość o tym.

Droga, którą widzimy przed sobą, jest zatem drogą, jaką biegną promienie światła. I to jest ta sama droga, na której zwykliśmy liczyć czas. To niesłychanie zawikłane sprawy, ale przecież w kosmosie trudno mówić wyłącznie o pietruszce. No więc statki obcych, bo oni potrafili już konstruować takie statki, poruszały się nie drogą promieni światła, drogą naszego wzroku i naszego czasu, ale po cięciwie tej drogi, na skrót. Było to możliwe, powtarzam, bo przecież ta droga naprawdę zatacza łuk, całkiem podobny do tych, jakie widuje się na westernach. A jeśli nawet nie tak całkiem podobny, to w każdym razie łuk i tyle.

Obcy leciał z tej swojej „Centrali” w kierunku Ganimeda, na pokładzie takiego właśnie statku. Dlatego drogę, która ziemskiej rakiecie musiała zabrać około stu lat, mógł pokonać w trzy doby. Leciał więc, i jak na prędkość, z którą się poruszał, mógł o sobie powiedzieć, że jest już blisko. W kopulastej bazie, czy może obok niej, jako że jej pole startowe było zajęte przez przybyłe z Ziemi jajo, miał lądować dokładnie za trzy godziny.

Wtedy jego pojazd spotkał na swojej drodze jakieś drobnutkie, bujające w galaktycznej próżni ciało. Mógł to być mały meteoroid, mikroskopijny okruch dawno rozprysniętego globu, który zapędził się aż tutaj. Oczywiście automaty nie dopuściły do zderzenia, rozbijając po prostu w pył tę drobinę, która odważyła się stanąć na drodze potężnego kosmolotu. Tylko że część tego pyłu osiadła na pancerzu statku. I człowiek... powiedzmy, że człowiek, bo jak go nazwać, który podróżował w kabinie tego kosmolotu i któremu czujniki doniosły o obecności na pancerzu szczypty obcego popiołu, postanowił przyjrzeć mu się z bliska. Chciał poddać go analizie chemicznej, spróbować odgadnąć, skąd przybył, może nawet czym był kiedyś, meteoroidem, kawałeczkiem planety, czy jeszcze czymś innym. Oczywiście, mógł wysłać na zewnątrz automat, żeby odwalił tę robotę za niego. Ale siedział już w kabinie blisko trzy doby, lot przebiegał gładko, kolorowe wskaźniki na ekranach i pulpicie sterowniczym pokazywały niezmiennie, że wszystko jest w porządku i że statkowi znikąd nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo...

Krótko mówiąc, włożył skafander, przeszedł do śluzy, gdzie automaty sprawdziły jego ubiór wraz z należącymi do niego urządzeniami, po czym otworzyły przed nim właz, a tym samym nieskończoną przestrzeń wszechświata. Wyszedł na zewnątrz, stanął na pancerzu statku... i wtedy właśnie popełnił ów jeden jedyny błąd, jedno jedyne przeoczenie... Mianowicie, zatrzasnął za sobą klapę włazu. Zrobił to dlatego, że ten obcy popiół pozostały po spaleniu przez miotacze statku ciała, które pojawiło się w próżni, osiadł na pancerzu tuż obok wejścia i stercząca ku górze kłapa po prostu przeszkadzała mu w manewrowaniu aparaturą. Oczywiście komputer statku, utrzymujący nieprzerwaną łączność zarówno z Centralą, z której kosmolot wystartował, jak i z bazą na Ganimedzie, przekazał w jedną i drugą stronę szczegółowe informacje, o wszystkim, co zrobił przebywający na pokładzie człowiek. Tylko tak się złożyło, że informacja o zatrzaśnięciu przez tego człowieka włazu, z chwilą kiedy znalazł się na zewnątrz statku, była już ostatnią. Zaraz potem łączność urwała się, jak nożem uciął. I aż do teraz, pomimo nieustannie podejmowanych przez komputery obu końcowych stacji wysiłków, nie udało się jej odzyskać.

W normalnych warunkach wyjście ze statku, a nawet zamknięcie za sobą włazu, nie groziło żadnymi przykrymi konsekwencjami. Ale jakie właściwie warunki można

w kosmosie uważać za normalne? Groźba pojawia się szybciej niż myśl, dosłownie szybciej, bo umysł człowieka nie zdoła nawet uprzytomnić sobie, że coś się dzieje, kiedy jest już po wszystkim. I tak samo szybko przemija. Albo i nie. Dlatego w uprzedzeniu wypadków, w manewrowaniu statkiem lecącym z szybkością większą od światła, w sterowaniu miotaczami, które usuwają z jego drogi przeszkody, wyręczają człowieka szybsze niż jego myśl automaty.

W momencie kiedy podążający na spotkanie z Jarkiem przedstawiciel obcej cywilizacji zatrzasnął właz i odwrócił się, by przystąpić do badań, jego statek i on sam wpadł w czołową falę promieniowania kosmicznego, tę właśnie która kilka sekund później miała zdmuchnąć z przełęczy na Ganimedzie obraz Soli. A automaty pokładowe kosmolotu zareagowały dokładnie tak samo, jak podobne im twory zainstalowane w bazie. To znaczy w ułamku sekundy otoczyły statek polem ochronnym. I na tym właśnie polegał popełniony przez obcego kosmonautę błąd. Automaty nie mogłyby bowiem uruchomić urządzeń wytwarzających to pole, gdyby właz pozostał otwarty. Uchylona kłapa stanowiłaby dla nich sygnał, zawierający informację, że człowiek jest na zewnątrz statku. Po prostu działałaby wtedy automatyczna blokada bezpieczeństwa. A tak, obcy pilot sam, zamykając za sobą drzwi, wyłączył tę blokadę. Pole zaskoczyło, odcinając go od kabiny kosmolotu.

Zetknięcie z samym polem nie było dla obcego niebezpieczne. Jego skafander skutecznie ochronił człowieka przed losem, jaki spotkał rzucone przez Jarka kamienie. Nie tylko zresztą ten jeden skafander. Prawda wygląda tak, że te kamienie wcale nie były chłopcu potrzebne. Mógł najspokojniej w świecie zbliżyć się do bazy i uderzyć kaskiem w pole ochronne. W skafandrze, jaki miał na sobie, nie groziło mu to żadnym porażeniem. Co najwyżej odbiły się od jego pola jak piłka. Bo przedostać się na drugą stronę tak czy inaczej nie mógł. Dlatego, być może, komputer bazy zachował względny spokój przez cały czas, kiedy Jarek walczył o swoją szansę powrotu. Tak, tylko że chłopiec o tym nie wiedział. Dla niego dotknięcie pola oznaczało śmierć. I w tej sytuacji słowa Soli „zachowałeś się dzielnie” trzeba uznać za w pełni uzasadnione. Kto wie, może nawet za skromne...

Otóż przedostać się przez to pole, otaczające tam nie bazę, a jego własny statek, nie mógł także obcy kosmonauta. Skafander ochronił go przed spalaniem, ale równocześnie odrzucił od pancerza daleko w czarną noc próżni. Mógł wprawdzie, posługując się pistolecikiem gazowym, tak żeby wykorzystać siłę jego odrzutu, wrócić z powrotem w pobliże statku, ale to było już wszystko. Aby dostać się do włazu i otworzyć go z zewnątrz, musiałby przedtem polecić automatom, by wyłączyły pole. A nie mógł im przekazać żadnego polecenia, ponieważ, dokładnie tak, jak to miało miejsce niewiele później na Ganimedzie, strumień promieniowania kosmicznego przerwał wszelką łączność radiową.

Tak więc gdzieś w przestrzeni, niezbyt już daleko jak na odległości między gwiazdami, znajdował się teraz nie jeden, ale dwa statki, które podążały z szybkością większą od światła w kierunku bazy na trzecim księżycu największej planety naszego układu słonecznego. Jednym z nich był potężny kosmolot, szczelnie zamknięty i otoczony polem ochronnym. Drugim maleńka przy tamtym kolosie figurka w cienkiej stosunkowo powłoce skafandra, bezwolnie przebierająca w próżni nogami i rękami, równie jak statek odcięta od głosów swoich bliskich i w ogóle wszystkich możliwych nadajników w całym kosmosie. Za dwie godziny obydwa pojazdy osiągną górne warstwy atmosfery Ganimeda. Statkowi to nie zaszkodzi. Jego urządzenia automatycznie zredukują szybkość lotu. Gruby pancerz co najwyżej zaczerwieni się lekko od żaru, powstałego na skutek tarcia o jego powłokę cząstek gazu atmosferycznego, po czym wszystko odbędzie się tak jakby za sterami w kabine nawigacyjnej siedział żywy kosmonauta. Albo i lepiej. Rakieta przyhamuje wytraci

pęd, odwróci się, stając na swoim ogniowym ogonie, następnie wyląduje łagodnie, jak zawsze. A człowiek? Człowiek nie ma żadnej, najmniejszej szansy. Skafander nie jest obliczony na samodzielne podróżowanie w przestrzeni kosmicznej. Nie przyhamuje przed atmosferą. Wpadnie w nią z szybkością promieni słonecznych, albo i większą, i w milionowej części sekundy stanie w płomieniach, by w następnym momencie rozpaść się w nicłość. Jeszcze dwie godziny. Jeśli w tym czasie ten strumień promieniowania nie znajdzie się już daleko stąd, nikt i nic nie będzie w stanie zmienić losu obcego kosmonauty.

Tak właśnie wyglądało w tej chwili położenie istoty z „Centrali”, która wybrała się w podróż, aby powitać w bazie, zbudowanej daleko od swojego własnego słońca, przybysza z Ziemi.

— Cholera — wyrwało się Jarkowi, kiedy Sola skończyła. Początkowo denerwował go jej smutny, zbyt łagodny ton i przeszkadzał mu słuchać. W pewnej chwili miał nawet zamiar przerwać jej monolog, kiedy ten zaczął się już stawać zanadto podobny do wykładu Pana Kowalika. Potem jednak zapomniał wszystkim poza tym jednym statkiem pędzącym teraz ku nim przez międzygwiazdną przestrzeń i wyrzuconym poza jego burtę człowiekiem. Więc nie ma żadnej rady? Nic nie można zrobić? Nawet z tymi ich wszystkimi automatami, komputerami, przystawkami i licho wie czym jeszcze?!

— Cholera — powtórzył, zacierając nerwowo dłonie. — Więc on... wymyśl coś! — zawołał gorączkowo. Zerwał się z fotela. — Przecież nie możecie go tak zostawić! Żywy... — zawahał się, ale tylko przez moment — człowiek! — dokończył. — A może... — otworzył usta, potrzymał je chwilę otwarte, po czym zamknął je powoli z powrotem. Może co, właściwie?...

W sali zapanowała cisza. Dobrą chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu, aż wreszcie chłopiec odwrócił się gwałtownie i podszedł do przeźroczystej ściany. Oparł się czołem o jej gładką, zimną powierzchnię i wznosił oczy ku górze.

Czarnogranatowy świat. Czarnogranatowe niebo.

To niebo tylko tutaj tak wygląda, ten granat jest tym samym, czym na Ziemi błękit. Po prostu słońce świeci zbyt daleko stąd. Ale tam, gdzie pędzi teraz przez próżnię zawieszony w niej pozornie bez ruchu obcy, tam jest tylko czerń. Jedynie obecność atmosfery wokół globu pozwala słońcu czynić niebo Ziemi błękitnym, a niebo Ganimeda — granatowym. Naprawdę niebo jest czarne. Czarne i tylko czarne, chociaż złoci się całe od nadmiaru gwiazd.

Więc nie ma dla niego ratunku? Będzie tak leciał, leciał, aż wreszcie oni, stojąc przed tą szybą, ujrzą gdzieś nad horyzontem płomienistą nitkę. Na Ziemi ludzie powiedzieliby tylko: „popatrz, spadła gwiazda...”. Co najwyżej pomyśleliby sobie szybko jakieś życzenie, żeby ta gwiazda pomogła mu się spełnić. Nawet jeśli w to nikt nie wierzy. Ale kiedy oni tutaj ujrzą za dwie godziny tę jedyną w swoim rodzaju „spadającą gwiazdę”, na wszelkie życzenia będzie za późno... Przecież nie możemy tak czekać! — pomyślał z rozpaczą. Coś trzeba zrobić...

— Czemu po niego nie polecicie?! — zawołał nagle odwracając się jak na sprężynie. — Przecież macie ten pojazd, którym latacie na Ziemię! Jeśli nie może wrócić do swojego własnego statku, to przecież możecie go zabrać innym!... Zróbcie coś wreszcie... czemu nic nie mówisz?! — krzyknął z pasją.

— Żywy człowiek — zabrzmiał z niewidocznych głośników czysty głos. Znowu komputer wołał ubiec swoją wysłanniczkę”.

— Żywy człowiek — powtórzyła ze smutkiem Sola. — To jego jedyna szansa...

Jarek na moment zamknął oczy. Co to znaczy „żywy człowiek”? — zakołatało mu

pod czaszką. Drugi żywy człowiek, zamiast niego, czy jak?... Co, u licha, sobie wyobrażają...

— Nie ma o czym mówić — odezwała się dziewczyna. — Człowiek, tak, ale tutaj... to znaczy, stąd. Z Centrali nie zdążyłby żaden statek. Oni już o tym myśleli... zrobili obliczenia...

Spojrzał na nią z nagle rozbudzoną nieufnością. Czy nie chcą mu zrobić jakiegoś nowego kawału? Mówi tak, jakby próbowała wziąć kogoś pod włos. A prócz niego nie ma tu nikogo, na kim mogłaby próbować takich sztuczek. Tylko... co to ona przed chwilą powiedziała? „Jedyna szansa”... Jak to? Więc jednak jest jakaś szansa?...

— Co miało znaczyć to „żywy człowiek”? — spytał jakimś nieswoim głosem. — Mówże, u licha... musiał urwać, żeby zaczerpnąć powietrza.

— Żywy człowiek — dobiegło ponownie ze wszystkich kierunków naraz. Beznamiętny, niski głos. Niski, a przecież nie sposób powiedzieć, że należy do normalnego, przeciętnego mężczyzny. Żywego...

— Powiesz wreszcie, o co chodzi?! — wrzasnął, mimo woli zaciskając pięści.

To ją przekonało. A przynajmniej pozwoliło jej wykrztusić coś, co najprawdopodobniej wolałaby zostawić dla siebie.

— Może lecieć tylko żywy człowiek... — powiedziała niemal szeptem. — Ktoś, kto będzie wydawał polecenia automatom sterowniczym bezpośrednio z kabiny statku. Kto potrafi samodzielnie myśleć w obliczu wszystkich możliwych zdarzeń. Trzeba go znaleźć tam, w przestrzeni. A potem zabrać na pokład. To wymaga wielu manewrów. Tymczasem zdalne sterowanie stąd, jak to robimy zawsze, tym razem odpada. Łączność... nie ma jak utrzymywać łączności między bazą a statkiem... rozumiesz?...

Czy zrozumiał? Niewiele tu było do rozumienia. Niewiele, a zarazem wszystko.

Jarek przełknął ślinę i odchrząknął, zanim mógł wymówić następne zdanie, które jednakże musiało zostać powiedziane.

— Co ten żywy człowiek... miałby tam do roboty? To znaczy, co musiałby umieć, żeby... to się udało?...

Sola milczała. Mijały sekundy, niemal równie ciężkie jak wtedy, kiedy nagle zniknęła mu z oczu, tam, w sercu dzikich, ganimedzkich gór.

— No... — nie wytrzymał chłopiec.

— Bezpośredni kontakt — znowu głos komputera. To znaczy, Sola sama także była tylko obrazem ilustrującym głos komputera, ale... czy nie „wyspecjalizowała” się już trochę za bardzo w swojej roli przewodniczki i opiekunki gościa z Ziemi?...

— Tak — zgodziła się Sola jakby z wahaniem. Dziwna sprawa. Jarek odniósł nagle wrażenie, że komputer domaga się od swojej „dziewczyny” czegoś, na co ta nie bardzo ma ochotę się zgodzić. Jakby naprawdę nie byli jednym i tym samym. Zabawne. To znaczy mogłoby być zabawne, gdyby nie okoliczności... a także nie to, czego chce ten komputer. Bo Jarek już się domyślał...

— Tak — powtórzyła Sola. Potrzebny byłby bezpośredni kontakt pilota... żywego pilota — podkreśliła z automatami sterowniczymi. Sam pilot nie miałby wiele do roboty, poza wydawaniem poleceń... na przykład: zatrzymać się... przyśpieszyć... skrócić w prawo... i tak dalej. O to ci, zdaje się, chodziło?... — zakończyła z wyraźną ulgą.

Czy o to? Powiedzmy. W każdym razie teraz wie, na czym stoi. A raczej, na czym leci...

Jarek wyprostował się jak struna.

— Lecę — oznajmił twardo. — Przygotujcie mi statek... — urwał.

Kości zostały rzucone. Sam nie bardzo wiedział, jak do tego doszło. Chyba było tak, że ta decyzja dojrzała w nim już od jakiegoś czasu... od pierwszej chwili,

kiedy zaczął się orientować, o co tamtym naprawdę chodzi... On był tą jedyną szansą obcego kosmonauty. Ich „człowieka”. Dla uratowania człowieka można poświęcić bardzo wiele. Można zaryzykować życie drugiego człowieka. Ale co zrobić w sytuacji, kiedy ten drugi człowiek jest, jakby tu powiedzieć... no, w każdym razie niezupełnie tym, co od dziecka zwykło się nazywać człowiekiem właśnie?

Jeśli Jarek naprawdę był jedyną szansą uratowania przybysza z ich „Centrali”, wahanie automatów, ich niepewność, czy mogą go wciągnąć do ryzykownej walki o jego uratowanie, powinny chłopcu powiedzieć więcej, niż wszystkie dotychczasowe opiekuńcze zabiegi, jakim był poddawany. To już naprawdę coś więcej niż te „stymulatory”, to „zjedz coś”, „prześpij się”, czy nawet „proszę, rozporządzaj bazą...”. Tylko że chłopiec w tej chwili nie myślał o tym tak właśnie. Prawdę mówiąc, nie myślał o niczym. Za chwilę znajdzie się w kabinie kosmolotu i będzie go prowadził... w każdym razie tak, jakby prowadził... bo chociaż ten kosmolot wywiezie go z bazy i zapewne przywiezie do niej z powrotem, ale uratować obcego może tylko on sam, Jarek Koliński, jeśli stanie na wysokości zadania. Jeżeli w odpowiedniej chwili potrafi wydać właściwe polecenie... kiedy? Jak ono powinno brzmieć? Jak lecieć, żeby trafić? Szansa przypadkowego spotkania w kosmosie dwóch statków jest tak mała że praktycznie nie ma jej w ogóle. Musi wiedzieć, dokąd lecieć, kiedy się zatrzymać... przecież nie ma łączności...

Nie, Jarek nie myślał o tym, że w sytuacji, jaka się wytworzyła, „obcy” pokazali mu się z jak najlepszej strony. Teraz chodzi o to, żeby on sam pokazał im, co potrafi. Jeśli uda mu się uratować przybysza z gwiazd... nie, nie, zostawmy to na później.

— Polecisz ze mną? — spytał, kierując się w stronę korytarza.

Sola pokręciła przecząco głową.

— Nie — powiedziała przepaszającym tonem, jakby czuła się winna wobec tego chłopca, którego wysyłała w międzygwiazdną pustkę, w dodatku samego jak palec. — Wiesz przecież — ciągnęła idąc dwa kroki za nim — gdyby to było możliwe, poleciałyby same automaty. Mój obraz zniknie ci z oczu, jak tylko przekroczymy granicę ochronnego pola. Łączność... Nie będziesz miał żadnej łączności, dopóki jesteśmy w zasięgu tego promieniowania...

Wiedział o tym. Pytał tylko dlatego, żeby coś powiedzieć. No i usłyszeć jej głos. Słyszeć go, jak długo się da...

Kiedy automaty zatrzasnęły za nimi właz jajowatego pojazdu, Jarek przyjął ten odgłos jak stuk pieczęci, spadającej na oddany w okienku ważny list, o którym do ostatniej chwili, już po jego napisaniu, nie wiadomo było co właściwie sądzić. To znaczy czy należy go wysłać, czy raczej natychmiast podrzeć i strzępki rozrzucić na cztery wiatry. Teraz klamka zapadła. List poszedł w świat. To znaczy nie list, a Jarek. I nie w świat, a tam właśnie, gdzie go nie ma...

Maleńka kabina windy wywiozła ich na wyższy poziom jaja. Tutaj chłopiec nie zajrzał w czasie swojej podróży z Ziemi. Zresztą nie tylko tutaj. Z pomieszczeń statku, który pojawił się wtedy przed nim jak biała zjawia, znał jedną jedyną kabinę z jedną jedyną leżanką.

Przeszli kilka kroków ciasnym korytarzykiem i znaleźli się w niskiej, półokrągłej wnęcie, wypełnionej najróżniejszymi sprzętami. Jedyne, co było tutaj znajome, to kształty dwóch stojących tuż obok siebie ni to foteli, ni łóżek, z zadartymi w górę, wysokimi oparciami. Przed nimi ciągnęła się wklęsła, owalna ściana, przechodząca w sufit, zawieszony nie wyżej niż pięćdziesiąt centymetrów nad miejscem, w którym spoczywały głowy siedzących w fotelach kosmonautów. Jarkowi przypomniało się, co mu powiedział komputer zaraz na początku ich „rozmowy”. A mianowicie że statek jest „bezzałogowy”. Jeśli tak, to skąd te fotele?

— Czasem latają nimi ludzie — odezwała się Sola za jego plecami. Nie poczekała nawet, aż powtórzy swoje pytanie na głos. Musiało im się naprawdę śpieszyć. I nic dziwnego...

— Zero minus jeden, zero, zero, jeden, jeden... przemówiły głośniki. Chłopiec wyprostował się odruchowo i wyrzwał głową w obramowanie drzwi, obite na szczęście jakimś miękkim materiałem. Mimo to jednak pociemniało mu w oczach.

— Uważaj — przestrzegła Sola.

Proszę — pomyślał Jarek. Okazuje się, że i komputer chętnie udziela dobrych rad, kiedy jest już po wszystkim...

— Zero minus jeden, zero, zero, jeden...

— Siadaj — powiedziała dziewczyna, wskazując prawy z foteli. — Za jedenaście minut start...

Przynajmniej tyle... — przebiegło chłopcu przez myśl, kiedy przepychał się z trudem przez płataninę przewodów, lawirując niezdarnie wśród pulpików, przekaźników i dziesiątek dziwacznych urządzeń, wypełniających szczelnie szczupłą przestrzeń kabiny. W końcu wpadł raczej w upatrzony fotel, aniżeli w nim usiadł, i wtedy dopiero zapytał:

— Dlaczego akurat jedenaście?

— Potem będzie za późno — wyjaśniła Sola. — Nie zdążyłbyś dolecieć, zanim tamci nie dotkną górnych warstw atmosfery. A musisz ich przecież jeszcze odnaleźć i zabrać na pokład. Manewr potrwa kilka minut... a oni w ułamku sekundy robią tysiące kilometrów...

— Zero minus jeden, jeden, zero... — uzupełnił po swoim głosu komputera.

— Czy on tak musi? — burknął Jarek. — I tak nic z tego nie wiem...

— Odlicza czas pozostały do startu. Mogę wyłączyć głośniki, jeżeli ci to przeszkadza...

Nie odpowiedział. Poczuł nagle, że dzieje się z nim coś dziwnego. Jakby jakaś niezbyt szeroka łapa, która wysunęła się z poduszki fotela, uniosła go w górę i pozostała tak zawieszona w powietrzu, razem ze swoim bagażem. Równocześnie tam, gdzie przed chwilą jeszcze były jego stopy, ukazały się koniuszki butów... potem nogawki...

— Skafander? — mruknął. — Po co mi tu skafander?

Jego ręce, prowadzone przez delikatne, ale mocne uchwyty wślizgiwały się już w rękawy bluzy.

— Leci się zawsze w skafandrze — odpowiedziała Sola. — Dostaniesz tylko inny kask...

Rzeczywiście. To, co ukazało się za chwilę nad fotelem, w niczym nie przypominało lekkiego nakrycia, jakie spoczywało na głowie chłopca w czasie pamiętnej wyprawy w góry. Prędzej już można było porównać to coś do owej dyniastej konstrukcji, która zastępowała obcym lekarza.

— To jest kask przekaźnikowy — wyjaśniła Sola, kiedy szeroka, elastyczna kryza oparła się już na jego karku. — Polecenia będziesz przekazywał wyłącznie myślą...

A to co znowu...

— Jak to myślą?... — zaprotestował Jarek. Nie wiedział, na czym to ma polegać, ale instynktownie wzdragał się wobec perspektywy tak dalece posuniętego myślowego „zbratania” z maszyną. To, że ona sama szpera w jego pamięci, to już wyłącznie ich sprawa. On nie weźmie w tym udziału...

— Będę po prostu mówił... — orzekł, zagłębiając się z powrotem w miękkiej poduszce, ponieważ łapa, która go podtrzymywała, wróciła na swoje miejsce wewnątrz fotela.

— Nie — rzuciła stanowczo. Nie możemy ryzykować przekłamań w łączności —

wyjaśniła. — Przecież wiesz, jak silne są zakłócenia w tym strumieniu promieniowania. Nawet gdybyś trzymał mikrofon tuż przy wargach, nie mógłbyś mieć pewności, czy komputer „usłyszy” dokładnie to, co chciałeś powiedzieć. Twoje głośniki będą jednak działać normalnie... rozumiesz?

Chłopiec nie odpowiedział. Przymknął na moment oczy i wyobraził sobie, że jest na Ziemi, nad jeziorem. Upał, cisza, a on leży na piasku wyciągnięty na wznak i myśli leniwie, że nie byłoby źle, gdyby teraz jakaś dobra wróżka przeniosła go cudownym sposobem od razu do wody. Żeby nie musiał wstawać, iść tych kilka kroków... taki żar płynie z nieba... Aż tu nagle chlup...

Otworzył oczy i otrząsnął się odruchowo.

— A więc zapamiętaj dobrze, żebyś się nie pomylił — Sola uznała, że nie ma co dłużej czekać na odpowiedź. Ty musisz tylko pomyśleć rozkaz — powtórzyła. — Komputer natomiast będzie ci przekazywał informacje normalnym głosem, to znaczy takim, jakim się tutaj z tobą kontaktujemy. Ale wykona tylko to, co pomyślisz. I wszystko, co pomyślisz... rozumiesz?

Rozumiesz i rozumiesz... Tak jakby nie wystarczyło przyjąć po prostu do wiadomości.

Skinął głową. Wielka kopała, w której ta głowa tkwiła, opisała w powietrzu łagodny łuk. Chłopiec poczuł, że poruszyły się także przymocowane do kasku przewody. Tymi przewodami popłyną do komputera jego myśli... wszystko, co tylko przyjdzie mu na myśl. I ten komputer, co gorsza, potraktuje to poważnie... każdy najdrobniejszy najbardziej ulotny strzępek myśli...

— A teraz uważaj — Sola mówiła coraz szybciej, jakby właśnie odebrała niesłyszalny dla Jarka sygnał, że z tych jedenastu minut pozostało już bardzo niewiele. — Wytoczyliśmy kierunek, w którym polecisz, tak żeby nie rozminąć się ze statkiem... i z człowiekiem... Dokonaliśmy bardzo precyzyjnych obliczeń, na podstawie ostatniego meldunku, jaki stamtąd dotarł. O to, czy nie zabłądzisz, możesz się więc nie martwić. Ale musiały zajść zmiany w szybkości lotu, których my tutaj nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Dlatego między innymi nie możemy powierzyć zadania automatom. Wiemy, na jakiej linii nastąpi spotkanie, ale nie wiemy na jakiej wysokości. Będziesz leciał dokładnie dwadzieścia cztery minuty od chwili startu. Potem dasz komputerowi rozkaz, żeby zastopował statek... to znaczy pomyślisz ten rozkaz, prawda?... — Tak — odpowiedziała sama sobie. — Więc będziesz leciał prosto, tak jak poprowadzi cię automatyczny pilot, te dwadzieścia cztery minuty. Potem zastopujesz i wtedy zacznie się twoja prawdziwa rola. Będziesz sygnalizował światłem... on to powinien zauważyć, kiedy znajdzie się w pobliżu. Chodzi oczywiście o światło lasera... masz zainstalowany wielokierunkowy reflektor laserowy. Jeśli będzie przytomny, powinien ci dać znać, że przyjął sygnały. Ma taki maleńki pistolecik... zobaczysz błysk. Ale może nie być przytomny. Więc musisz się rozglądać. Musisz wyteżać oczy, jak jeszcze nigdy w życiu... nie możemy cię naprowadzić dokładnie na ten sam tor, którym lecą tamci, bo przecież moglibyście się zderzyć. Zresztą, praktycznie zawsze istnieje pewna tolerancja... margines błędu... W każdym razie twoja głowa w tym, żeby go dostrzec. A potem rozkażesz komputerowi podprowadzić statek, zbliżyć się do niego, otworzyć właz i... dalej już musisz działać tak, jak ci nakáže sytuacja. Jeżeli człowiek w przestrzeni będzie przytomny, sam wejdzie na pokład. Jeżeli nie... cóż, będziesz manewrować tak, żeby podejść pod niego otwartym włazem i złapać go tak, jak się podbiera ryby... taką płaską siecią. I zaraz potem wrócicie. Powinnam cię jeszcze uprzedzić, że nie możemy ci dać stuprocentowej gwarancji, czy mimo wszystko nie dojdzie do zderzenia, a także czy w centrum tego strumienia promieniowania komputer jednak nie odmówi ci posłuszeństwa. Wtedy... ale niepotrzebnie to mówię... polecisz i tak, prawda?...

Skoro niepotrzebnie, to po co mówisz? — chciał odburknąć Jarek, ale nie mógł wydobyć głosu. Zresztą ona i tym razem nie czekała na odpowiedź.

— Uważaj — powtórzyła nagle zmienionym tonem — za chwilę start. Jeszcze pięćdziesiąt sekund... czterdzieści...

Jarek odruchowo zapał się w fotelu. A więc zaczynam myśleć — powiedział sobie w duchu. Ostatecznie, tylko myśleć to chyba nawet łatwiej niż ruszać w dodatku gębą. Przecież człowiek i tak mówi to, co przedtem pomyślał...

Niczego więcej nie zdążył już sobie powiedzieć.

Półokrągła ściana nad jego głową w ułamku sekundy stała się przezroczysta jak świeżo umyta szyba. Ujrzał nad sobą niezmierny, czarnogranatowy przestwór i mrowie gwiazd... Kiedy próbował opuścić głowę i poszukać wzrokiem zamykających horyzont gór, nie było już żadnego horyzontu. Na powrót wzniosł wzrok wyżej i stwierdził, że granat otoczenia ustąpił miejsca czystej, głębokiej czerni.

— Lecimy już? — spytał bezwiednie.

Cisza. Spojrzał przez ramię, odwracając głowę tak daleko, jak tylko pozwoliły na to przytwierdzone do hełmu przewody, ale nie spostrzegł Soli. Nie zauważył nawet, kiedy porwał ją ten niweczący łączność strumień promieniowania, dokładnie jak wtedy, na przełęcz. Był sam...

Ocalony...

— To wszystko nieprawda — powiedział sobie w duchu Jarek. — Siedzę w namiocie, a raczej nie siedzę, tylko leżę i przez sen słyszę, jak Wojtek chrapie. Dlatego te moje sny są takie koszmarnie. Zaraz się zbudzę i będę musiał wyjść, żeby poluzować linkę. Spuszczę mu na głowę płachtę. Wtedy przestanie...

No pięknie. Ale dlaczego, jeśli tak dobrze wie, że to tylko sen i w dodatku umie sobie wytłumaczyć, czemu ten sen jest właśnie taki, dlaczego w takim razie nie może się obudzić?...

— Chciałbym — w burknął, — żeby mnie ktoś mocno uszczypnął w siedzenie...

Głośniczki zaświergotały.

— Słuchamy? — dobiegł cichy, obojętny głos. Nie zrozumieliśmy polecenia.

Proszę powtórzyć.

Całe szczęście — przebiegło Jarkowi przez myśl. Tylko tego brakowało, żeby zostać poszczypanym przez komputer.

— Nic, nic — powiedział prędko. — Lecimy dalej...

— Nie rozumiemy — upierał się głośnik. — Proszę powtórzyć.

Jarkowi ciarki przebiegły po skórze. Myśli! Jego myśli. Jak łatwo zapomnieć...

Zamknął oczy, żeby tym lepiej skupić uwagę na tym, co powinien pomyśleć.

— Nie-wy-da-wa-łem-żad-ne-go-po-le-ce-nia... — powiedział w duchu, wkładając cały wysiłek woli w to, żeby do tego zdania nie przyplątała się bez jego wiedzy jakaś inna myśl. Normalnie nic nie znaczy, co człowiekowi strzeli akurat do głowy, jeśli tylko nie ma zamiaru wprowadzić tego w czyn, czy choćby powiedzieć na głos. O czym to się na przykład nie zdąży pomyśleć przez te kilka sekund, kiedy na ulicy zwykła dziewczyna najzwyczajniej w świecie zapyta, która godzina. A teraz spróbujcie sobie wyobrazić, że wszystkie te niejasne, nie dokończone, ulotne jak pasemka dymu myślatka, nie tylko słysząc w koło, jakby się krzyczało przez tubę, ale w dodatku, że każda z nich natychmiast ma zostać spełniona, obrócić się w namacalną, twardą rzeczywistość. Okropność...

— Czy-lot-prze-bie-ga-zgod-nie-z-pla-nem?... — udało się pomyśleć Jarkowi. W dalszym ciągu zaciskał z całej siły powieki. Wiadomo, że to, na co człowiek patrzy, od razu wywołuje w jego mózgu najrozmaitsze, nieraz jakże cudaczne na pozór skojarzenia. Choćby tym czymś była międzygwiazdna próżnia...

— Lot wytyczonym korytarzem bez zakłóceń — padło natychmiast w odpowiedzi. Szybkość zgodnie z planem. Wszystkie urządzenia funkcjonują normalnie...

— Dobrze — powiedział na głos Jarek, mimo woli oddychając z ulgą.

— Prosimy? — zareagował niezwłocznie komputer.

— Nie zrozumieliśmy?...

— Do-brze... — wykrztusił w myśli chłopiec, jeśli ktoś może sobie wyobrazić, co to znaczy wykrztusić coś w myśli...

— Tak. Dobrze. Przyjeliśmy — w głośnikach zadrgała jakby nutka zadowolenia...

Jarek skrzywił się odruchowo. Czy on ma zamiar tak przez cały czas?... Ale, u licha, musi przecież słuchać. Zacisnął odrobinę mocniej pięści i pomyślał:

— Prze-stań-mó-wić-o-so-bie-w-licz-bie-mno-giej ...

Głośniczki pomilczały chwilę, po czym odezwały się, jakby z przymusem:

— Przyjeliśmy polecenie...

— Co?! — warknął chłopiec.

— Zrozumiałem — skapitulował komputer.

Jarek odetchnął. Coś przynajmniej udało mu się załatwić tym „myśleniem”.

Otworzył oczy. Czarno. Czerń, nie dająca się porównać z niczym spotykanym na Ziemi... sadza... smoła... nie, to wszystko nie to. Tutaj była równocześnie nieskończona głębia i w tej głębi, w czarnej głębi, tkwiły miliony białawożłoty gwiazd. Spojrzał i ogarnął go lęk, że cała jego wyprawa jest czystym szaleństwem.

Że odszukanie wielkiego miasta, gdyby takie jakimś cudem mogło istnieć w tej bezkresnej przestrzeni, równałoby się trafieniu miliona w toto-lotka. Co dopiero małego statku... i jeszcze mniejszego człowieczka w skafandrze...

Szukaj igły w stogu siana — przebiegło chłopcu przez myśl.

— Proszę objaśnić pojęcie „siano” — zażądał w tej samej chwili komputer. — I podać dokładne parametry igły...

— Cicho bądź — burknął nieuprzejmie Jarek.

— Nie zrozumiałem?...

— Od — czep — się... — pomyślał chłopiec.

Tym razem odpowiedź nie przyszła od razu. Widać komputer potrzebował kilku chwil na zastanowienie.

— Nie mogę — oświadczył wreszcie, jakby z odrobiną żalu w głosie. — Jestem integralną częścią statku.

Czy mam... — zrobił pauzę, jakby się zawahał — odłączyć którąś z przystawek? ... — zaproponował wreszcie usłużnie.

Jarkowi dreszcz przebiegł po krzyżach.

— Ani się waż! — krzyknął. — Niczego-nie-wy-łą-czaj — pomyślał z wysiłkiem. — Po-daj-czas zażądał, żeby siebie samego i tę czytającą w jego myślach maszynę zająć wreszcie czymś sensownym.

— Trzyście minut czterdzieści dwie sekundy od startu... czterdzieści trzy sekundy... czterdzieści cztery...

— Do-syć! — zgromił go w duchu Jarek. Głośnik zdążył powiedzieć „czte...” i umilkł.

— Uważaj — chłopiec ponownie zacisnął powieki, żeby nic mu nie przeszkadzało myśleć. — Kiedy będzie dwadzieścia minut, zaczniesz podawać mi dokładny czas, co trzydzieści sekund. Zrozumiałeś?

— Polecenie przyjęło — padło natychmiast.

Wtedy pozostaną już tylko cztery minuty lotu. Cztery minuty. Niby śmiechu warte. W ogóle te dwadzieścia cztery minuty drogi przy tej przestrzeni... aż śmieszne. Tylko że każda z tych minut ma teraz, tutaj całkiem inny ciężar, niż kiedykolwiek. I jeśli się pomyśli, że każda oznacza setki tysięcy kilometrów...

Coraz dalej od domu — pomyślał Jarek, mimo woli rozrzewniając się nad sobą. Coraz dalej... jeśli w ogóle słowo „daleko” cokolwiek tu mówi...

— Proszę określić położenie domu — poprosiły głośniki. — Czy chodzi o Węgę? W takim razie musiałbym zmienić kurs... nie oddalamy się w tej chwili...

Węgę! — błysnęło Jarkowi. Sola mówiła, że ich „Centralę” widać z ziemi w gwiazdozbiornie Lutni.

A Wega jest przecież najjaśniejszą gwiazdą w tej właśnie konstelacji. W ogóle jedną z najjaśniejszych gwiazd nieba północnego. Czyżby komputer się wygadał?...

— ...Tak. Wygadałem się... — przyznały potulnie głośniczki. — Informacja blokowana. Przekażę to Centrali...

— A przekaz sobie! — zawołał Jarek z mimowolnym tryumfem. — Więc jesteście z Wegi! I aż tu musiałem przylecieć, żeby z was to wydusić!...

— Proszę określić parametry domu — powtórzył zimno komputer.

— Nie trzeba — krzyknął prawie chłopiec. — Nie-trze-ba — wyrecytował w myśli, przywołując całą przytomność umysłu, aby przepłoszyć cisnące mu się pod czaszkę obrazy. Wega...

Mówili o niej z ojcem. Jest w tej jasnej gwiazdzie coś szczególnie ciekawego, o czym Jarek powinien wiedzieć... zaraz... nie, nie pamięta. A może... tak, chyba tak. To jest gwiazda podwójna. To znaczy, że naprawdę widać z Ziemi nie jedną, ale dwie gwiazdy, tylko zawieszono bardzo blisko siebie. A poza tym... no cóż, poza tym muszą tam być planety. Obcy nie wyglądają na to, że mieszkają w słonecznym ogniu.

Gwiazda to jeszcze nie wszystko... trzeba by wiedzieć, ile tam jest tych planet?... Przecież nasze słońce ma ich niezbyt wiele, raptem coś dziesięć... a ludzie nie wyściubili dotąd nosa poza Marsa i Wenus. Spytać komputer? Nie ma' po co. Nie powie. Nie powiedziała by i o Wedze, gdyby Jarek przypadkiem nie pomyślał o domu... oto jak nawet komputer może pałać gafę...

— Nie powiem — potwierdziły głośniki.

Jarek zacisnął zęby. — Nie myśleć — powiedział na głos. — Nie myśleć — powtórzył. Co, u licha. Ludzie zwykle mają kłopoty, kiedy przychodzi im poruszyć głowę, a tu okazuje się, że jeszcze trudniej jest nie myśleć właśnie... a w każdym razie nie myśleć nic, ale to nic takiego, czego nie chciałoby się powiedzieć...

— Dwadzieścia minut — głos komputera zabrzmiał pół tonu wyżej. Jarek bezwiednie wyprężył się w fotelu. Teraz sygnalizacja świetlna — przypomniał sobie.

— Dwadzieścia minut trzydzieści sekund...

— Co z tą sygnalizacją?... — zirytował się.

— Nie zrozumiałem... dwadzieścia jeden minut...

— Zacz-nij-syg-na-li-zo-wać — wysylabizował w myśli chłopiec. Uf...

— Uruchamiam sygnalizację laserową — powtórzył natychmiast komputer. —

Dwadzieścia jeden minut trzydzieści sekund...

Jeszcze nie skończył, kiedy przestrzeń przed panoramiczną szybą kabiny przeszyły najcieńsze, jakie tylko można sobie wyobrazić, szpady światła. Takie nitki, płonące ostrym, białym ogniem i biegnące ku kresom widzialności, w czerń kosmosu...

Błysnęły i natychmiast zaczęły zmieniać położenie, najpierw powoli, potem coraz szybciej. W końcu statek, wiozący chłopca, przemienił się w gigantyczny ruchomy reflektor, wirujący z niesłychaną szybkością. Powstał nieobjęty wzrokiem ani myślą świetlny młyniec, w którego centrum siedział oszołomiony przybysz z Ziemi, wyteżając do bólu oczy, aby nie przegapić tego ułamka sekundy, kiedy jedna z pędzących w nieskończoność płomienistych nitek dotknie zawieszonoego w próżni kosmonauty...

— Dwadzieścia dwie minuty...

Jeszcze czas — pomyślał Jarek. Jeszcze mnóstwo czasu. Za wcześnie zacząłem...

Całe świetlne widowisko wokół niego raptownie zgasło. W pierwszej chwili nie połapał się, co właściwie zaszło.

— Co się stało?! — krzyknął.

— Nie rozumiem — zabrzmiała spokojna odpowiedź. — Wyłączyłem sygnalizację zgodnie z poleceniem...

Pomyślałem „za wcześnie” — z rozpaczą zdał sobie sprawę Jarek.

— Włącz-na-tych-miast-świa-tło!!! — znowu musiał zamknąć oczy, żeby to pomyśleć.

Promienisty młyniec wokół statku natychmiast podjął swój przerwany taniec.

— Dwadzieścia dwie minuty trzydzieści sekund...

A jeśli się pomylili? Jeśli obcy wraz ze swoim statkiem przemknął już obok nich i teraz płonie nie mniej jasno niż te laserowe igły, tam w dole, czy raczej w tyle, bo przecież odległość od Ganimeda dawno już przestała być tym, co można nazwać wysokością?...

— Dwadzieścia trzy minuty...

Jeszcze minuta. Minuta to tylko sześćdziesiąt sekund. W tej chwili już mniej. I

jeszcze mniej...

— Dwadzieścia trzy minuty trzydzieści sekund...

Jarek z całej siły zacisnął pięści. Gdyby mógł, zacisnąłby tak samo zęby na swojej własnej dłoni. Żeby nie wyrwać się z czymś teraz. Cholerna sprawa. Miał ryzykować życiem... chodziło o możliwość zderzenia, o wchłonięcie śmiertelnej dawki promieniowania, o ewentualność, że automaty odmówią posłuszeństwa... Tymczasem jedyne, z czym naprawdę ma kłopot, to jego własny mózg... niemożliwe, żeby jeszcze nie upłynęło tych trzydzieści sekund... w dodatku musi patrzeć... teraz musi tylko patrzeć...

— Dwadzieścia cztery minuty...

Już.

— S-t-o-p-!!! — wykrzyczał w myśli.

— Zrozumiałem. Stopuję... — odpowiedziały słuchawki i Jarkowi wydało się, że z serca spadł mu ogromny, ciężki kamień.

— Spokojnie... — ostrzegł sam siebie na głos. To dopiero początek...

— Dwadzieścia cztery minuty trzydzieści sekund...

— Nie trze... — krzyknął i natychmiast poprawił się, myśląc: — Nie-trze-ba...

— Przestać podawać czas? — upewniał się komputer.

— Tak. Czy możesz obserwować drogę naszych laserowych sygnałów? — spytał.

— Nie rozumiem?...

Nie rozumie. Pewnie, że nie rozumie. Inaczej on sam nie byłby tutaj potrzebny. Gdyby komputerowi „zadano” w programie prowadzenie obserwacji wokół statku... to znaczy gdyby to było możliwe...

Kątem oka pochwycił krótki, trwający ułamki sekund błysk tuż przy lewej krawędzi panoramicznej szyby.

Złudzenie — pomyślał.

— Złudzenie? — powtórzył komputer. — Nie mogę wykonać...

Jarek otworzył usta, ale nic nie odpowiedział. I nic także nie pomyślał. Bo błysk powtórzył się, dokładnie w tym samym miejscu co przedtem.

Niczego nie widziałem — przemknęło mu przez myśl. Nie było żadnego błysku... Polecę dalej, nikogo nie spotkam i wrócę...

— Zrozumiałem — odpowiedź była natychmiastowa. — Lecimy dalej.

— Stój! — krzyknął chłopiec. Zaszło mu w gardle.

Odchrząknął i to go otrzeźwiło. Błyski powtarzały się teraz regularnie, tylko miejsce, gdzie coś odbijało promienie lasera, przesuwało się szybko w dół. Za moment zniknie z pola widzenia...

— Stój — pomyślał z rozpaczą.

— Zrozumiałem...

— Nic nie mów... — Jarek ponownie zwinął dłonie w pięści. Musiał teraz myśleć szybko. I tym razem już naprawdę bez żadnych zawijasów.

— Z miejsca, gdzie siedzę — tłumaczył komputerowi, najlepiej jak potrafił — widzę po lewej stronie błysk... tuż przy krawędzi szyby... zrób tak, żeby ten błysk znalazł się pośrodku, dokładnie na wprost mojej głowy...

— Zmieniam kurs — odpowiedział posłuszenie komputer. — Musisz mnie naprowadzać.

— Jeszcze w prawo... — teraz zrób tak, żeby moja głowa patrzyła bardziej w dół... — komenderowały myśli Jarka — ciągle w prawo... dobrze... i jeszcze w dół... już nie zniżaj... troszeczkę w prawo... uważaj... stój! — krzyknął na głos. — Stój — równocześnie przebiegło mu przez myśl.

— Stopuję...

— Nie stopuj — pomyślał chłopiec. — Teraz leć prosto... to znaczy leć dokładnie

w kierunku, jaki... no, leć tam, gdzie patrzę — wybrnął wreszcie.

— Przyspieszam — poinformował komputer. Proszę określić szybkość...

— Szybciej... jeszcze szybciej... trochę w lewo... w dół! W dół!!! — pomyślał gorączkowo, bo migocący w świetle lasera obiekt zaczął szybko uciekać za dolną krawędź szyby.

Statek zmienił nieznacznie położenie i przyspieszył. Jeszcze kilka sekund... i nagle Jarek zobaczył.

Przed nimi, teraz dokładnie na przedłużeniu linii jego nosa, wisiało pozornie nieruchome wielkie cygaro. Odległości nie sposób było ocenić, ale na podstawie rozmiarów statku chłopiec mógł stwierdzić, że był bardzo blisko. Właściwie widoczne były tylko kontury kosmolotu, zakrywające sobą kolejne skupiska gwiazd. No i może odrobinę jakby bardziej gęsta czerni, wypełniająca te kontury. Ale przede wszystkim jednak to, że pomiędzy nimi nie było gwiazd.

Niemal równocześnie chłopiec pochwycił drugi błysk, tuż obok czarnego kadłuba. Był znacznie słabszy.

— Trzymaj tak dalej — zawołał, czując, że jego serce zamieniło się w ognisko, z którego promieniuje gorąco sięgające aż do czubka głowy. „Trzymaj tak dalej...”. Gdzie on słyszał te słowa? A może czytał je w jakiejś książce? Tak mówią piloci ustalając kurs.

To się zgadza. Jakim teraz językiem miał niby mówić, jeśli nie językiem pilotów? I to nie byle oblatywaczy szybowców, ale kosmonautów. Nieważne, czy człowiek pilotuje statek rękami czy głową... Głupstwo. Przecież nawet jeśli ręce trzymają stery, i tak pilotuje się głową... Jestem pilotem — pomyślał.

— Jesteś pilotem — powtórzył jak echo komputer. — Zrozumiałem.

— Niczego nie rozumiałeś — warknął Jarek, wyrwany nagle z błogiego, choć trwającego ułamki sekund zapamiętania. — Pilnuj kursu! — pomyślał ze złością.

Duże i małe „lustro”, odbijające w przestrzeni wiązki promieni, rozdzieliły się i oddaliły od siebie. Duże zniknęło już z pola obserwacji i chłopiec był z tego zadowolony. Wolał nie mieć w pobliżu potężnego krążownika próżni, kiedy będzie musiał przystąpić do manewrów przed przyjęciem obcego na pokład.

Mniejsze zwierciadło natomiast rosło w oczach. Świetlny refleks, jaki uderzył w przezroczystą ścianę kabiny, zmienił się nieco. Do białego błysku dołączył jakby ogon, podobny do warkocza, czy raczej warkoczyka jakiejś minikometry. Był żółtawy i urywał się postrzępionym jęczyzkiem... To już nie mogło być tylko odbicie laserowych reflektorów. Człowiek wyrzucony poza burtę własnego kosmolotu żył, był przytomny i zaświadczał to przy pomocy swojego pistoleciku, o którym mówiła Sola...

— Przyhamuj! — rzucił gorączkowo Jarek. — Cholera — burknął, po czym wyteżając wszystkie rezerwy silnej woli powtórzył w myśli:

— Przyhamuj...

— Zrozumiałem.

— Otwórz właz...

— Zrozumiałem.

— Zastopuj.

— Zrozumiałem. Stopuję — powtórzył komputer.

— A teraz odwróć się otwartym włazem w tę stronę, w którą dotąd patrzyłem... tam gdzie jeszcze patrzę w tej chwili — pomyślał Jarek, starając się myśleć coraz szybciej, bo figurka człowieka... no, obcego, w skafandrze, była już bardzo blisko...

Upłynęło kilkanaście sekund, podczas których nic się nie działo. Jarek milczał i wyteżał wszystkie siły, żeby jego myśli milczały również.

Światelko zniknęło z pola widzenia. To nasunęło chłopcu pewną wątpliwość.

Dotychczas widział obcego. Teraz musi mieć jeszcze pewność, że tamten trafi do włazu. I że wejdzie do śluzy.

— Czy właz jest oświetlony? — spytał...

— Nie.

— Możesz zapalić... to znaczy — przypomniał sobie, że przecież w całym jego latającym jaju nie ma żadnych lamp — zrób tak, żeby tam było jasno...

— Aktywizuję ściany... — odpowiedziały głośniczki. — Zrozumiałem...

Aktywizuje. Dobrze, niech aktywizuje, byle było jasno.

— Jest jasno — odpowiedział komputer, jakby lekko urażonym tonem.

Jarek zbagatelizował to drobne nieporozumienie.

— Uważaj — pomyślał, stwierdzając, że powoli nabiera wprawy w tym myśleniu. Gdyby tak jeszcze, na przykład, tydzień...

— Po wykonaniu zadania powrót do bazy — zastrzegł się szybko komputer.

Nie, tydzień by jednak nie wystarczył.

— Uważaj — powtórzył w myśli chłopiec. — Za chwilę ktoś wejdzie na pokład.

Kiedy tylko znajdzie się wewnątrz statku, zamkniesz za nim właz i natychmiast mnie o tym zawiadomisz...

— Zrozumiałem. Zamykam właz... — odpowiedział błyskawicznie komputer.

— Nie teraz! — Jarek powstrzymał się w ostatniej chwili, żeby nie wrzasnąć. — Dopiero jak człowiek w skafandrze znajdzie się wewnątrz statku!...

— Tak jest. Przyjąłem. Zamykam właz — powtórzył z uporem głos komputera.

I Jarek wreszcie zrozumiał. Na moment, dwa, zamarł w bezruchu, po czym zaczerpnął głęboko powietrza i długo wypuszczał go z piersi, jakby w obawie, by nagły wydech nie rozsadził mu krtani. Potrzebował tego oddechu. Może bardziej niż kiedykolwiek.

Dobrą chwilę we wnętrzu statku panowało zupełne milczenie. Wreszcie, wbrew wszystkim swoim dotychczasowym zwyczajom, pierwszy przerwał go głos komputera.

— Dziękuję... — powiedziały poważnym tonem głośniczki.

Jarek zmarszczył brwi i próbował dojść, o co komputerowi chodzi. Czyżby sam od siebie poczuł potrzebę wyrażenia wdzięczności człowiekowi, który tu, na rubieży własnego systemu słonecznego, uratował życie przybyszowi z gwiazd... przedstawicielowi rasy, która zbudowała między innymi i jego, czyli komputer numer zero jeden zero... i tak dalej?

I raptem, po raz nie wiadomo który w ciągu tych dwóch dni, spłynęło na niego nagle jak błyskawica olśnienie. Dziękuję? Aha, dziękuję... A co niby miał powiedzieć?... Oczywiście, że nie mógł się do niego odezwać swoim własnym głosem... i własnym językiem. Dużo Jarek by z tego wiedział.

„Dziękuję...”. Dobrze.

Chłopiec poprawił się w fotelu, zacisnął dłonie na oparciach i pomyślał tak, jakby mówił nienaturalnie spokojnym głosem:

— A teraz ruszaj z powrotem do bazy. Pamiętasz kurs?...

— Kurs bezpośredni do bazy — odpowiedziały głośniczki, tym razem jednak, po raz pierwszy, po krótkiej, ledwie uchwytej przerwie. Ale Jarek zrozumiał i to. Nie był już sam na pokładzie. A tą drugą osobą tym razem nie był nawet wyczarowany z jego własnej pamięci, bezcielesny obraz dziewczyny. Nie. Zjawiała się żywa, obca istota, z krwi i kości. Żywy kosmonauta, przedstawiciel nieznannej ludzom cywilizacji. Przybysz z gwiazd...

— Więc leć tym kursem — pomyślał leniwie, znowu zamykając oczy.

— Zrozumiałem — powtórzył komputer. — Kurs bezpośredni do bazy...

— O rany...

Po raz trzeci, a może czwarty tej nocy, zadudnił tuż przy ognisku przejęty, gruby głos, tak gruby, że mógł należeć tylko do małego Pawełka. I tak rzeczywiście było. Ale tym razem brat nieszczęsnego Piotrka, ofiary własnego obżarstwa, nie poprzestał na tym jednym dowodzie swojej obecności.

— O ra... — zaczął powtarzać soczystym basem, który jednakże w tej właśnie chwili wywinał straszliwego kozła, przeskakując wszystkie naraz klawisze pianina, aż do ostatniego dźwięku, cienkiego jak szkło i niemożliwego do powtórzenia dla przeciętnego śmiertelnika, obdarzonego normalnym gardłem i normalnymi uszami.

— ...niii... — dokończył dumnie Pawełek, spoglądając rozszerzonymi z wrażenia oczami na wysoką, ciemną postać, która nie wiadomo kiedy pojawiła się przy ognisku Węzy.

Głowy zasłuchanych wodniaków zafalowały i jak na komendę zwróciły się w jedną stronę. Chwilę trwało pełne napięcia milczenie.

— Prosimy — zabrzmiał nagle w tej ciszy podejrzanie uprzejmy głos Olika. — Jednak pan przyszedł... czekaliśmy na pana — wyznał drużynowy. W jego tonie nie było jednak żalu, a tym mniej wyrzutu.

Ciemna postać podeszła krok bliżej i ukazała swoje zaróżowione od ognia oblicze. Paweł, jak się teraz okazało, nie bez powodu powtórzył aż dwa razy swoje „o rany” ..., zakończone rozpaczliwym piskiem. Tajemniczy przybysz okazał się bowiem ni mniej, ni więcej, tylko jego tatą we własnej, nieobecnej jakoby, osobie.

— Jeden objadł drzewka ze wszystkich ziołopuchów — poskarżył się nadleśniczy, patrząc straszonym wzrokiem na swą pociechę — a drugi poszedł, żeby wam to powiedzieć, i przepadł na całą noc. Dobrane towarzystwo... wiecie, która godzina? — zawołał półgłosem. — Teraz cały obóz czeka spanie przez okrągłą dobę... a mieliście pretensje do niego! — zwrócił twarz w stronę Jarka.

Popatrzył chwilę, po czym nasrożył się jeszcze bardziej i rzucił:

— No, mów dalej! Na co czekasz?... Aż zacznie świtać? To już niedługo...

Zarysy głów w furazerkach zafalowały ponownie.

— O rany... — westchnął po raz szósty Pawełek, tym razem ni basem ani dyszkantem, tylko po prostu z serdeczną ulgą.

— Niech pan siada, proszę... — Olik oderwał ramię od pięknej drużynowej, wskazując nadleśniczemu miejsce pomiędzy nią a ogniskiem.

— Dziękuję — burknął zmalretowany ojciec. Zmalretowany do tego stopnia, że pozwolił nawet, aby uczucia ojcowskie chwilowo ustąpiły w nim miejsca zupełnie innym. Nazywając rzecz po imieniu, zwykłej, ludzkiej ciekawości. Trzeba przyznać, że wystawił w ten sposób najlepsze świadectwo krasomówczym talentom Jarka. No cóż, nasz bohater nie darmo był pierwszym polonistą w klasie. A poza tym czy rzeczywiście chodziło tylko o to, jak on opowiada?...

Sam Jarek jednak nawet nie zarejestrował w pamięci swojego nowego, niewątpliwego sukcesu. Chyba w ogóle nie słyszał, co właściwie powiedział nadleśniczy. Myślał o czymś zupełnie innym.

Zaczął tę opowieść w przekonaniu, że nadeszła jego kolej. Postanowili zmusić go do opowiedzenia swojego snu? Proszę bardzo. Będzie opowieść. Tylko zamiast poznać sen, poznają prawdę. Tę prawdę, którą w innych okolicznościach Jarek musiałby zachować dla siebie, nie chcąc wyruszyć do szpitala pod czułą opieką krzepkich sanitariuszy.

Tymczasem w miarę jak snuł swoją opowieść i jak jego własne słowa wskrzeszały przed nim obrazy i zdarzenia z niedawnej przeszłości, chłopiec czuł, że ogarnia go coraz większy smutek. Żal, że to właśnie tylko „sen” może im opowiedzieć. Że z nikim, nigdy... oczywiście poza ojcem, nie usiądzie, nie przemyśli wspólnie tamtych

godzin, tak niezwykłych, że nawet gdyby się tylko śniły, byłyby to noc jedyna w życiu i niezapomniana. Wyobraził sobie, że wspólnie z Wężami sporządza z ziemi i kamieni wielką plastyczną mapę okolic bazy na Ganimedzie, że rysuje im to, co zapamiętał z jej wyposażenia... że prowadzi ich na tę polankę z trzema bunkrami i pokazuje miejsce, z którego odleciał ku rubieżom układu słonecznego. A potem można by pomyśleć o ekspedycji... przecież Jarek wiedział, a przynajmniej miał prawo sądzić, że wie, gdzie teraz na Ziemi najłatwiej będzie spotkać obcych z nieba północnego...

Nic z tego. Sen pozostanie snem. Jutro, kiedy wszyscy się wyśpią, Wężę przypomną sobie, że Jarek wprawdzie dobrze opowiadał, co mu się śniło, ale że jednak ten sen nawiedził go w czasie, kiedy oni wyłazili ze skóry, żeby go znaleźć...

Westchnął. W tym momencie pożałował, że w ogóle dał się wciągnąć w to opowiadanie. Lepiej było pozwolić im się wykrzyczeć... żeby już spokojnie, sami z siebie mogli zająć się czymś innym. Lub kimś innym...

Nie, to stanowczo nie był tryumf. Głupia sprawa...

— No... mów, druhu... — zabrzmiał od ogniska pełen szacunku, ale wyraźnie zniecierpliwiony głos Pawełka. Jarek drgnął. Rozejrzał się niezbyt przytomnie wokół siebie, po czym niespodziewanie dla niego samego, twarz wykrzywiła mu się w bladym uśmiechu.

Chcą słuchać. Tak czy owak, chcą słuchać. Ten wieczór należy do niego i tego nikt mu już nie odbierze.

Ostatecznie... niech będzie. Przecież naprawdę liczy się nie to, co o nim powiedzą, ale to, czego rzeczywiście dokonał, co widział, co czuł tam, daleko, w czarnogranatowej przestrzeni obcego świata. I wtedy gdy na pokładzie pilotowanego przez niego kosmosu... tak, tak, jak to inaczej nazwać... — pojawił się przybysz z gwiazd, którego przed śmiercią w próżni wszechświata uratował on, Jarek Koliński, chłopiec z Ziemi...

— Co się stało? — nadleśniczy niedwuznacznie podzielał niecierpliwą trawicą jego młodszego syna Czyżby to było u nich rodzinne?... — Czemu nie mówisz?... — spytał z naganą w głosie.

I to ten — przemknęło Jarkowi przez myśl — który miał być dzisiaj atrakcją ogniska, jako gawędziarz właśnie... no, no... Ale i ta, jedna jeszcze oznaka jego tryumfu nie sprawiła mu przyjemności. Cóż to wszystko znaczy wobec tego, co było tam?... Co było naprawdę?

Westchnął ponownie. W każdym razie nie ma co dłużej zwlekać...

Nie upłynęły trzy minuty, a komputer przemówił znowu. I znowu pierwszy, nie czekając, aż Jarek go o coś zapyta.

— Dziękuję...

Już to słyszałem — przebiegło chłopcu przez myśl. Mimo wszystko myśl ta nie należała do przykrych.

— Tak, słyszałeś — zgodziły się głośniczki. — Ale naprawdę bardzo dziękuję...

Jarek wzdygnął się. Myśli! Zapomniał o myślach. Przedtem „słyszał” je tylko komputer. Czyżby teraz...

— Chcę mieć z tobą kontakt — zareagował natychmiast komputer... nie, już nie komputer... — Dlatego przełączyłem przystawki na siebie. To, co teraz słyszysz, to moje słowa, które tylko przetwarza komputer, żebyś mógł je rozumieć... on ma zakodowany w pamięci twój język, a ja go przecież nie znam. Do tłumaczenia zawsze używamy maszyn. Dzięki temu mogę do ciebie mówić. Ty natomiast jeśli chcesz mi coś przekazać, powinieneś to pomyśleć, bo nadal masz bezpośrednie sprzężenie z komputerem, a ja jestem podłączony do tego samego toru informacyjnego, którym porozumiewaliście się do tej pory. Nie warto już tego zmieniać... za chwilę będziemy

lądować.

— Zrozumiałem — odruchowo bąknął Jarek.

Nie było odpowiedzi.

— Zrozumiałem — powtórzył w myśli. — Chcesz... chce pan — poprawił się po krótkim wahaniu — przejąć sterowanie statkiem?

— Nie — padło natychmiast. — Pilot automatyczny prowadzi nas prosto do bazy. Sterowanie nie jest potrzebne... to znaczy wszystko odbędzie się bez naszego udziału. Jeszcze raz dziękuję. Przeprowadziłeś to tak, jakbyś całe życie nie robił nic innego, tylko zbierał rozbitków z kos... — obcy nagle urwał.

Jarek czekał chwilę spokojnie, powtarzając sobie w duchu ostatnie słowa nieznanego, aż wreszcie zaczął się niecierpliwić.

— Czy coś się stało? — spytał. Zdał sobie sprawę, że zamiast pomyśleć, znowu powiedział to na głos i już chciał naprawić swój błąd, gdy niespodziewanie przyszła odpowiedź:

— Wszystko w porządku — głos zabrzmiał nagle znacznie czyściej i jakby wesole. — Nawiązałem kontakt z bazą. To przekłete promieniowanie nareszcie się skończyło. Baza rozmawia teraz z Centralą. Oni także ci dziękują...

— Już po zakłóceniach? — powtórzył mimo woli Jarek. No cóż, pewnie to dobrze, ale... mimo wszystko nie miałyby nic przeciwko temu, żeby tak jeszcze kilka minut... bo przecież...

— Za dużo tych podziękowań — mruknął ponuro, zanim zdążył pomyśleć, co mówi. — Skoro już wszystko w porządku, to równie dobrze wróciłby pan beze mnie...

— Nie — padła zdecydowana odpowiedź z głośniczków.

— Nie... — powtórzył damski głos za jego plecami. Chłopiec wzdrygnął się odruchowo i szybko spojrzął za siebie. Tuż za wezłowiec fotela, ujrzał twarz Soli. Była całkiem normalna. Śladu jakiegoś „pływania” czy innych objawów, towarzyszących zakłóceniom łączności, jak wtedy, przy wejściu do niewidzialnej dla niego bazy.

— Mówię z kabiny diagnostycznej — kontynuował głos — Wchłonąłem dużą dawkę promieniowania. Dużą, ale nie krytyczną. Właśnie obliczyłem, że mogłem jeszcze przebywać w tym strumieniu półtorej minuty. Potem nie miałyby już sensu mnie stamtąd zabierać. Rozumiesz? A promieniowanie ustało przeszło trzy minuty później, trzy minuty od kiedy znalazłem się wewnątrz tego statku. Gdyby nie ty, byłoby już po mnie...

— On ma rację — potwierdziła Sola. — Dziękujemy...

— Jeszcze moment, a się rozplączę — burknął chłopiec. — Już dawno nikt tak się nade mną nie rozpląwał...

Nie trzeba dodawać, że ta szorstkość, jaką nadał brzmieniu swojego głosu, kosztowała go trochę wysiłku. Ale był to miły wysiłek, podobny do tego, z jakim znany a dbający o swoją popularność aktor filmowy opęda się fotoreporterom.

— Dzielnie się spisałeś — powiedziała dziewczyna. Nie po raz pierwszy...

— Dziękuję — mruknął Jarek. To zmusiło ją do zastanowienia.

— Proszę?... — spytała.

— Zapomniałaś dodać „dziękuję”... — upomniał chłopiec.

— On ci nie podziękował? — przestraszyła się.

— A jakże — Jarek chciał machnąć ręką, ale nagle poczuł, że waży ona zbyt dużo, aby ten trud się opłacił i dał spokój. Powiedział tylko, ciągle z grymasem lekceważenia:

— Powtórzył to piętnaście razy... a może szesnaście? Nie pamiętam...

— Chyba się nie dzi... — zaczęła Sola, ale przerwał jej głos komputera:

— Ładowanie w punkcie zero. Wszystkie zespoły pracują normalnie. Otwieram właz...

Już? — zdziwił się w duchu Jarek. Ale w gruncie rzeczy przyjął suchy meldunek automatów jak coś normalnego, co po prostu musiało nastąpić. Gdyby mu ktoś teraz powiedział, że obcy mimo złożonej obietnicy postanowili go jednak zatrzymać na Ganimedzie lub wywieźć gdzieś w gwiazdy, nie uwierzyłby. Może mruknąłby ze zdawkową uprzejmością „tak?...” — i to byłoby wszystko. Sprawy układają się jak po maśle. Uratował obcego. Niech ktoś powie, że nie. Ci tutejsi ludzie i ich maszyny zachowują się tak, że tylko patrzeć jak jakiś robot przyjdzie pocałować go w rękę. Są układni i wygląda na to że go polubili. W porządku.

A teraz jedyne, czego od nich oczekuje, to żeby pozwolili mu się przespać...

— Wychodzimy Jarku... — głos Soli dotarł do niego, jakby mówiła wewnątrz beczki, wypełnionej watą. Dlaczego, u licha, nie dadzą mu spokoju. Zrobił swoje. Dość, jak na jeden dzień. Najpierw ten powrót z przełęczu, a teraz...

— Źle się czujesz? — zatroszczył się głośnik. Komputer! Proszę, nawet on uznał samopoczucie chłopca z Ziemi za coś tak ważnego, że nie czekał nawet z przekazaniem swojego pytania Soli. Tak właśnie postępował w najbardziej krytycznych momentach...

— Dobrze się czuuuu... — jego głos utonął w szerokim, głośnym ziewaniu. Przestraszył się i powiedział prędko:

— Przepraszam. Jestem zmęczony...

Był naprawdę zmęczony. Zmęczony, to niewiele mówi. Czuł się rozbity, jak bokser po trzech rundach walki z przeciwnikiem o klasę od siebie lepszym. Normalna reakcja — pomyślał. Teraz, kiedy jest po kłopotach, nerwy i mięśnie domagają się zadośćuczynienia za to, co z nimi wyrabiał przez kilka godzin... Z zadowoleniem stwierdził, że jasno i prawidłowo ocenił sytuację. Tak, to normalna reakcja. Po prostu jest zmęczony...

Był rzeczywiście zmęczony. I nie uwierzyłby zapewne, gdyby mu ktoś powiedział, że oczywiście jest w tym zmęczeniu reakcja po napięciu nerwowym i fizycznym ostatnich godzin, ale w gruncie rzeczy zmęczyło go coś całkiem innego. Nie świadomość, że ryzykuje życiem, oddając je w ręce, przepraszam, w automatyczne przystawki istot z... niewiadomo skąd. Nie to nawet, że tak bardzo chciał im pokazać, co potrafi człowiek, rozumiecie? — człowiek z Ziemi — i uratować obcego. Nie. Naprawdę zmogło go, i to tak, jak jeszcze nic nigdy w życiu, zmaganie ze swoją rodzoną wyobraźnią. Nieustanna, uporczywa walka o utrzymanie w ryzach własnych myśli. Zabawne, co? Nie tak bardzo, jeśli się chwilę nad tym zastanowić...

Spał już, kiedy na progu kabiny nawigacyjnej zwiadowczego pojazdu ludzi z nieba północnego, stanęła jakaś obca postać, w skafandrze, ale już bez kasku. Przybyły podszedł do oparcia jego fotela i przez dobrą chwilę stał tam bez ruchu, przyglądając się swemu wybawcy. Wreszcie potrząsnął głową i powiedział coś, czego nikt z nas z pewnością by nie zrozumiał. Z korytarza wynurzył się osobliwy, metalowy stwór... nie, nic okropnego, po prostu niewysoki, szczupły walec, tyle że poruszający się na pająkowatych drążkach, kubek w kubek podobnych do tych, które zamykały komorę śluzu. No i tam, gdzie człowiek ma ramiona, z tego walca sterczało pięć czy sześć cienkich wysięgników, przedzielonych elastycznymi przegubami.

Obcy znowu wydał z siebie jakiś niezrozumiały dźwięk. Automat przemknął bezgłośnie obok niego, zbliżył się do fotela, w którym leżał Jarek, po czym bez żadnego widocznego wysiłku uniósł ciało chłopca i wyszedł z nim na korytarz. Człowiek z gwiazd podążył za nim. W pewnej chwili głowa Jarka ześlizgnęła się z metalowego grzebienia przymocowanego do końca „ręki” automatu i opadła. Wtedy obcy podszedł szybko i podtrzymał ją obiema dłońmi. W ten sposób powędrowali

najpierw do pomieszczenia nazwanego przez Solę salką diagnostyczną, a po krótkim badaniu, w identycznym porządku opuścili pojazd, przechodząc stalowym pomostem i kierując się prosto do granatowej hali z panoramiczną ścianą. Tam Sola, która cały czas sunęła tuż przed nimi, powiedziała „hop!” czy coś w tym rodzaju, a może nic nie powiedziała, dość, że spod podłogi wyskoczył znowu potężny, rozłożysty fotel i natychmiast zniżył swoje oparcie, przeobrażając się w wygodne łóżko. Automat złożył na nim śpiącego chłopca i odstąpił. Obcy stał jeszcze chwilę, ze wzrokiem utkwionym w twarz Jarka, jakby pragnął odgadnąć, co też właściwie może się śnić temu Człowiekowi, którego zabrali z Ziemi, jakby tylko po to, żeby on sam nie znalazł śmierci w czarnej nieskończoności międzygwiazdnej próżni. Wreszcie pochylił się, delikatnie przesunął Jarkowi głowę, umieszczając ją całą na poduszce, znowu coś mruknął, tym razem jednak jakby tylko do siebie, odwrócił się i wyszedł.

Tego wszystkiego oczywiście Jarek nie mógł widzieć i należało się spodziewać, że słuchający go Węże wytkną mu tę nielogiczność w jego opowiadaniu. Ale po pierwsze, jeśli ktoś rzeczywiście chce słuchać tego, co ktoś inny ma do opowiedzenia, to nie czepia się drobiazgów. A po drugie, pomyślcie sami — czy mogło być inaczej?

...

Gwiazdy wzywają Ziemię...

Jarek otworzył oczy, chwilę patrzył prosto przed siebie, po czym zamknął je znowu.

— Ciągłe to samo — mruknął. — Granat i granat. Nie znacie jakichś weselszych księżyców?

Odpowiedziało milczeniem. Na pół rozbudzony ponownie unióś leniwie powieki i rozejrzał się. Soli nie było.

— Znowu?... — wymamrotał, unosząc z wysiłkiem głowę. Oparcie fotela posłusznie powędrowało za jego plecami. Ten ruch go otrzeźwił. A więc zaczął się jeszcze jeden dzień... który to już? Trzeci. Trzeci...

— Gdzie jesteś? — powiedział niezbyt głośno. Mam pewną sprawę. Ciekaw jestem mianowicie, kiedy będę mógł wrócić na Ziemię. Sądzę, że teraz powinniście mi to wreszcie powiedzieć... czy może macie jeszcze kogoś do uratowania?... Sola — podniósł głos. Odezwij się...

W ciszy coś nagle zachrobotało, jakby jakieś małe zwierzątko szybko przebiegło po podłodze, po czym zabrzmiał głos komputera, dobiegający ze wszystkich kierunków naraz.

— Dzień dobry... mówiłeś coś?

— Gdzie jest Sola? — burknął chłopiec. W końcu, człowiek się przyzwyczaja.

Taka natura...

— Mamy bezpośredni kontakt — odpowiedział głos. — Osobiście sądę, że obraz tego człowieka, który przechowujesz w pamięci, nie jest już potrzebny do tego, żebyśmy mogli swobodnie rozmawiać... chyba że wolisz tak, jak było?...

„Osobiście sądę...” Aha. Już nie „sądzimy”. Prawda. To już nie „przystawki...”

— Może być tak — powiedział po chwili, nie bez nutki żalu. — To znaczy, że już jej nie zobaczę?... spytał mimo woli.

— Tej tutaj nie... — głos nabrał takiego brzmienia, jakby obcy musiał walczyć z sobą, żeby się nie uśmiechnąć i Jarek postanowił, że na temat Soli nie pisnie już jednego marnego słowa.

— Tej naszej nie... — powtórzył przybysz z gwiazd. — Ale niedługo ujrzysz zapewne człowieka... nazywasz go „Sola”... — zawahał się — to imię?

— Uhm... — burknął chłopiec. — Takie dziwne... dodał.

— Ładne — poprawił obcy. — Ziemscy uczeni nazywają waszą gwiazdę dzienną, to znaczy Słońce, „Soi...” Sola, to bardzo piękne, słoneczne imię...

Solniczka — mimo woli przebiegło Jarkowi przez myśl. Słońce! Ładna historia...

— Spałem dzisiaj trochę dłużej... — wyznał gość z nieba północnego zmieniając temat — i zbudził mnie dopiero twój głos. Nie usłyszałem wszystkiego, co mówiłeś? ... — obcy tak wypowiedział to niedokończone zdanie, jakby chodziło o coś, czego ani rusz nie może odżałować.

Jarek machnął bezwiednie ręką.

— Nic takiego — mruknął niechętnie. Zastanowił się nad tym, co przed chwilą usłyszał. „Niedługo” zobaczy tamtą, prawdziwą Solę. Niedługo. W porządku.

O to właśnie chciał spytać jej tutejszą podobiznę. Tylko, co oni rozumieją przez „niedługo”?...

— Pytałem, kiedy wrócę na Ziemię... — dzień dobry — zreflektował się. No cóż, lepiej późno, niż wcale.

— Dzień dobry — powtórzył uprzejmie obcy. Na Ziemię...

— Boję się, że mnie tam szukają — przerwał pośpiesznie chłopiec, żeby ten facet z

Lutni nie pomyślał sobie przypadkiem, że może mu chodzić o coś innego.

— Sola... to znaczy... tutaj — poprawił się — obiecano odesłać mnie tak, żeby tam nawet nie zauważyli mojej nieobecności... czy to prawda?

— Prawda — rzekł z przekonaniem obcy. — Odlecisz jeszcze dzisiaj. Tylko przedtem... — urwał.

Jarek wyteżył słuch. Coś przedtem? Niech będzie. Powiedzmy, że i on sam znalazłby tu jeszcze to i owo do załatwienia... Grunt, że „jeszcze dzisiaj...”

Obcy milczał w dalszym ciągu. Cisza przeciągała się ponad zwykłą miarę. W pewnej chwili Jarek już miał otworzyć usta, żeby krzyknąć „jesteś tam jeszcze?!” lub coś równie mało stosownego, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Widocznie tamten potrzebuje czasu do namysłu. Żeby jeszcze wiedzieć, co z tego wyniknie...

W końcu jednak chłopcu ostatecznie obrzydło to czekanie. Postanowił zapytać o coś, co dręczyło go od wczoraj... od pierwszej chwili, kiedy tylko zorientował się, że obcy nie jest już poświęcającym w próżni zwierciadłem, tylko pasażerem... to znaczy, współpilotem jego kosmolotu.

— Halo?... — zaczął na wszelki wypadek.

— Tak? Słucham? — odezwały się natychmiast niewidoczne głośniczki.

— Czy ja... — Jarek zawahał się. Trudniej to powiedzieć, niż można było sądzić. Powie jednak.

— Czy ja... pana zobaczę? — wyrzucił z siebie jednym tchem.

Znowu nastała chwila ciszy. Wreszcie odezwał się głos człowieka z Wegi jakby odrobinę głębszy i bardziej zamyślony.

— Nie. Żałuję...

Niechże się wypchają z tym ich „żałuję...” — pomyślał Jarek ze złością. Słuchał jednak co nieznajomy będzie miał jeszcze do powiedzenia.

— Nie wiem jak ci to wytłumaczyć — ciągnął z namysłem niewidzialny — widzisz my nie szukamy kontaktu z innymi cywilizacjami, a raczej tak, szukamy go, ale z istotami stojącymi wyżej od nas w rozwoju... Tylko nie myśl — głos obcego przyspieszył — że nas nie interesujecie... przeciwnie. Rzecz w tym... zrozum mnie, proszę, dobrze, że... nie czujemy się przygotowani do spotkania ze społecznościami, które nie rozwiązały jeszcze swoich problemów wewnętrznych, bo my także nie... krótko mówiąc, nie czujemy się dość silni... rozumiesz?

Czy rozumie? Ależ to dziecinnie proste. Boją się gorszych, bo są lepsi. Czy może być coś bardziej oczywistego?...

— Nie — burknął zamyślony. I była to najczystsza prawda.

— Wiesz — powiedział nieznajomy, jakby pokonując własne myśli — gdyby wszyscy u nas byli dobrzy...

Jarek drgnął. W uszach zadźwięczały mu słowa Soli.

— Gdyby wszyscy u nas byli dobrzy... — powtórzył jak echo. Wtedy rozumiał przecież, o co jej chodziło.

A przynajmniej wydawało mu się, że rozumie...

— Właśnie — podchwycił głos. — I rozumni... kontynuował — nie byłoby żadnych przeszkód. I te, które teraz istnieją, dałoby się wprawdzie pokonać... może je wyolbrzymiamy, ale... — zająknął się i urwał. Przybyszowi z gwiazd po raz pierwszy zabrakło słów, żeby wyrazić to, co czuł...

Jarek był mu za to niemal wdzięczny. Obcy jest z pewnością kimś, z kim można pogadać o tym czy o owym i od kogo można się dowiedzieć mnóstwa pasjonujących rzeczy... gdyby chciał mówić. Ale nie jest tym kimś, z kim chciałoby się roztrząsać to, czy ludzie są dobrzy czy źli i czy mądrzy lub głupi. Wszystko ma swoje granice... zresztą on sam chyba to rozumie. Inaczej nie ciągnąłby tak z siebie słowa po słowie, jakby nie chciały mu przejść przez gardło... A zresztą, co u licha!... Ludzie

wprawdzie budowali i ciągle jeszcze budują bunkry, ale równocześnie wymyślili lekarstwa na prawie wszystkie choroby, wznoszą wspaniałe miasta, zakładają ciche, zielone rezerwy, gdzie zwierzęta czują się bezpieczne, potrafią jeździć, pływać i latać z jednego, najdalszego zakątka Ziemi do drugiego, uczą się, pracują... stanęli na Księżycu, ba jeszcze tysiące lat temu pobudowali wspaniałe gmachy i świątynie, które zawsze będą zachwycać swym szlachetnym pięknem. Ludzie są bardzo wrażliwi na rzeczy ładne... A choćby ich obóz nad jeziorem? Prawo harcerskie i tak dalej?... Ludzie chcą być dobrzy. Ktoś, kto chce być dobry, nie może być taki znowu zły... Może u nich, u obcych, jest inaczej?...

— Nie mówmy o tym... — powiedział nagle Jarek, niespodziewanie dla samego siebie. — Może kiedyś, kiedy się lepiej poznamy...

Te słowa, w zupełnej ciszy, jaka zapanowała, kiedy obcy przestał nagle mówić, zabrzmiały bodaj zbyt poważnie, jakby nie wypowiedział ich mężczyzna w piętnastym roku życia, ale sędziwy historyk, który całe życie strawił na rozmyślaniach o świecie, w jakim żyje. Lub też nieco mniej sędziwy, ale za to ogromnie czuły na swoim punkcie profesor uniwersytetu, stale pamiętający o tym, że cokolwiek padnie z jego ust, musi być bardzo mądre. Ale Jarek nie zastanawiał się nad tym, czy powaga, z jaką wypowiedział swoją myśl, zostanie równie poważnie potraktowana przez obcego.

Powiedział po prostu to, co czuł i co wydawało mu się prawdą.

Głośniki milczały jeszcze przez chwilę, po czym ponownie zabrzmiały w sali słowa przybysza, dobiegające ze wszystkich stron.

— Mógłbyś zapytać — mówił — po co w takim razie przylatujemy do Was... — zrobił przerwę, jakby czekając, czy Jarek rzeczywiście o to zapyta. Chłopiec jednak milczał, w związku z czym obcemu pozostało tylko samemu odpowiedzieć na to pytanie, które i tak zostało już przecież postawione.

— Widzisz — podjął — to są takie badania... wy też nie zamierzacie, na razie przynajmniej, osiedlać się na Marsie czy na Wenus, a wasi uczeni budują sondy kosmiczne, które tam latają, żeby zbadać warunki panujące na tych globach. Nauka musi wyprzedzać życie, inaczej nie tylko to życie staje się nieznośne, lecz także za osiągnięcie najskromniejszego choćby celu płaci się ogromną stratą czasu i niewspółmiernie wielkim wysiłkiem... Ale — tu głos obcego wzniósł się o pół tonu, którą to zmianę natychmiast przekazał komputer mamy także poważniejszy powód... i ten dotyczy już tylko nas. Każda cywilizacja musi poświęcać wiele uwagi swojej własnej historii... nic tak nie uczy żyć jak właśnie ona. Dlatego i my badamy naszą przeszłość. A jest ona znacznie bardziej skomplikowana niż Wasza, mieszkańców Ziemi. Mianowicie system planetarny, który teraz zamieszkujemy, nie jest naszym macierzystym układem... Pochodzimy wprawdzie z tej samej części Galaktyki, ale z zupełnie innego słońca. Otóż jakieś dwanaście tysięcy lat temu... licząc waszą miarą czasu, to nasze macierzyste słońce zaczęło się gwałtownie powiększać. To samo czeka Waszą gwiazdę dzienną... ale nie martw się, nie doczekają tego nawet pra-pra-prawnuki twoich pra-pra-prawnuków. Stanie się to... no, w przybliżeniu za sześć, siedem miliardów lat. Wtedy będziecie mogli z łatwością przenieść się na Marsa, gdzie warunki do życia staną się podobne do tych, jakie teraz panują na Ziemi... potem na Jowisza... lub, jeśli tylko zechcecie, poszukacie sobie innego układu planetarnego i innego słońca. Tak właśnie myśmy postąpili.

Kiedy nasza gwiazda zaczęła się rozszerzać, prążąc nas coraz gwałtowniejszym upałem, zaczęliśmy szukać nowej ojczyzny. To było ... nie tak dawno, jeśli już mówimy o sprawach kosmicznych... zaledwie jedenaście tysięcy lat temu... Oczywiście umieliśmy już wtedy budować statki, zdolne do pokonywania przestrzeni międzygwiazdnych... Słuchasz mnie, Jarku?...

Pytanie! Pomijając już wszystko inne, co właściwie miał tutaj do roboty, jeśli nie słuchać...

— Oczywiście, że słucham... — mruknął urażonym tonem.

— Bo nie chciałbym cię znużyć... — usprawiedliwiał się komputer w imieniu dwóch, jak się okazało, gwiazd naraz...

— No więc — podjęły głośniki — przygotowaliśmy ekspedycje badawcze... było ich wiele... i porosyłałyśmy je we wszystkich kierunkach, gdzie tylko istniały teoretyczne szanse znalezienia planety nadającej się do osiedlenia. Spieszyło nam się wtedy. Budowaliśmy jeden statek po drugim, szkoliliśmy załogi i te załogi startowały... nie tylko do najbliższych gwiazd, posiadających planety. Było sporo takich, które miały penetrować nawet dalekie rejony Galaktyki. No i znaleźliśmy. Nie trwało to nawet tak bardzo długo. Znaleźliśmy słońce... to jest gwiazda podwójna...

— Wega — wyrwało się Jarkowi. W tym samym momencie pożałował, że sekundę wcześniej, zanim to powiedział, nie odgryzł sobie języka. Ale obcy przyjął jego okrzyk niemal obojętnie...

— Tak, tak — powiedział zdawkowym tonem. Komputer się wygadał...

Chłopcu przebiegło przez myśli, że chodzi przecież o ten sam komputer, który teraz powtarza słowa obcego. Musi mu być głupio... bzdury, maszynom nie może być głupio. Poza tym — przypomniał sobie — to przecież nie ten tutaj, tylko tamten mniejszy, na statku...

— ...O czym zresztą — ciągnął obcy — lojalnie powiadomił Centralę. Staraliśmy się ukrywać to przed wami, ale w końcu... mimo wszystko, upłynie jeszcze bardzo wiele lat, zanim wy zaczniecie latać do gwiazd... krótko mówiąc, nie szkodzi, że wiesz. Ponadto gdybyś chciał opowiedzieć ludziom o twoich przygodach, to obawiam się, że i tak nikt ci nie uwierzy... trochę przecież was znamy... przepraszam...

Nie przepraszaj — nasrożył się w duchu Jarek. Nie uwierzą... Pewnie, że nie uwierzą... „Zna nas trochę...” Proszę, jaki skromny!

— Niech pan się nie krępuje... — warknął. — Jak na razie to rzeczywiście nie my myszkujemy po waszych stronach, tylko wy przylatujecie do nas. Więc...

— Nie miej do mnie żalu — przerwał obcy — że to wszystko mówię... Mnie także obowiązują nasze przepisy... i prawa.

— No więc znaleźliście... Węgę... — podsunął Jarek, pragnąc jak najszybciej odejść od niebezpiecznego tematu. — Ale co to ma wspólnego z waszymi badaniami... z tym, że wysyłacie statki na Ziemię?... Bo przecież mówił pan...

— Tak, mówiłem — przerwał przybysz z Wegi. Opuściliśmy nasz macierzysty system planetarny i przenieśliśmy się wszyscy na nową... ty powiedziałbyś, na nową „Ziemię”... Żyjemy tam do dzisiaj i pożyjemy jeszcze kilka miliardów lat... jeśli nic się nie zmieni. Ale widzisz, chodzi o to, że nie wszystkie ekspedycje, z tych, które rozesłaliśmy na poszukiwania po całej Galaktyce, zdążyły wrócić przed naszą przeprowadzką. A raczej należałoby powiedzieć, że w ogóle nie wróciły. Bo jeśli nie udało im się to, zanim my opuściliśmy nasz pradawny rejon, to nie mogły wrócić także i potem... warunki, tam gdzie mieszkaliśmy, zmieniły się do tego stopnia, słońce paliło już tak, że życie stało się niemożliwe... i oni o tym wiedzieli. Znali sytuację... zresztą, byli wśród nich uczeni, badacze, mieli ze sobą komputery i wszystko, czym tylko dysponowali pozostający na planecie ludzie... którzy od nich przecież oczekiwali ocalenia. Nie wróciło aż sześć wypraw poszukiwawczych... trzydzieści osób. Trzydziestu pilotów i naukowców, rozmaitych specjalności. Przenieść całą cywilizację z jednego układu słonecznego do drugiego, to niesłychanie skomplikowana operacja... Trzeba było chociażby zdecydować, które z pamiątek przeszłości ocalić, jak przetransportować wybrane dzieła sztuki ... z dorobkiem technicznym było łatwiej, bo po prostu przekazaliśmy go pamięci komputerów. No a

ludzie... ich osobiste mienie... to musieliśmy zostawić. Ale nie można było zostawić wzorów najrozmaitszych wyrobów, zapasów żywności, nasion czy sadzonek roślin, do których byliśmy przyzwyczajeni na naszej planecie, zwierząt... zresztą mniejsza z tym. Krótko mówiąc, chociaż staraliśmy się zorganizować całą tę przeprowadzkę jak najlepiej, powstało, bo musiało powstać, zamieszanie, w którym nikt nie miał czasu zastanawiać się nad losem wysłanych w przestrzeń ekspedycji. Tak samo na nowym miejscu... przecież niemal wszystko musieliśmy zaczynać od początku. Budowę miast, sieci komunikacyjnej, szkół, uprawy rolnicze, hodowle... postęp naszej cywilizacji został przyhamowany na bardzo długo. Byliśmy jednak uratowani przed zagładą. Tak... No a potem, wiele, wiele lat później, kiedy odbudowaliśmy mniej więcej zwykłe życie naszej społeczności, przyszła kolej i na historię. Wtedy przypomnieliśmy sobie o tych spośród nas, którzy polecili w przestrzeń, żeby ratować siebie i innych, i nigdy już do nas nie wrócili... Rozumiesz, Jarku? Coś przecież musiało się z nimi stać? W czasie lotu jedna, dwie załogi, mogły ulec jakiejś katastrofie... ale sześć? To przeczyło wszelkim rachunkom prawdopodobieństwa. No więc, zaczęliśmy ich szukać... To znaczy, oczywiście nie ich, ale śladów, jakie mogli zostawić. Znaleźliśmy cztery załogi... dwie z nich rzeczywiście zginęły, jedna straciła statek w zderzeniu z meteorytem, a druga dostała się w tak silne pola grawitacyjne jakiejś planety z atmosferą złożoną ze związków wybuchowych, że nie mogła się stamtąd wyrwać... pozostały tylko wyrzucone poza to pole i krążące do dziś po orbicie nad tą planetą strzępy ich kosmolotu... Dwie pozostałe załogi wylądowały szczęśliwie, jedna w Chmurze Strzelca... to jest niemal w centrum Galaktyki... ale nie znalazła w żadnym z tamtejszych układów paliwa dla rakiety i tam już pozostała. Zbudowali nawet osiedle... ale... no cóż, nie mieli przecież dzieci. Po prostu umarli. Ta załoga... przybysz z Węgi jakby zawahał się — wiesz, Jarku podjął po chwili — było ich trzech. Dowódca przeżył zaledwie cztery lata. Pochowali go w skale, na płaskowyżu, niedaleko wielkiego jeziora... a potem nad jego grobem zaczęli wznosić budowlę... wy nazwalibyście ją pewnie piramidą. Robili to jakby w nadziei, że któraś z kolejnych ekspedycji zwróci na nią uwagę. Powiedziałem „W nadziei”, ale tak naprawdę nie mogli na to liczyć. Prawdopodobieństwo... zresztą mniejsza o liczbę. Wiedzieli, że tam już zostaną, ale tęsknili... i ta budowla była po prostu wyrazem ich tęsknoty. Nie skończyli jej, mieli za mało zasobów energetycznych.

Niektóre dolne ściany budowli ozdobili jednak rysunkami i płaskorzeźbami... żaden z nich nie był plastykiem, ale przypominały im rodzinne strony. Może zresztą chcieli zostawić po sobie pamiątkę dla tych, którzy kiedyś trafią na ten glob i będą się głowić, kim byli autorzy tej niedokończonej budowli i tych naiwnych obrazków. Jedna z płaskorzeźb przedstawiała wizerunek kobiety w czepcu ozdobionym kamieniami i metalem... to była matka najmłodszego członka załogi...

— Skąd pan wie? — wyrwało się chłopcu.

— Byłem tam — odparł krótko obcy. — Jestem przecież historykiem. A poza tym... — urwał i zastanawiał się chwilę. Wreszcie z głośnika dobiegło ciche westchnienie. — Tak się, widzisz, złożyło — podjął przyciszonym głosem — że ta kobieta i jej syn byli... no, krótko mówiąc, noszę to samo nazwisko co oni. Tam, daleko od naszego słońca, odnalazłem moich przodków. Ten mężczyzna pochował swojego starszego kolegę w ukończonych partiach piramidy, a sam... cóż, sam żył jeszcze dosyć długo. Wieczorami patrzył pewnie w niebo, w gwiazdy... tak. A kiedy poczuł, że zbliża się koniec, poszedł w to miejsce, pod płaskorzeźbę przedstawiającą jego matkę, tam usiadł, opierając się plecami o ścianę i tak już został. Tam go znalazłem... Miałem statek z pełnym wyposażeniem, instrumenty pomiarowe, analizatory, komputery. Odczytałem nazwisko kobiety wykute pod nieudolnym rysunkiem jej twarzy. Mimo to pozostawiłem szkielet jej syna tak, jak był.

Pomyślałem sobie, że trudno o piękniejszy grobowiec. Zrobiłem tylko zdjęcia... na ich podstawie, po moim powrocie do układu Wegi, zbudowano pomnik starożytnych astronautów... którym nasza rasa zawdzięcza istnienie. Bo przecież gdyby nie te załogi wysyłane wówczas z takim pośpiechem i bez dostatecznego wyposażenia, nie odkrylibyśmy nowej ojczyzny i wszyscy zginęlibyśmy podczas katastrofy naszej dawnej macierzystej gwiazdy. Ten pomnik wygląda dokładnie tak, jakby z odległości setek lat światła przeniesiono fragment owej nieskończonej budowli, świadczącej o ludzkiej tęsknocie, głowę matki i wyschnięty szkielet... no, dosyć tego — głos obcego zmienił nagle ton, jakby mówiący postanowił wziąć się w garść i otrząsnąć z uczucia głębokiego wzruszenia, jakie nim owładnęło. — Więc to była trzecia odnaleziona załoga — rzekł twardo. — Członkowie czwartej wyprawy zatruli się... dzisiaj nie sposób już określić, czym. Ich statek, nieuszkodzony, stoi ciągle jeszcze tam, gdzie wylądował, jakby za chwilę miał się wznieść w drogę powrotną... No dobrze, ale zostały jeszcze dwie. O nich nie wiemy nic. A uważamy, że naszym obowiązkiem jest poznać prawdę do końca. Że to należy się ich pamięci... A poza tym... — obcy znowu jakby się zawahał, ale zaraz zaczął mówić dalej — widzisz, istnieje teoretyczna możliwość, że odnaleźli gdzieś, na którymś z globów rasę istot podobnych do nas... i że, nie mogąc z jakichś powodów wrócić, założyli tam rodziny... krótko mówiąc, że w kosmosie do dziś żyją ich potomkowie... nasi potomkowie. Pomyśl, Jarku... Przecież to chodzi o nas samych. Oczywiście, że to jest bardzo a bardzo nikła możliwość, jeżeli jednak mimo wszystko istnieje?... Czy można się dziwić, że krążymy po Galaktyce i badamy planety, gdzie kwitnie życie organiczne, a już szczególnie te, na których mieszkają istoty... to znaczy ludzie... no, podobni do nas?...

— Myślicie?... — zaczął chłopiec i zaraz urwał. Czuł zamęt w głowie, jak wtedy kiedy za chwilę miał stracić przytomność. Co on chce przez to powiedzieć? Czy ludzie?... Czy my i oni?...

— Nie myślimy — odpowiedział prędko obcy. Nic na razie nie wiemy. Tylko szukamy... a mówię to wszystko dlatego, żebyś nie sądził, że mamy wobec was jakieś zamiary... że chcemy wykorzystać Ziemię i was... Rozumiesz teraz?

Jarek nie odpowiedział. Szum w jego głowie ucichł wprawdzie odrobinę, ale w dalszym ciągu nie mógł pozbierać myśli. Ileż jest pod tymi gwiazdami spraw, 0 których człowiek nie ma bladego pojęcia! Ileż myśli i uczuć krzyżuje się na tych drogach, które przemierza wzrok człowieka, kiedy stanie się wieczorem poza światłem latarni i zadrze głowę do góry! A wszystko to zaczyna się i kończy na jakiejś jednej planecie, w kręgu spraw, którymi żyje jedno społeczeństwo... gromada istot zaludniająca jeden z miliardów globów! Dla nas, to jest Ziemia... Dla tego tam, niewidzialnego, planety Wegi. Ale i tu, i tam wszystko zależy od tego, jak mieszkańcy jednego globu rozwiązują swoje wewnętrzne sprawy. Okazuje się przy tym, że te sprawy wcale nie są tylko wewnętrzne... „Gdyby wszyscy ludzie byli dobrzy...” — powiedziała Sola. I miała rację. Tutaj trzeba szukać drogi... jeśli ta droga ma być możliwie bezbolesna i zaprowadzić tam, dokąd naprawdę chciałoby się dojść... A... czy obcy przypadkiem nie zmyślał? Niby po jakie лихо miałyby to robić? — odpowiedział sam sobie Jarek. Cóż może mu zależeć...

— Powiedziałem — głos gościa z Wegi brzmiał teraz ciszej, jakby mówiącego ogarnęło nagle zmęczenie — że zanim stąd odleczysz, pragnąłbym ci coś pokazać. Nie chcę przychodzić tam do ciebie... widzisz, jesteśmy rzeczywiście podobni, ale są pewne różnice... nie, poprzestańmy na tym, że się słyszymy i rozumiemy. Tak będzie lepiej. Ale przynajmniej w części pragnąłbym zaspokoić twoją ciekawość. Jeśli pozwolisz, to pokażę ci teraz coś... powiedzmy, obrazek z naszego życia. Tylko musiałbyś przejść do tego pojazdu, którym przyleciałeś z Ziemi, i położyć się w salce

diagnostycznej. Mamy tam urządzenia, które pozwolą mi zrealizować mój zamiar. Dzięki nim będę mógł przekazać twojemu mózgowi to, co chcę żebyś zobaczył. Oczywiście dla ciebie będzie to złudzenie, ale złudzenie pod wieloma względami doskonale... zresztą przekonasz się. Rzecz jasna — zakończył pośpiesznie — jeśli sobie tego życzysz...

Jarek pomyślał chwilę. Wolałbym, żeby obcy pokazali mu po prostu jeden z ich „blokowanych” filmów... albo chociażby jakieś fotografie, plansze, słowem, wreszcie coś zwykłego...

Powiedział to. Prawdę mówiąc, zaczynał mieć już dość wszystkich tych nadzwyczajności. Nie dlatego żeby oni przestali go nagle interesować. Ale, jako się rzekło, człowiek ma ograniczoną możliwość przyjmowania wrażeń... w najlepszym wypadku prędzej czy później obojętnieje, jeśli wchłonie ich za dużo...

— To będzie lepsze niż film... — odpowiedział natychmiast przybysz, głosem komputera. — Zresztą, nie pokażę ci nic szczególnego... taki sobie fragmencik naszego życia... Nie chcę, żebyś po tym, co dla mnie zrobiłeś, odleciał stąd wiedząc o nas tyle co przedtem...

Jarek nie ociągał się dłużej. Wstał i ruszył korytarzem do hali startowej, gdzie jajowaty pojazd nadal zapraszał gości otwartym na oścież włazem. Przeszedł do ciasnej kabinki, w której obudził się po opuszczeniu Ziemi, i rozejrzał się niepewnie.

— Połóż się na leżance — padło z głośników. Słowa obcego brzmiały tutaj inaczej, bardziej głucho. Chłopiec przypomniał sobie, że wtedy, przychodząc do siebie po porażeniu, odniósł wrażenie, jakby tkwił wewnątrz szczelnie zamkniętej skrzyni... nie było to zbyt przyjemne. Jak to już dawno...

Posłusznie usiadł na prostokątnym łożu, po czym wyciągnął się jak długi. Odruchowo przymknął oczy...

Nad jego głową coś się poruszyło. Znowu ta dynia — przebiegło chłopcu przez myśl. Przestrzeń za zamkniętymi powiekami pociemniała. Widać okap kasku opuścił mu się już na oczy.

Nagle poczuł dwa równoczesne, lekkie ułkucia. Właściwie tylko króciutkie muśnięcia, jakby po jego czaszce przesunęły się dwa nieskończenie cienkie druciki. W tej samej chwili świat przed jego zamkniętymi oczyma począł raptownie jaśnieć. To już nie była czarnogranatowa noc... nawet nie zwykła, ziemską noc, z wielkim jak arbuż księżycem... i nie ziemski dzień... było znacznie, znacznie jaśniej...

W tym momencie chłopiec zrozumiał, że znajduje się w przestrzeni, zalanej słonecznym blaskiem. Ale to słońce było jakieś dziwne, może ostrzejsze, tak, na pewno ostrzejsze i nie złotawe, jak na ziemskiej plaży, tylko niebieskobiałe...

W dodatku przestrzeń, która go otacza, wcale nie jest plażą, chociaż w powietrzu jest tyle lśnienia, że trzeba mrużyć oczy, jak w letni, upalny dzień, kiedy promienie słoneczne odbijają się od białych obłoków i jasnoszmaragdowej wody...

Stał pośrodku świeżej, zielonej łąki. Tak, to była łąka, chociaż w niczym niepodobna do najbujniejszej nawet ziemskiej połoniny czy najpiękniej utrzymanych trawników. Rośliny były wyższe, kiedy stawał na nie stopy, ich łodygi pękały, strzelając chłodną, lepką cieczą. Ta ciecz wydzieliała zapach jakby jabłek, ale silniejszy i zmieszany z innymi zapachami, dla których nie znalazł już żadnego porównania... Przed nim jest miasto, najdziwniejsze, jakie kiedykolwiek widział, właściwie trudno nawet zgadnąć, dlaczego pomyślał akurat o mieście... mogła to być jakaś fabryka, zagadkowa prehistoryczna budowla, lub jeszcze coś całkiem innego... Ale on wiedział, że to jest miasto i, co więcej, że je zna... że wiąże go z tymi koronkowymi, jakby zawieszonymi w powietrzu konstrukcjami mnóstwo wspomnień... z dzieciństwa... jakiego znowu dzieciństwa?...

Ponownie strzeliła mu spod stóp delikatna chmurka wilgotnego pyłu, widać

nadepnął całą kępą tych cudaczných roślin... ale w takim razie... ależ tak!

Jarek wcale nie stał, jak mu się w pierwszej chwili wydało. Szedł, wolnym, równym krokiem, prosto przed siebie, ku owemu cudacznemu miastu i z taką pewnością, jakby dokładnie wiedział, co zamierza tam robić. Miał jakiś cel... jaki?... niech tylko chwilę pomyśli... to jest chyba ktoś, kogo ma tam spotkać... ktoś miły... bardzo dziwne...

Bardzo dziwne... — chciał powtórzyć na głos, ale krtań z jakiegoś powodu odmówiła mu posłuszeństwa. Nie mogę mówić — przeszło mu przez myśl. Nie powinienem mówić... skarcił się w duchu, nie rozumiejąc skąd wzięła mu się pewność, że teraz nie pora mleć językiem. Bardzo dziwne...

Miasto wyrastało dokładnie na wprost niego, niezbyt daleko i naprawdę wyglądało, jakby unosiło się w powietrzu. Ta łąka, czy co to było, po której szedł, zaścielała całą okolicę, aż po horyzont, przysłonięty w głębi garbami łagodnych wzgórz. Na prawo i lewo, jak okiem sięgnąć nic, tylko trawa... żadnego drzewa, choćby najmniejszego krzaczka... Ale, co najdziwniejsze, łąka była także pod miastem. Nigdzie, no powiedzmy niemal nigdzie, nie dochodziło ono do powierzchni gruntu, jakby zbudowano je nie na ziemi, ale na chmurach, do góry nogami, jeśli można tak powiedzieć o mieście. Albo jakby podtrzymywały je w górze tysiące baloników. Tylko próżno było szukać jakichkolwiek baloników czy czegoś w tym rodzaju nad tymi budowlami. Wieże ze strzelistymi iglicami, wieńczące budowle tarasy i spinające to wszystko ślimacze wstążeczki, które nie mogły być niczym innym jak tylko drogami. Takie miasto...

A jednak ono stało na ziemi. I to z pewnością mocno, bo przecież takie wysokie, śmigające w niebo konstrukcje, musiały mieć potężne oparcie w skałach, pod warstwą gleby.

Pierwsze budowle znajdowały się już blisko. Jarek nie szedł szybko, ale perspektywa była tutaj inna niż na Ziemi, widać zaraz na początku nie najlepiej ocenił odległość. W każdym razie widział już jak na dłoni, wąskie, niesłychanie wąskie odwrócone ostrosłupy, w białe szpicami w zieloną równinę. Pomiędzy nimi nie było nic, tylko trawa. I biegły bardzo długo w górę, ciągle takie smukłe przezroczyste jak nóżki pięknych, starych kieliszków, aż dopiero na wysokości mniej więcej dziesiątego piętra rozszerzały się, tworząc platformy, na których spoczywały wielkie, jeszcze wyższe, choć także smukłe budowle. Takie miasto...

Jarek szedł ciągle, zbliżając się do pierwszego rzędu słupów, które podtrzymywały budynki, chociaż wcale nie chciał iść. Wolałby stanąć i popatrzeć spokojnie na to koronkowe i piękne kłębowisko konstrukcji, jakie miał przed sobą. Mimo to wciąż szedł, ani trochę nie zwalniając tempa marszu. Zupełnie jakby jego własne nogi ulegały woli kogoś obcego, kto z samym Jarkiem nie miał nic wspólnego, a tylko jakimś perfidnym sposobem wślizgnął się w niego i teraz rządzi tymi nogami jak swoimi. Idiotyczna historia...

Z pierwszego szeregu zabudowań występowała wysunięta przed inne, bardzo cienka, ale za to niewspółmiernie wysoka baszta. Jej otwarte drzwi widniały kilka metrów nad poziomem łąki, tam gdzie słup podtrzymujący budowlę był już odrobinę grubszy. Wiodły ku tym drzwiom rozszerzające się z wysokością stopnie.

W momencie kiedy Jarek doszedł do pierwszego z nich, kątem oka pochwycił pojedynczy budynek w dość znacznej odległości za miastem. Po prostu widział już teraz łąkę po jego przeciwnej stronie i tam właśnie stało coś bardzo dziwnego, jakaś wysoka, ale równocześnie przysadzista, ciężka piramida, której bryła spoczywała całą szeroką podstawą na powierzchni gruntu, zamiast, jak wszystko tutaj, bujać w obłokach na niewyobrażalnie cienkich nóżkach. Zauważył jeszcze osobliwe, prowadzące z dołu aż na najwyższy taras tej budowli, proste, strome stopnie i niczego

więcej nie mógł już spostrzec, ponieważ w tym właśnie momencie wszedł w cień padający z baszty.

Wstąpił na schody i chwilę później przekroczył próg niskiego wejścia, które, jak się okazało, prowadziło prosto do kabinki windy, niemal równie małej jak w jajowatym pojeździe. Skoro tylko znalazł się za drzwiami, te zamknęły się za nim same.

Znowu dokądś jadę — przemknęło chłopcu przez myśl. Ale była to myśl ulotna i krótka, pozostawiająca po sobie zaledwie mgliste wspomnienie, że tak jakby się coś przed chwilą pomyślało. Poza tym stale prześladowała go równie niejasna świadomość celu, do którego zmierza, czy może raczej do którego zmierza ten ktoś, kto wlaźł w niego i samowolnie posługuje się jego nogami.

Droga w górę nie trwała dłużej niż minutę. Kiedy drzwi windy stanęły ponownie otworem, chłopiec musiał zmrużyć oczy, tak silny był tutaj blask biało-niebieskiego słońca. Spojrzał na niebo i natychmiast odwrócił głowę. Pod powiekami po raz któryś z rzędu, odkąd opuścił Ziemię, zatańczyły mu gwiazdy pomieszane z ciemnymi płatkami. Słońce dosłownie buchało światłem. Było ciepło, cieplej niż normalnie bywa latem tam, gdzie Jarek się urodził, ale nie upał był wrażeniem, które odbierało się tutaj przede wszystkim, a właśnie światło, potoki światła, uderzające niemal o skórę, obmacujące człowieka jak lekarz albo jak dziesięciu lekarzy naraz. Minęło ładnych kilka minut, zanim wzrok chłopca jako tako przyzwyczaił się do otoczenia.

Zobaczył, że stoi na niewielkim, okrągłym tarasie, otoczonym przezroczystą balustradą. Przed nim, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, wznosiła się gładka jak szkło ściana najbliższej wysokiej budowli. Jarek pobiegł wzrokiem do jej szczytu. Był daleko. Oplatały go chodniki podobne stąd do kolorowych serpentyn, jakie rzuca się na głowy tańczących par w czasie karnawałowego balu. Ściana była pozbawiona okien i wszelkich innych otworów, tu i ówdzie widniały na niej tylko niewielkie groszkowate wypukłości, równie ślepe jak otaczający je mur. Za tą budowlą wznosiła się następna. O ile jednak pierwsza przypominała baśniową szklaną górę, o tyle ta druga z kształtów podobna była raczej do korkociągu. Jeśli, naturalnie, ktoś potrafi sobie wyobrazić korkociąg długości... no, powiedzmy, trzystu metrów i w dodatku wbity sztorcem w ziemię. Dalsze budynki także różniły się pomiędzy sobą wysokością, smukłością, a przede wszystkim kształtami. I wszystkie były oplecione pajęczyną chodników i ulic, których ażurowe przęsła błyszczały w tutejszym słońcu tak właśnie, jak błyszczy pajęczyna, kiedy w pogodny ranek utrzymują się jeszcze na niej kropelki rosy. Gdziekolwiek te niteczki, czy też tasiemki, oddziaływały się od swojej budowli i biegnęły do sąsiednich, gdzie wpadały od razu w taki sam kolorowy, nieruchomy wir, wiodący w dół lub ku górze.

Te drogi żyły. Poruszały się na nich figurki ludzi, całe grupy, a także pojedynczy przechodnie. Ci ostatni, samotni, przesuwali się nieco wolniej, jakby z braku czegoś lepszego do roboty wyszli na spacer i nigdzie im się nie śpieszyło. Od czasu do czasu którąś z szerszych od innych tasiemek przemknął jakiś poświęcający w słońcu, okrągławy kształt i Jarek wiedział, właśnie wiedział, a nie domyślał się tylko, że to są tutejsze pojazdy. W ogóle ten ruch uliczny, to miasto położone gdzieś wśród gwiazd, na nieznanej, niewidocznej z Ziemi planecie, słowem coś, co powinno samym swoim widokiem zapierać chłopcu dech w piersiach, on przyjmował jako rzecz oczywistą i dobrze sobie znaną. A może to znowu nie on, tylko ten obcy, który wkraść się w jego myśli? ... Tak, myśli. W końcu nogi, nawet najbardziej nieposłuszne, nie mogą same wiedzieć, że chcą iść, a nie stać, i dokąd mianowicie powinny ponieść swego, pozbawionego nagle przyrodzonych praw, posiadacza.

Jarek odwrócił głowę i spojrzał przed siebie, tam gdzie nie było już wysokich konstrukcji miasta.

Jak okiem sięgnąć, po kres horyzontu ciągnęła się łąka. Tylko bezpośrednio pod nim, patrząc z tej wysokości można było powiedzieć: „pode mną”, a nie: „na wprost mnie” — widniała teraz w całej okazałości owa dziwna, przysadzista budowla, tak niepodobna do powietrznej zabudowy dzielnic centralnych. Leżała nie dalej niż pięćset metrów od miasta, ale sprawiała wrażenie kompletnie opuszczonej. Ani na jej górnym tarasie, ani też nigdzie wokół niej, nie sposób było wypatrzeć choćby śladu ruchu. Tam widać ludzie nie docierali. Zresztą nie wyglądało na to, aby owa budowla miała komukolwiek służyć za mieszkanie. Była... jakby to powiedzieć... jakaś stara, jakby przeniesiona z innej bardzo odległej epoki.

Chłopiec podszedł bliżej balustrady i ostrożnie oparł na niej dłoń. Była mocna. Zresztą wiedział, że jest taka właśnie, jeszcze zanim jej dotknął. Dlaczego w takim razie musiał się przekonać? Trudno powiedzieć. W dalszym ciągu myślało w nim i czuło jak gdyby dwóch ludzi, przybysz z gwiazd, dla którego wszystko tutaj było obce i nadzwyczajne, oraz zżyty z tym miastem i jego otoczeniem gospodarz. Tak, gospodarz. No bo jak inaczej nazwać człowieka, który ma tutaj swoje własne sprawy i sprawy wspólne z tymi figurkami tam na drogach, który cieszy się, że tak pięknie świeci jego ostre, białoniebieskie słońce, i wie, że przyszedł dzisiaj na tę widokową wieżę, aby spotkać się z kimś takim jak on sam, należącym do tego samego miasta i tego samego krajobrazu... a w dodatku kimś bardzo sobie bliskim...

Oparł się o balustradę i utkwiał wzrok w opuszczonej przez ludzi dziwacznej piramidzie, jakby specjalnie wyrzuconej poza miasto. Była bardzo duża. Jej najniższy poziom stanowiła wysoka, kwadratowa płyta, ułożona z wielkich, ociosanych kamieni. Na tym kwadracie wznosił się drugi, nieco tylko mniejszy. A na nim jeszcze jeden. Tak więc stopnie tej budowli wznosiły się wprawdzie znacznie wyżej niż u „zwykłych” piramid, jakie można obejrzeć na każdej prawie fotografii z Egiptu, ale było ich za to zaledwie trzy. Natomiast na najwyższym z kwadratów wznosił się wysoki prostopadłościan, jakby jakiś obelisk, ale nie dość wysoki i zbyt gruby, żeby naprawdę mógł być obeliskiem. Najdziwniejsze jednak w tej budowli były szerokie, strome schody, prowadzące od samej ziemi, w linii prostej, aż do stóp owego niby obelisku. W miejscu gdzie schody się kończyły, widać było szerokie wejście, obramowane dwiema jakby strażnicami, z których każda miała po dwa proste, podłużne okna.

W tym momencie Jarka ponownie ogarnęło silne wrażenie, że tę budowlę, właśnie taką dziwną, jaką była, powinien skądś znać. Że oglądał ją, lub coś bardzo do niej podobnego, w jakiejś sytuacji, która z całą pewnością nie mogła mieć nic wspólnego z jego nagłą podróżą poza Ziemię. Ciekawe. To by znaczyło, że to nie ten drugi „ktoś”, kto tak samo jak on posługuje się jego myślami i nogami, widział już przedtem, pamięta i zna tę budowlę, tylko właśnie on sam. Jak to było?... Kiedy?... Zaraz... nie, nic z tego. Nie uda mu się teraz skupić myśli na tyle, żeby sobie przypomnieć, kto i kiedy pokazywał mu coś podobnego... chociaż tak niewiele brakuje... jakby już, już miał znowu ujrzeć tę scenę, ze wszystkimi szczegółami...

Odwrócił się zniechęcony. Spojrzał przed siebie i spostrzegł, że nie jest już sam na tym tarasie, zbudowanym chyba specjalnie po to, aby mogli tu przychodzić ludzie, kiedy zechcą popatrzeć na trawę, tę jakąś piramidę z przysadzistych kwadratów i swoje miasto. Po przeciwnej stronie odwrócona do niego tyłem stała dziewczyna. Przechyliła się przez balustradę i patrzyła w dół. Jarek przebiegł wzrokiem jej długie, czarne włosy, zakrywające kark i spływające na ramiona, białoniebieską sukienkę, w kolorze tutejszego nieba, gołe nogi... tylko czemu te nogi są czarne?... No, może nie całkiem czarne, nie tak na przykład jak jej włosy, ale w każdym razie zbyt ciemne, aby mogło to oznaczać zwykłą opaleniznę. Choćby nie robiła z nimi nic innego, jak tylko wystawiała je do tego swojego palącego słońca.

W tym momencie chłopiec zdał sobie sprawę z tego, że wie, kim ona jest... to znaczy powinien wiedzieć, ba, przecież przyszedł tu tylko po to, żeby się z nią spotkać i powiedzieć jej coś ważnego... zna nawet jej imię... ma je na końcu języka...

Otworzył usta, żeby zawołać, chociaż ciągle jeszcze nie mógł sobie przypomnieć, jak brzmi to jej imię, ale dziewczyna nie czekała na to. Poruszyła niespokojnie głową, wyprostowała się, po czym jakby wyczuwając wzrok chłopca, zaczęła się powoli odwracać. Mignął mu kształt jej policzka, koniuszek nosa... i raptem wszystko znikło.

Jarek zaczekał chwilę, kiedy jednak nic się już dalej nie działo, a on w dalszym ciągu nic nie widział, otworzył oczy. Otworzył je i teraz dopiero uprzytomnił sobie, że dotąd, przez cały czas, kiedy szedł do tego pięknego miasta, kiedy stał na tarasie, przyglądając się strzelistym konstrukcjom, trawie i owej dziwnej piramidzie, kiedy zjawiała się ta dziewczyna, jego oczy pozostawały zamknięte. Sen czy co, u licha? Aż tak, jakby to powiedzieć... prawdziwy?...

Znowu to króciutkie ukłucie w skórę głowy, tak delikatne, że nie mógł przysiąc, czy mu się nie zdawało. Zaraz potem baniasty kask począł się wycofywać, jak zwykle bezszelestnie i nie wiadomo dokąd. Jego okap odsłonił chłopcu oczy. Ujrzał gołe, poświęcające pastelowym blaskiem ściany kabiny... a raczej klatki, do której kazał mu pójść obcy, aby...

— To już wszystko, Jarku — usłyszał jego głos. Pokazałem ci obrazek z mojego własnego życia. Miasto, w którym się urodziłem. Kawałek naszego krajobrazu i... — przybysz z gwiazd urwał. Milczał dłuższą chwilę, zanim przemówił ponownie, lekko zmienionym głosem, jakby wzruszony. — ...I moją dziewczynę... dawno temu — dokończył. — Wtedy właśnie umówiłem się z nią, żeby jej powiedzieć, że ją... lubię. Potem... ale nie zaraz potem, została moją żoną. Mniejsza z tym... — uciał, jakby zły na siebie, że to wszystko powiedział.

Aha. Obcy jest żonaty, pewnie ma dzieci i te dzieci z kolei mają mu za złe, że zostawia je, by lecieć na koniec świata. A ta dziewczyna...

— Ale jak... — zaczął Jarek i zaciął się. Obcy jednak w lot chwycił, o co chłopcu chodzi.

— Chcesz wiedzieć, jak to się stało, że tam byłeś?... — głośnik wydał skrzeczący, niezrozumiały bełkot i Jarek z przerażeniem pojął, że przybysz z Węgi roześmiał się w tym momencie. Swoją drogą mogli „nauczyć” swoje komputery śmiać się albo przynajmniej powtarzać, choćby najbardziej suchym głosem „ha, ha, ha...”, zamiast zmuszać ludzi do wysłuchiwania jakichś zdławionych jęków. Przecież Sola...

Przypomniał sobie jej cichy, dźwięczny śmiech i raptem znowu zrobiło mu się przykro, że już jej nie zobaczy.

— Widzisz — podjął głośnik już mniej więcej normalnym głosem — my posłużyliśmy się do nawiązania kontaktu z tobą wizerunkiem człowieka, który z jakichś powodów szczególnie trwale zapisał się w twojej pamięci... a to teraz było czymś zupełnie podobnym, tyle że to ja tym razem puściłem w ruch moją własną pamięć... Połączyłem się z tobą aparaturą fantomatyczną...

— Czym? — nie wytrzymał Jarek.

— No... taką specjalną aparaturą — wycofał się obcy — dzięki której mogłem wywoływać w twoim mózgu obrazy tych sytuacji, o których sam myślałem... i, rozumiesz chyba, łatwiej mi to było zrobić z takimi obrazami, które noszę w pamięci zapisane tam silniej niż inne. To spotkanie z... no wiesz, wspominam bardzo często... mam przed oczami miejsce i czas, kiedy to się stało, nie zapomniałem chyba żadnego drobiazgu...

A więc to dlatego — przemknęło Jarkowi przez myśl — ciągle mi się zdawało, że

tam już byłem i że znam to wszystko, na co patrzę. To on mnie prowadził... bo „ogłądałem” przecież tylko jego myśli... człowieka stamtąd. Słusznie nazwałem go wtedy gospodarzem...

— No a teraz — głośniki wpadły w ton bardziej suchy i jak gdyby oficjalny — do widzenia, Jarku. Mówię „do widzenia”, choć pewnie nigdy się już nie spotkamy... ale kiedyś my i wy... wiesz, co chcę powiedzieć. Więc chyba to „do widzenia” jest jednak na miejscu... Jak sądzisz?

Chłopiec otworzył usta, ale nic nie powiedział. Pokiwał tylko głową, jakby naprawdę wiedział i rozumiał już wszystko, co tylko gdziekolwiek pod słońcem, przepraszam — pod słońcami, było, jest i będzie do zrozumienia. Gdybyż tak było naprawdę! Chociaż... hm... Czy nie można by wtedy umrzeć z nudów?... Całe szczęście, że jak na razie, przy czym to „na razie” oznacza coś więcej niż na przykład sto lat, nikomu to nie grozi. Ani Jarkowi, ani w ogóle ludziom, ani obcym... skądkolwiek by pochodzili...

— Jeszcze raz dziękuję, Jarku... — głośnik najwyraźniej zmierzał do zakończenia rozmowy. — Zostań tam, gdzie jesteś, na tej leżance i... zegnaj...

— Do widzenia — mruknął odruchowo Jarek.

I w tym właśnie ułamku sekundy, jak w blasku błyskawicy, w jego pamięci otworzyła się jedna jedyna klapka, akurat ta, która zakrywała dotąd okoliczności, w jakich zawarł znajomość z ową cudaczną piramidą pod ich miastem, zanim jeszcze obcy zaprowadził go tam swoimi myślami.

— Zaczekaj! — wrzasnął bez zastanowienia. Niech pan poczeka — poprawił się. — Chcę panu coś powiedzieć...

— Proszę, słucham?... — chłopcu wydało się, że w głośnikach zabrzmiała jakby nutka zniecierpliwienia, ale niewiele go to obeszło.

— Co to było tam pod miastem?... — wyrzucił z siebie. — Ta jakaś budowla?... no, wie pan, taka kwadratowa i pusta?...

— Ach, o to ci chodzi... — zamruczał z pewnym zdziwieniem obcy. — To jest muzeum... tak wy byście to nazwali. Kiedyś, bardzo dawno, jeszcze na naszej starej planecie, ludzie wznosili takie budowle i modlili się w nich do bogów... Przesztano je budować chyba ze dwadzieścia tysięcy lat przed przeprowadzką na Węgę... ale mimo wszystko, kiedy już uporządkowaliśmy nasze życie na nowym miejscu i mogliśmy zająć się takimi sprawami jak historia, historia sztuki i tak dalej, nasi architekci zaproponowali, żeby zrekonstruować jedną przynajmniej taką świątynię... akurat przy moim mieście. Wewnątrz niej są plansze ilustrujące nasze pochodzenie i tradycje... stare malowidła, rzeźby... te nieliczne, które udało się ocalić. Chodzą tam nasze dziewczęta i chłopcy, a także dorośli i uczą się swojej własnej przeszłości... widzisz, my teraz mamy o wiele mniej zabytków, niż wy na Ziemi. Tak to jest...

Jarek pomyślał chwilę. Ale niezbyt długo. Właściwie dlaczego nie miałby mu powiedzieć. I tak przylatują na Ziemię. Chyba można im wierzyć, że nie zamyślają niczego złego. Co więcej, gdyby miało się okazać, że... nie, ta myśl jest tak dziwna, że lepiej jej nie kończyć. Powie jednak.

— Wie pan, ja znam bardzo podobne budowle — wyrzekł, zdziwiony, skąd wzięło się aż tyle powagi w jego głosie. — Widziałem — ciągnął — taką książkę... pokazywał mi ją ojciec. Przeczytałem nawet kilkanaście stron... To było bardzo niedawno, dlatego pamiętam jej tytuł. Nazywała się „Zaginione cywilizacje” i tam właśnie... wie pan... tam są zdjęcia takich budowli, kubek w kubek podobnych do tej waszej... świątyni. U nas też wznoszono je dawno... nie wiem dokładnie, ale także kilka tysięcy lat temu i tylko niektóre z nich stoją do dziś dnia. To znaczy odkopano je, bo były przykryte ziemią... ojciec opowiadał mi o ludziach, którzy je znaleźli. Wie pan, gdzie to jest?... — urwał, żeby zyskać na czasie i zastanowić się, jak

wytłumaczyć obcemu, gdzie powinien ich szukać, jeśli oczywiście miałby na to ochotę. Najłatwiej byłoby podać szerokość i długość geograficzną... ba, ale trzeba by ją znać i pamiętać... ojciec by wiedział... zaraz...

— To bardzo ciekawe... — głos komputera był wyraźnie przejęty. — Mów, mów, Jarku...

— Podobno znacie nasze nazwy... — zaczął powoli chłopiec — czy wie pan, gdzie jest Półwysep Arabski?...

— Półwysep... chwileczkę — obcy zrobił przerwę, jakby na to, żeby podejść do półki i wyjąć z niej atlas.

— Tak, wiem... — odpowiedział po krótkiej chwili milczenia. Zbyt krótkiej jak na sięgnięcie do najbliższej choćby stojących półek i Jarek domyślił się, że obcy znowu skorzystał z jakiejś „przystawki”, to znaczy po prostu z „pamięci” komputera.

— No więc tam, gdzie ten Półwysep się zaczyna tłumaczył nieco nieporadnie Jarek — płyną dwie rzeki...

— Tak — szczechnął krótko głośnik.

— Jest dużo legend związanych z tym właśnie obszarem, między dwiema rzekami. Żyły tam różne, stare ludy... — przerwał na chwilę. Jeszcze raz pomyślał o ojcu i nagle doszedł do wniosku, że gdyby ten słyszał, jak jego pupilek określa położenie Mezopotamii na mapie świata, schowałby się pod stół ze wstydu. Ale ojciec nie słyszy. Tymczasem obcy, jak się zdaje, w lot chwyta, o co Jarkowi chodzi...

— Tam właśnie, u ujścia tych rzek są takie budowle... to miasto nazywa się Uruk... to znaczy — poprawił się chłopiec — teraz nie ma tam już żadnego miasta, tylko te ruiny. Mówił pan, że szukacie waszych... potem zobaczyłem tę starą budowlę pod pana miastem i pomyślałem sobie... pomyślałem...

Nie, tego nie sposób powiedzieć. Samemu Jarkowi wydało się zresztą w tej chwili, że pomyślał coś bardzo głupiego. Stare zabytki bardzo starych cywilizacji i... oni?... Nonsens.

Obcy milczał chwilę, wreszcie powiedział powoli, jakby głęboko zamyślony:

— To bardzo interesujące... bardzo... — znowu zrobił krótką przerwę, po czym mówił dalej:

— Tam nie byliśmy. Żadna z naszych sond nie lądowała w pobliżu... chyba nie ma tam żadnych ważniejszych skupisk waszej współczesnej cywilizacji. Zobaczymy... — zakończył, przy czym to „zobaczymy” nie było już przeznaczone dla uszu chłopca. — Dobrze, Jarku — obcy ocknął się wreszcie z zamyślenia. W każdym razie bardzo ci dziękuję. Widzisz, to co zauważyłeś, może oczywiście nic nie znaczyć... w każdym razie nic takiego, co mogłoby nas interesować, ale... obejrzymy to. Gdyby przypadkiem...

Człowiek z Wegi ponownie przerwał i Jarkowi wydało się, że tak jak on sam, tak i tamten woli pozostawić nie dokończoną myśl, o czym może świadczyć to podobieństwo między prastarymi budowlami cywilizacji obcych i takimi budowlami ziemskimi. Pewnie o niczym. A jeżeli?...

— Dziękuję, Jarku... — rzekł po raz siedemdziesiąty pierwszy przybysz z nieba północnego. — Czy chciałbyś jeszcze coś powiedzieć?

Ba, czy chciałby. Na przykład czy to „do widzenia” naprawdę przynajmniej dla niego samego, musi oznaczać „żegnaj”? Albo czy latając po gwiazdach, obcy nie natknęli się na inne cywilizacje także podobne do nich samych... i do nas? To i wiele jeszcze innych rzeczy. Ale z drugiej strony... od kiedy zniknął mu z oczu obraz Soli...

Obcy wytłumaczył sobie milczenie chłopca po swojemu.

— Żegnaj, Jarku... — powiedział poważnym tonem.

Chłopiec przełknął ślinę. Rozejrzał się po ścianach i odruchowo zamknął oczy.

— Do widzenia — wykrztusił, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co mówi.

— Do widzenia...

Na głowę Jarka z powrotem zaczęła się nasuwać wydrażona dynia, ciągnąc za sobą cienkie nitki przewodów. Po chwili mrok zakrył jego powieki. A jeszcze chwilę później chłopca ogarnęła nieprzeparta senność.

Ziewnął głośno. Ten dźwięk jednak nie dotarł już do jego uszu...

Do widzenia, gwiazdy...

Poczuł pod plecami jakąś nierówną, chropawą powierzchnię, stanowczo za twardą, żeby nadawała się na oparcie. A to co znowu? — pomyślał sennie. Dotychczas wszystko było gładkie, miłutkie jak świeżo zmieniona pościel i tylko czekało, żeby ugiąć się miękko pod człowiekiem...

Ziewnął potężnie i szeroko rozłożył ramiona. Następnie przeciągnął się, aż mu w kościach zatrzeszczało, i odetchnął głęboko. Uderzył go nagle zapach... przecież tutaj nic tak nie pachnie... ani te poświęcające ściany, ani powietrze w butlach, ani nawet ta ich gorąca papka, nadająca się być może do tego, żeby lepić z niej błotniste kulki, ale żadną miarą nie do jedzenia...

Otworzył oczy. Ujrzał jasnobrunatną ścieżkę, wijącą się wśród trawy i mchu. Normalnej, uczciwej trawy, żadnych tam soczystych, wysokich badyli, strzykających lepkiem sokiem przy najlżejszym dotknięciu.

Z lewej i prawej szpał wysokich sosen, a w głębi, nieco dalej... polanka. Widać ponure, ciemne, omszałe sklepienia trzech starych bunkrów...

Jarek zerwał się na równe nogi. Sen? — pomyślał gorączkowo. Znowu taki... prawdziwy?

Obejrzał się. Nie, to nie był sen.

Siedział pod tym samym drzewem, pod którym... zaraz, kiedy to było?... rano? Teraz też jest rano. Błyskawicznie zerknął na zegarek. Dochodziła piąta. Do apelu jeszcze daleko. Tak jak wtedy. A więc oni... powiedzieli prawdę. Chyba że...

Odruchowo poklepał się po kieszeni, po czym namacał w niej niewielki twardy przedmiot. Chwilę obracał go w palcach. Uśmiechnął się. Jest tam. Przyleciał z nim razem i będzie... co właściwie będzie?

Jakiż to dowód? Kamyk? Bądźmy poważni...

Zbudził się pod tym samym drzewem, pod którym stał wtedy tak nieskończenie długo, wodząc osłupiałym wzrokiem po jajowatej konstrukcji, która ukazała mu się nagle jak zjawą, chociaż była tylko przybyszem z innego świata.

Stał tutaj nadal, kiedy ten nieszczęsny wehikuł zniknął tak samo bezszelestnie tajemniczo, jak się pojawił. A potem...

No dobrze — pomyślał niechętnie. — Wiadomo, co było potem...

Więc jest tutaj znowu. Przespał się i wrócił. Gdyby nie ten kamyk...

Nie, i tak wiedziałby, że to nie był żaden sen. W końcu, u licha, tylko w bajkach człowiek nie wie, czy mu się coś śniło, czy też naprawdę spotkał na swojej drodze, dajmy na to, trzy kosmate czarownice. Trzy wiedźmy...

Uśmiechnął się, po czym zrobił przepisowy w tył zwrot i ruszył przed siebie tą samą drogą, którą tutaj przyszedł... kiedy? Chyba już cztery dni temu... zabawne. A jednak dotrzymali słowa. Wróci jakby nigdy nic, wejdzie do namiotu i zdąży jeszcze posłuchać, jak Wojtek chrapie. Naprawdę zabawne...

Uśmiechał się jeszcze, kiedy ujrzał przed sobą jakieś niewyraźne postacie. Jacyś ludzie chodzili po lesie... widać nie on jeden wybrał się tak wcześnie na podgrzybki. Wraca z pustymi rękami... tak mogłoby się zdawać.

Nie przestał się uśmiechać nawet wtedy, kiedy poznał tych ludzi i oni go poznali. Dopiero kiedy usłyszał, co mówią... jeśli to, co padło z ich ust, godzi się w ogóle nazwać ludzką mową... no tak.

I to właściwie wszystko.

— Pomylili się — powiedział Jarek, spoglądając w dogasające ognisko. Było

szare. Jasnoszare. Wszystko dookoła było już jasnoszare. Tylko niebo na wschodzie różowiało, ukazując nad ścianą lasu wąską tasiemkę błękitu zmieszanego ze złotem. Noc odeszła wraz z jego historią...

— Pomylili się — powtórzył bezwiednie, zamyślony. Przerwał na moment, po czym uniósł głowę i rozejrzał się po twarzach Węży. Były białe jak świeży ser i straszyły podkrążonymi oczami. Ale twarzyczki siedzących za nimi dziewcząt jaśniały. Wyglądały kwitnąco i schludnie jak zawsze. Że też one to potrafią...

— Pomyślcie — uśmiechnął się — co by było, gdyby pomylili się trochę inaczej... i odesłali mnie nie dzień później, ale wcześniej? Mielibyście naraz dwóch takich samych... co, druhu? — to ostatnie było adresowane już wyłącznie do Olika. Ten skrzywił się na samą myśl o podobnej siurpryzie. Dwóch?... okropność!

— W każdym razie przez tę ich pomyłkę... — Jarek zawahał się przez moment, po czym potrząsnął głową i dokończył z ledwie słyszalnym westchnieniem ...przespałem całą dobę...

W jego głosie, kiedy to powiedział, nie było nawet cienia ironii. Nie było także żalu do kolegów, że to przez nich musiał się tak właśnie odciąć od swojej wielkiej przygody. A w dodatku, kiedy kwitował tym westchnieniem swoje przeżycia, nie było w nim śladu tego uczucia, z którym zaczynał swoją opowieść. Niech będzie, że wykorzystał sytuację i zamiast pozwolić zrobić się w konia, mówił im o „śnie”, dzięki czemu w ogóle mógł mówić... I co z tego? Wszystko, co naprawdę ważne, i tak pozostało w nim samym. Tego nie jest im w stanie przekazać. Może kiedyś, komuś... Może ojcu...

— I dzięki temu właśnie — przypieczętował tę swoją porażkę, która miała być tryumfem — mieliście dzisiaj jelenia do opowiadania...

Skończył. Kilka sekund siedział nieruchomo na swojej kępcie trawy, porastającej twarde kretowisko, po czym wstał i wyprostował się z wysiłkiem.

Głowy Węży przez chwilę pozostawały jeszcze nieruchome. Wreszcie ten i ów zaczął się rozglądać po sąsiadach, jakby czekając na hasło zakończenia tej dziwnej nocy... no, niech ktoś powie, że nie była dziwna. Wszystko jedno, czy wypełniły ją czyjeś sny, czy... no tak, sny...

Za plecami Jarka rozległo się przeciągłe, obiecujące ziewnięcie. Niemal natychmiast odpowiedziało mu drugie, potem dołączyło trzecie... Nie ulegało wątpliwości. Opowieść się skończyła. Teraz to już naprawdę koniec...

— Czas spać, chłopcy — powiedział niezbyt głośno nadleśniczy, szukając wzrokiem swojego Pawełka. Odnalazł go wreszcie, lecz tylko po to, aby się przekonać, że jego dobra rada była mocno spóźniona. Malec spał już snem sprawiedliwego, złożony głowę na kolanie najbliższego siedzącego wodniaka. Obdarzony tym niespodziewanym dowodem synowskiej ufności Wąż trwał dotąd po bohatersku bez ruchu, teraz jednak dochodzące zewsząd przeciągłe „aaaaa” zrobiło swoje i twarz rozdarła mu się od ucha do ucha. Toteż nadleśniczy w porę przyszedł z pomocą unosząc swą pociechę na rękach.

— Czas spać — powtórzył jeszcze ciszej Olik, odrywając się z nie ukrywanym żalem od swojej drużynowej. Ta natychmiast zrobiła taką minę, jakby przez cały czas nie miała najmniejszego pojęcia, że ktoś odważył się siedzieć tak blisko... zupełnie blisko, powiedzmy szczerze.

Jarek ugiął się nagle pod ciężarem czyjejś dłoni, która spadła na jego ramię. Odwrócił się bardziej zdziwiony niż zły i ujrzał twarz Wojtka.

— Już nie będę chrapał — oświadczył jego prześladowca z namiotu. — A gdybym znowu kiedyś zaczął — dodał z rozbrajającą szczerością — to zbudź mnie także. Pójdziemy razem...

— Akurat, nie będziesz chrapał! — zarechotał Jacek. — Ty nie zbudziłyś się

nawet, gdyby cię ktoś naprawdę posadził na ogon komety i wywiózł na Marsa... Słuchajcie — krzyknął, biorąc wszystkich obecnych na świadków tej niesłychanej deklaracji. — Wojtek mówi, że nie będzie chrapał!

Odpowiedział chóralny śmiech, nie tak głośny jednak, jak to zwykle bywa przy podobnych okazjach.

Węzom kleiły się oczy... a może pozostawali jeszcze trochę, no troszeczkę... pod wrażeniem tylko co zakończonej opowieści?... Do czego, rzecz jasna, żaden szanujący się mężczyzna tak czy tak przyznać by się nie mógł...

— Chłopcy! — krzyknął Olik. On w każdym razie otrząsnął się już na dobre z wrażeń i... wzruszeń minionej nocy. Jego głos zabrzmiał jak dzwon z dobrej solidnej dzwonnicy, która ostała się już niejednej burzy z piorunami. — Odprowadzamy dziewczęta! — zawołał, biorąc pod rękę swoją drużynową zapewne wyłącznie po to, żeby dać dobry przykład.

— Nie trzeba... — zaproponował bez przekonania jakiś cienki i odrobinę zachrypnięty głosik. Protest był, trzeba przyznać, mało przekonujący. I nikt, nie wyłączając jego autorki, nie potraktował go serio.

Dziewczęta opuszczały już swoje miejsca i luźnymi grupkami, po dwie lub trzy, szły w stronę ścieżki prowadzącej na szczyt stromej skarpy. Chłopcy czekali, aż przejdą, i stopniowo ruszali w ich ślady. Z rzadka odzywały się pojedyncze, przyciszone głosy, raczej damskie niż poważne i grube. Nie upłynęły dwie minuty, a Jarek został sam.

Patrzył w spopieliałe szczątki ogniska i myślał... nie, trudno powiedzieć, by myślał o czymś konkretnym. Kiedy człowiek przekona się, co to znaczy myśleć naprawdę... i ile to kosztuje trudu...

Stał tak chwilę, po czym uniósł głowę i spojrzał w stronę jeziora. Nad jego powierzchnią, dzisiaj nie tak gładką jak wtedy, pokrytą drobnymi zmarszczkami, jakie czasem widuje się rano na piasku plaży nie zdeptanej jeszcze przez letników, unosiły się dwie lub trzy ledwie widoczne smużki mgły. Skądś z szuwarów dobiegło narzekanie dzikiej kaczki. Zrzedliwym skrzeczeniem ogłaszała światu, co myśli o przedwczesnych pobudkach i że na tym świecie żyło się o wiele lepiej, zanim jeszcze zaczęli tu przyjeżdżać ludzie i łązić po brzegu tylko po to, by nie pozwolić ptakom porządnie się wyspać.

Czuby sosen na przeciwległym brzegu pojaśniały już na dobre. Z lewej strony nad brzegiem tasiemka błękitu rozrosła się w szeroki, przetykany złotem i czerwienią pas, spięty wielką półokrągłą kłamrą słońca.

— Sol... — szepnął Jarek, nie zdając sobie sprawy, że powiedział to na głos. W tym momencie poczuł, że ktoś za nim stoi. Odwrócił się i w pierwszej chwili pomyślał, że jest jeszcze tam, w przestrzeni. Był to króciutki, przelotny moment, ale chłopiec mimo woli przestraszył się, że to mu już zostanie, że spoglądając za siebie, biegnąc ku czemuś wzrokiem, zawsze najpierw będzie musiał pomyśleć, czy to, na co patrzy, jest stąd... czy ona nie wróciła...

— A widzisz — powiedziała cicho Sola, przekrzywiając filuternie głowę — to wcale nie musi być od solniczki...

Jarek potrzebował jeszcze kilku sekund, żeby oprzytomnieć. A potem uśmiechnął się z ulgą i... chyba nie tylko z ulgą.

— Wiem — powiedział. — Wtedy nie przyszło mi to na myśl. Ale i tak nie chciałem... nie chciałem... Tylko tak mówiłem... — wyznał wreszcie.

Zaśmiała się cicho. Ten jej śmiech. Ten śmiech, który będzie słyszał do końca życia...

— Chodź — powiedziała, wyciągając do niego rękę. — Muszę cię teraz pilnować, żebyś znowu nie dał się stąd porwać... fajnie opowiadałeś — dodała kręcąc głową.

Kto wie, może wiedziała, że przy tym ruchu jej kasztanowe włosy tak pięknie migocą... jak delikatne pasemka miedzi w złotym, ziemskim słońcu.

— Wiesz, Sola — wyrzucił z siebie Jarek jednym tchem, jakby bał się, że jeśli przerwie, to nigdy już nie dokończy tego, co chciał jej powiedzieć — bardzo cię lubię... ja cię naprawdę bardzo lubię...

Zaśmiała się cicho, ale jakoś inaczej niż przed chwilą.

— No chodź wreszcie! — sama chwyciła jego dłoń i pociągnęła go za sobą. — Popatrz, zostaliśmy sami...

Nie wyglądało na to, żeby ta akurat okoliczność była dla niej szczególnie przykra. Wykorzystał to i przytrzymał mocno jej rękę, nie pozwalając dziewczynie ruszyć się z miejsca.

— Bardzo cię lubię... — powtórzył z uporem. Nic mi nie powiesz?...

Ujrzał swoje odbicie w dwóch niebieścikutkach jak niebo żrenicach.

— Teraz? — zaśmiała się jeszcze raz, ale bardzo krótko, jakby jej przeszkodziło coś, co nagle utkwiło jej w gardle. — A poza tym — zrobiła nadąsaną minę — myślisz, że ci uwierzę? Po tym koncercie, który dzisiaj dałeś?...

Puścił jej rękę. Sola znieruchomiała, jakby zaskoczona takim obrotem sprawy.

— Ja nie zmyślam — powiedział Jarek z naciskiem. — Zapamiętaj sobie, że ja nie zmyślam...

Zrozumiała z tego dokładnie tyle, ile rozumiałyby każda dziewczyna na jej miejscu. Ale kto wie, czy Jarkowi chodziło o coś więcej?...

— Poza tym — odezwał się po chwili chłopiec — nie podziękowałem ci jeszcze... za wszystko, co tam dla mnie zrobiłaś...

Spróbowała skwitować to oświadczenie uśmiechem, ale niezbyt jej się to udało.

— Nie zdążyłem — ciągnął poważnie Jarek. Zniknęłaś tak nagle...

Mówiąc to, sam poczuł się zdziwiony faktem, że mógł wtedy tak obojętnie przyjąć do wiadomości, że jej już nie zobaczy. Przybył ten historyk... z gwiazd, prawda. Ale to nie tłumaczyło wszystkiego. Ostatecznie nie raz i nie dwa ratowała go z opresji...

A może to dlatego, że przecież od początku była li jest jedna jedyna Sola... wraz ze swoim odbiciem w umyśle Jarka, które to odbicie posłużyło obcym jako model do zaprogramowania kształtów „komputerowej” dziewczyny? Może dlatego, że dziękować należało właśnie tylko i wyłącznie tej tutaj, silącej się na kapryśny uśmiech, żywej Soli? Przecież w końcu, gdyby nie ona...

Jarkowi nie przeszło przez myśl, że gdyby to nie obraz Soli był tak świeżo i silnie odcisnięty w jego pamięci, obcy z pewnością znaleźliby jakiś inny wzór. Matkę, ojca, tę rudą Jolkę... Ale jakież to mogło mieć znaczenie wobec faktu, że tym modelem naprawdę nie stał się nikt inny jak tylko Sola. I to ona właśnie, żywa, pomagała mu tam, gdzie teraz widać na niebie tylko blednące punkciki światła... A poza wszystkim obcy bardzo wiernie odtworzyli obraz ziemskiej dziewczyny, niemniej gdyby tak teraz obok Soli stanęła tamta druga, z nieba północnego, Jarek nie miałby kłopotów ze wskazaniem tej prawdziwej, z krwi i kości. I dobrze, że ta tutaj nie jest ani tak wyrozumiała, ani tak łagodna, a przede wszystkim bodaj w setnej części tak mądra jak ten jego „kontakt” pod ogromną, ponurą tarczą Jowisza. Dobrze, że w skrzywieniu jej warg czai się coś, co chłopcu każe mieć się na baczności. Co uprzedza, że może w każdej chwili zostać wyśmiany, wykpiony i zwymyślany w dodatku, chociażby sama dziewczyna miała tego potem żałować.

Nie mówiąc już o tym, że choć tamta miała równie ładny brzoskwiniowy meszek na opalonej skórze, to przecież pogłodzić po tym meszku można by tylko jedną z nich...

Nagle, niespodziewanie dla samego siebie, chłopiec sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej jakiś niewielki przedmiot, który ukrył w zaciśniętych palcach.

— Co tam masz? — zainteresowała się dziewczyna.

Podeszła bliżej i ująwszy jego dłoń, próbowała mu rozewrzeć pięść, żeby dostać się do środka. Jarek nie stawiał jednak oporu.

— Kamyk... — mruknął, otwierając dłoń. Niewielki, okrągławy kamyczek załśnił jak kolorowe szkło. Był piękny, przypominał czystej wody opal. Połyskiwały w nim żyłki złota, czerwieni, jakieś niebieskie punkciki, jak oczka kwiatów...

— Fajny... — ucieszyła się Sola. — Jaki dziwny... — dodała natychmiast, pochylając główkę. Jej włosy znalazły się tuż pod brodą chłopca. Pachniały rosą... ale także i słońcem. Złotym, ziemskim słońcem...

Zdecydował się nagle.

— Weź go sobie — powiedział podsuwając dziewczynie kamyk. — To dla ciebie — powtórzył, jakby sam jeszcze niezbyt dobrze zdawał sobie sprawę, co właściwie zrobił, i chciał się upewnić, że zrobił to naprawdę.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Jak gdyby razem z tym kamyczkiem oddał wszystko, czym on dla niego był, wszystko, co się z nim wiązało, nie tylko jednej dziewczynie, ale poprzez nią — Ziemi. Niech tak zostanie...

Sola ostrożnie ujęła ofiarowany jej przedmiot i przybliżyła go sobie do oczu. Przez chwilę oglądała go w milczeniu, po czym nagle uniosła głowę i spojrzała na Jarka swoimi niebieskimi oczami, które teraz stały się niemal okrągłe.

— To stamtąd? — szepnęła.

Chłopiec skinął w milczeniu głową. Teraz się zaśmieje — przebiegło mu przez myśl. Gdybyż mogła wiedzieć, że jak świat światem, żadna dziewczyna nie dostała takiego prezentu od swojego chłopca. Gdyby tylko mogła wiedzieć! Ale dla niej to przecież zwykły kamyk...

Twarz Soli pozostała jednak poważna. Któż odgadnie, co rządzi myślami dziewcząt. Najczęściej one same o tym nie wiedzą. Może potraktowała ten kamień jako symbol tych przeżyć i uczuć, które stały się udziałem Jarka w czasie jego snu? Może chodziło o to, że przecież to ona, jej twarz, oczy, śmiech, jej biała bluzeczka, śniły mu się nawet wtedy, kiedy w tym śnie powędrował do gwiazd? Albo wreszcie przyjęła go na znak, że przystępuje do gry, jaką zaproponował chłopiec opowiadając im swój sen tak właśnie, jakby to była prawda?... Kto wie? Bo przecież mogło być jeszcze inaczej... chociaż to ostatnie wydaje się tak mało prawdopodobne, że aż niemożliwe.

W każdym razie Sola była poważna. Zbyt poważna jak na zwykłą dziewczynę, przyzwyczajoną do tego, że podoba się chłopcom, która od jednego z nich dostała raptem w prezencie najzwyczajniejszy kamyk.

Jarek ujął jej drobną dłoń i delikatnie zwinął jej palce, zaciskając je na tym kolorowym szkiełku, z którym wiązało go tyle wspomnień i tyle nadziei. Zupełnie jakby chciał powiedzieć, że teraz te nadzieje spoczywają w jej rękach... lub coś podobnego, co oznaczałoby to samo, ale brzmiało nieco mniej górnolotnie. Następnie odwrócił się i ruszył w stronę ścieżki, ani na moment nie wypuszczając jej dłoni ze swoich. Szedł więc on, za nim jego, a raczej już jej kamień zaciśnięty aż w trzech pięściach, a potem dopiero Sola.

Na skraju lasu chłopiec przystanął i ponownie pobiegł wzrokiem w kierunku jeziora. Słońce oderwało się już od linii horyzontu. Ale na prawo, w jasnym błękitcie nieba, lśniło jeszcze kilka blednących z każdą chwilą gwiazd. Jarek przyjrzał się im chwilę, po czym poruszył lekko głową i powiedział:

— Do widzenia...

— Chcesz mnie tu zostawić? — w głosie Soli nie było bodaj szczypty entuzjazmu.

— Nie zostawię cię... — powiedział bez zastanowienia. Odwracając się od gasnących gwiazd, powtórzył jednak jeszcze raz, tylko już bardzo cicho:

— Do widzenia...